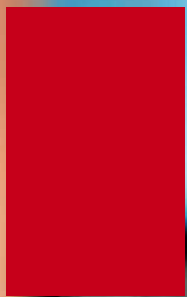




• **Ogłaszamy nominacje do Nike**
• **Annie Ernaux** To skandal, że tyle zarabiam • **Domy pisarzy** Jak mieszkali Blixen, Saramago, Bernhard



WYSOKIE OBCASY
Moja mama
Została w waszej puszczy



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Jak Claude pokochał mnie i moje bitcoiny

ŚLEDZTWO „WYBORCZEJ”

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK/AGENCJA WYBORCZA.PL, MONTAŻ MARIUSZ ROSA

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



Kevin Costner
Szttywny, zbolaly,
nadety, a i tak go
kochamy ▶ 38



FOT. REUTERS/AUDE GUERRUCC

ALE HISTORIA

Król Staś miał swojego ojca Rydzyka ▶ 40
Kronikarz getta pracował dla gestapo? ▶ 42
Kowboje, pierwsi celebryci Ameryki ▶ 46

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

Agnieszka
Kublik



Tusk, rzecznik Tuska. I wszystkich innych

Już nie obowiązuje prawda, że można mieć swoje opinie, ale nie fakty, bo te od poglądów nie zależą. Już zależą. W naszych czasach czysta prawda się sama nie sprzedaje. I nie broni. Zwłaszcza w polityce. Dziś od polityków nie oczekuje się obiektywnych faktów, a przypowieści o tym, co fakty oraz ci politycy znaczą w naszym codziennym życiu.

Rząd Tuska jej nie ma.

W dobrym serialu – bo dziś polityka wykorzystuje mechanizmy „netfliksowe” – widz niczego nie musi się domyślać. A w polskim serialu obywatel coraz częściej musi się domyślać, o co chodzi rządowi. Władza ryzykuje, że sprytna opozycja narzuci obywatelom swoją interpretację.

I PiS narzuca. Ostatnio rząd przegrał sprawę strzelaniny na granicy z Białorusią. Dał sobie narzucić narrację o skrzywdzonych żołnierzach i błyskawicznie zareagował przepisami dającymi – jak ochrzcili je komentatorzy – „licencję na zabijanie w czasie pokoju”.

Które jeszcze prędejsze porzucił. Dlaczego od początku nie powiedział, jak było naprawdę?

Bo rząd – to Tusk.

A premier, choć doskonale sobie radzi z opowieściami i ma energię, to przecież nie może być naraz szefem rządu, rzecznikiem rządu i wszystkich swoich ministrów.

Jest barwny, kiedy trzeba ludzki, kiedy trzeba, marsowy i majestatyczny – ale się przecież nie roztróci.

Rzecznik prasowy kojarzy się z prezydentem, od którego nic nie zależy, tylko wygłasza gładkie komunikaty. Ale to dlatego, że – nie tylko w Polsce – zadania rzeczników przejęli liderzy soliści.

Gdyby rząd miał rzecznika, ten zaplanowałby strategię komunikacyjną dotyczącą strzelaniny. Opowiadałby o faktach, odpowiadał na pytania i na bieżąco informował o decyzjach. A dostaliśmy serię wpisów premiera i ministrów na portalu X. I ostatecznie ludzie myślą, że rząd Tuska gnębi żołnierzy strzegących naszej granicy i kugluje przepisami o użyciu broni.

Inna wpadka to słowa Barbary Nowackiej o „niejakim Rymkiewicz”. Przekaz: ministra nie wie, kim Rymkiewicz jest, bo wie, że jest nikim. Do towarzystwa dorzuciła „pana Dukaja” – czyli pisarza światowej sławy, Lema XXI wieku.

Gdyby rząd miał rzecznika, może by jej podpowiedział, jak z tego wybrnąć. Ten lekceważący „niejaki” i deprecjonujący „pan” szkodzą Nowackiej i gabinetowi, w którym zasiada. Może stać się symbolem jej ministrowania. Tak, jak „nie dokończyłem” noblistki Tokarczuk stało się symbolem ministrowania Glińskiego.

A to samo dotyczy zmian w sądach, KRS, Trybunale Konstytucyjnym. W edukacji. Dotyczy związków partnerskich. Aborcji. Wycinki lasów. Umowy ministra obrony z myśliwymi. Praw autorskich w internecie, które mogłyby uratować media.

Wizerunkowo jest źle, a wygląda na to, że będzie jeszcze gorzej. ●

Andrzej rysuje



Włochy

Tylko zagwizdali, trochę obmacali, a mogli zabić



FOT. REUTERS/GUGLIELMO MANGIAPANE

Rzym. Aktywistki protestujące przeciwko „femicides”, zabójstwom kobiet, oblały czerwoną farbą Schody Hiszpańskie. Przemoc finansowa, bicie, wybielanie – publiczne, np. w telewizji, przez dziennikarzy – gwałcicieli, bo „upila się” – to codzienność Włosek. W 2023 r. zginęło 106 kobiet, 55 z nich z ręki członka rodziny lub partnera. Więcej w raporcie „Tysiące osób dbających, żeby dobrze wyglądać na Instagramie” ► [Wyborcza.pl/magazyn](https://wyborcza.pl/magazyn)

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Kim Gordon

Wdowa zaczyna nowe życie

Nie planowała zajmować się muzyką, samo wyszło. Dziewczyna z dobrego domu, po studiach artystycznych, trafiła do Nowego Jorku w 1980 roku, a więc w najlepszym możliwym czasie. Miasto nie było tak bogate i bezpieczne jak dziś, za to było mekką szalonych twórców, inspirujących się nawzajem. Z jednym z nich, gitarzystą Thurstonem Moore’em, Gordon stworzyła związek na scenie i w domu. Ich zespół Sonic Youth poszerzył granice rocka, przesuwając je ku awangardzie. Wielkiego komercyjnego sukcesu nie odnieśli, za to mogli się pochwalić takimi wychowankami, jak Nirvana, Radiohead, Placebo. Z pomysłów Sonic Youth korzystały właściwie wszystkie zespoły traktujące poważnie oraz odważnie elektryczne gitary. Do tego Moore i Gordon uchodzili za najfajniejszą parę sceny niezależnej. Do 2011 r., kiedy rozpadło się małżeństwo i zespół. Gordon czuła się zraniona i zdradzona, czemu dała wyraz w książce „Dziewczyna z zespołu”.



FOT. DANIELLE NEU

Wciąż tworzyła, jednak bez sukcesów. Aż w marcu wypuściła płytę „The Collective”. Miks noiserockowego jazgotu z transową rytmiką dubu i hip-hopu, zachwycił krytyków, obudziło starą publiczność i zwróciło uwagę nowej. Kim znowu jest w grze. Już nie jako wdowa po Sonic Youth, która opowiada, skąd przyszła, ale jako świeża artystka, która wie, dokąd zmierza. Grała z Sonic Youth na Open’erze w 2007 r., teraz przyjeżdża jako po prostu Kim Gordon. Pewnie przyciągnie pod scenę mniej liczną publiczność, ale za to własną. ●
Jarek Szubrycht
• Open’er Festival, 3-6 lipca, Gdynia. Wystąpią m.in. Foo Fighters, Dua Lipa i Skrillex.

Cytat tygodnia

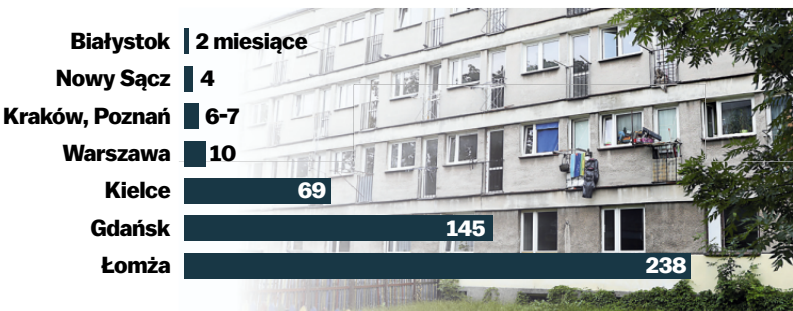
Wygląda, jakby rząd celowo chciał pogrzebać „Czyste Powietrze”. Już wkrótce pieniędzy na dotacje może nie być



ANDRZEJ GUŁA
z Polskiego Alarmu Smogowego o kłopotach popularnego programu wymiany tzw. kopciuchów

Więcej ► [Wyborcza.biz](https://wyborcza.biz)

Gdzie najszybciej tani dach nad głową



FOT. MACIEK JAZWIECKI / WYBORCZA

• Wskutek gwałtownego wzrostu cen mieszkań i wynajmu w latach 2022-23 bardzo wzrosło zainteresowanie mieszkaniami komunalnymi. Samorządy budują ich niewiele, choć eksperci powtarzają od lat, że wzór stawiając m.in. Wiedeń: właśnie w ten sposób, bez skazywania ludzi na kredyty do końca życia, zaspokojono głód mieszkań na Zachodzie. Okazuje się, że i w Polsce są miasta, które przydzielają lokale szybko i sprawnie. Najkrócej na „komunałkę” czeka się w Białymstoku – 2 miesiące, ale nie najgorsza jest, wbrew pokutującej opinii, stolica – 10 miesięcy. Najgorzej mają m.in. torunianie – 228 miesięcy to 19 lat czekania na cztery kąty od gminy. Więcej ► [Wyborcza.biz](https://wyborcza.biz)

wyborcza **KSIĄŻKI**
MAGAZYN DO CZYTANIA

*Pismo dla miłośników literatury
i tych, którzy chcą wiedzieć, co się czyta.
Najlepszy w Polsce przewodnik
po aktualnych ideach
oraz ludziach, którzy je tworzą.*

Zamów
roczną prenumeratę
magazynu

prenumerata24.pl



Empatyczna polityka migracyjna

NA GRANICY KAŻDY MUSI POLKNAĆ ŻABĘ

Jest sposób, jak zaszkodzić białoruskim służbom, nie szkodząc
(za bardzo) migrantom, nie łamiąc prawa i nie podpadając aktywistom

Na granicy polsko-białoruskiej nic się nie zmieniło – mówią zgodnie aktywiści, którzy niosą pomoc imigrantom, i zwolennicy PiS. Różnią ich emocje: pierwsi mieli nadzieję, że nowy rząd będzie prowadzić bardziej humanitarną politykę wobec ludzi, których wykorzystują reżimy Łukaszenki i Putina, drudzy się obawiali, że nowy rząd otworzy migrantom granice w imię praw człowieka.

Tymczasem zmieniło się tylko jedno: retoryka rządzących. Nikt już nie urządza nagonki na migrantów, nie bada ich smartfonów „pod kątem zoolofilii” i nazywa ich nosicielami groźnych chorób. Natomiast Straż Graniczna jak stosowała pushbacki, ignorując wnioski o ochronę i siłowo odpychając migrantów na drugą stronę, tak je stosuje. Sławetne rozporządzenie z czasów PiS, które przekazuje ministrowi spraw wewnętrznych uprawnienia do wprowadzenia regulacji stanu wyjątkowego i „legalizuje” pushbacki (wbrew ustawie o cudzoziemcach, konstytucji i prawu unijnemu), nadal jest w mocy. I wraca strefa buforowa, do której organizacje pozarządowe i dziennikarze wstępu mieć nie będą.

Podstawowy prawny problem związany z murem, jaki zbudował PiS, nie zniknie. Ponieważ zaporą mogła powstać tylko na terenie państwa polskiego, w świetle prawa – krajowego, europejskiego i międzynarodowego – osoba znajdująca się przy samej zaporze, nawet jeśli po jej wschodniej stronie, znajduje się na terenie Polski i tym samym podlega prawu polskiemu oraz wszystkim konwencjom, które Polska ratyfikowała. Może więc prosić o ochronę lub azyl i Polska ma wtedy obowiązek taki wniosek rozpatrywać w dwuin-stancyjnej procedurze administracyjnej, a następnie, jeśli dana osoba to zaskarży, przed sądami.

Rząd Tuska toleruje, jak tolerował rząd Morawieckiego, że Straż Graniczna takich próśb „nie sły-szy”. Tylko dlatego pushbacki mogą się w ogóle odbywać. Tak samo ma się sprawa ze strefą buforową: kto się w niej znajduje, ten jest na terenie Polski, podlega prawu polskiemu i może złożyć wniosek o ochronę.

Można by się z tym pogodzić, skoro to zgodne z wolą ankietowanych w sondażach i tolerowane przez instytucje unijne, którym ta ciągłość między nowym i starym rządem RP nie przeszkadzała w od-mrożeniu wypłat – gdyby było skuteczne.

Tyle że nie jest. Do niedawna większość migrantów z zielonej granicy docierała tam, gdzie chciała dotrzeć, to znaczy: do Niemiec, ale kilka miesięcy temu Niemcy wprowadziły stacjonarne kontrole graniczne i teraz migranci zostają w Polsce. To nasuwa

najważniejsze pytanie: czy istnieje skuteczna alternatywna polityka, która byłaby i zgodna z prawem, i ograniczałaby liczbę migrantów przedostających się z Białorusi?

Odpowiedź brzmi: tak, ale jest znacznie bardziej wymagająca, kosztowna i będzie o wiele mniej popularna. A w dodatku wymaga od wszystkich zainteresowanych – rządu, administracji państwowej, dyplomacji, organizacji praw człowieka, prawników, obywateli, związków zawodowych i pracodawców, regionów i samorządów – polykania wielu, wielu żab.

Ta nazwa nie bierze się stad, że taka polityka jest sympatyczna albo przyjazna wobec migrantów, których olbrzymia większość nie ma żadnych szans na uzyskanie ochrony międzynarodowej lub azylu w jakimkolwiek kraju UE.

„Empatyczna” – bo stara się brać pod uwagę preferencje, cele i dążenia wszystkich zainteresowanych – od migrantów po przemytników i Straż Graniczną, od wojska po mieszkańców pogranicza i ludzi z organizacji pozarządowych.

„Brać pod uwagę” nie znaczy akceptować, sprzyjać ich dążeniom albo ułatwić im życie. Oznacza jedynie, że aby osiągnąć pewien cel, należy poznać i brać pod uwagę dążenia tych, którzy mogą osiągnięcie tego celu zniweczyć.

To aspekt obecnie całkowicie ignorowany: wszyscy chcą postąpić słusznie i moralnie, ale ich działania prowadzą do skutków, które potem sami uważają za niesłuszne i niemoralne. Strażnicy graniczni dbają o bezpieczeństwo, ale wskutek ich działań zamiast zagubionych rodzin na granicy pojawiają się uzbrojeni silacze z nożami. Aktywiści chcą pomagać uchodźcom, a przyciągają przemytników z niemieckiego świata przestępczego. Rząd chce odzyskać kontrolę nad imigracją, ale przy okazji niszczy park narodowy, turystykę na pograniczu, demoralizuje wojsko i pograniczników.

Jeśli empatyczna polityka migracyjna ma być skuteczna, trzeba w niej nawet uwzględnić interesy przemytników, watażków z północnej Afryki i niemieckich klanów zarabiających na transporcie migrantów z Białowieży do Berlina. Dziś udajemy, jakobyśmy mogli eliminować przemytników całkowicie, za pomocą restrykcji, odgradzania Europy od reszty świata, coraz ostrzejszego prawa i otwierania „legalnych dróg imigracji”.

Tak samo udajemy, jakobyśmy mogli całkowicie kontrolować granice wschodnie. Tworzy to tylko zawyżone oczekiwania obywateli, których rozczarowanie sprzyja ruchom skrajnie prawicowym i populistycznym w całej Europie. Trzeba postawić spr-



wę jasno: zero migracji i pełnej kontroli granic nie ma nawet Korea Północna.

Empatyczna polityka migracyjna nie jest ani humanitarna, ani bezwzględna. Ona się w ogóle nie zajmuje sprawami moralnymi. Dla niej prawa człowieka i prawo w ogóle to ograniczenia, które trzeba zaakceptować, jeśli nie można ich zmienić. Empatyczna polityka migracyjna opowiada się przeciwko pushbackom nie dlatego, że są one niemoralne, niehumanitarne albo okrutne, lecz dlatego, że prowadzą do uzbrojenia migrantów i przemytników, tak jak obecnie obserwujemy na granicy serbsko-węgierskiej. Tam straż graniczna i przemytnicy posługują się automatyczną bronią palną i rozgrywają sceny niczym z filmów gangsterskich.

Taka polityka zakłada podejście: dostosujmy prawo do praktyki, gdzie się da, a tam, gdzie się nie da, dostosujmy praktykę do tych regulacji prawnych, których z własnej woli szybko zmienić nie możemy – na przykład dlatego, że wymaga to renegocjacji traktatów europejskich, jest niezgodne z prawem międzynarodowym albo zależy od zgody innych państw.

Na wstępie szok dla wielu zwolenników humanitarnego podejścia do migrantów i krytyków „muru PiS”: zaporą jest jak najbardziej legalna. W świetle prawa międzynarodowego państwa mają prawo, a w świetle konstytucji rząd nawet ma obowiązek, chronić granice kraju. Zgodnie z orzecznictwem Europejskiego Trybunału Praw Człowieka Hiszpania mogła na granicy z Marokiem budować zaporę i odganiać od niej migrantów, ponieważ istniało przejście graniczne, gdzie ci migranci mogli legalnie, bez przemocy, składać wnioski o ochronę.

Legalizacja muru na wschodzie – i wszelkich innych umocnień – jest więc prosta, ale ma cenę: musi być punkt, przy którym migranci mogą składać wnioski o azyl i gdzie te wnioski będą przyjmowane i procedowane zgodnie z konwencją o uchodźcach, prawem UE i orzecznictwem Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Część migrantów dostanie się legalnie na teren Polski i będzie tam czekać na rozpatrywanie swoich wniosków. A jeśli tempo procedur się nie zmienia, może to oznaczać kilkuletni po-

**KLAUS
BACHMANN**



był tych ludzi, a finalnie tolerowanie ich obecności, gdyż nie można ich deportować ani na Białoruś, ani do ich kraju pochodzenia, ponieważ i tu, i tu nie chcą ich przyjąć.

Odmowy przyjmowania własnych obywateli to główny powód, dla którego kraje zachodniej Europy deportują tak mało migrantów, którym odmówiono ochrony. Drugi to brak dokumentów: wielu albo nie dostaje od swoich władz papierów przed wyjazdem (na przykład mieszkańcy z terenów rebelianckich albo należący do prześladowanych mniejszości), traci je podczas podróży albo niszczy w nadziei, że utrudnią deportację.

Dotąd kraje Europy Zachodniej reagowały na to na dwa sposoby. Pierwszy – negocjowały porozumienia nazywane w unijnej nowomowie „umowami partnerstwa migracyjnego” sprowadzające się do: „zabierzcie ich, a dostaniecie łatwiejszy dostęp do wiz do strefy Schengen, może nawet kontyngent zezwoleń na pracę”. Polegają one na prostej logice: my wam wyślemy ludzi, których nie chcemy (bo mają niskie kwalifikacje, są trudni do integrowania i nie mogą udowodnić, że byli prześladowani), i pieniądze, wy uszczelnicie swoje granice dla migrantów

z innych krajów, dla których jesteście krajem tranzytowym na drodze do Europy, a my przyjmimy więcej lepiej wykształconych waszych obywateli, z którymi nie macie co zrobić, a nam wyrównają braki.

Problem z „partnerstwami” polega na tym, że próbują skłaniać władze krajów pochodzenia migrantów do zachowania sprzecznego z ich interesem i z interesem ich społeczeństw. Są to niemal wyłącznie kraje autorytarnie albo dyktatorsko rządzone, z bardzo dużą nadwyżką bezrobotnych młodzieńców. Emigracja młodych ludzi to Europy to wentyl bezpieczeństwa dla tych władców i bonus w postaci transferów, jakie ci emigranci wysyłają do krewnych, kiedy znajdują pracę w Europie. Tyle że z tych krajów ucieka młodzież bez wykształcenia, którą u siebie czeka jedynie bezrobocie, szara strefa i zorganizowana przestępczość. Ona by się szybko zradyzalizowała, gdyby tam została. To materiał, z którego powstały Państwo Islamskie, nigeryjska Boko Haram czy ugandyjska Armia Bożego Oporu. Dlaczego autorytarnemu przywódcy miałoby zależeć, aby takich ludzi przyjmować z powrotem? Dlaczego Europejczykom pozwolić na rekrutację fachowców, których od zawsze brakuje we własnym

▲ **Styczeń, protest pod kancelarią premiera przeciwko wciąż trwającym mimo zmiany władzy pushbackom**

FOT. MACIEK
JAŻWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

kraju? Dlatego te „partnerstwa” funkcjonują, tylko jeśli transfery z Europy trafiają bezpośrednio do kieszeni rządzącej elity.

Dosadniej: Unia przekupuje elity rządzące w Libii, Maroku, Tunezji, Egipcie i Turcji, aby działały w interesie Unii i szkodziły interesom swoich obywateli i swojej gospodarki. Jedną z pierwszych decyzji junty wojskowej w Nigrze po ubiegłorocznym puczu było zniesienie kar za pomoc uchodźcom na drodze do Europy. Ta ustawa rujnowała życie wielu małym hotelarzom, firmom transportowym i przewodnikom, więc po jej zniesieniu w Nigrze zapanowała powszechna radość.

W Europie takie umowy uchodzą za cudowne rozwiązanie, ale w krajach, które je podpisują, są bardzo kontrowersyjne i podatne na nagłe zmiany nastrojów władców, jak niedawno w Tunezji.

Dlatego coraz więcej zwolenników w Europie zachwycia się „rozwiązaniem rwandyjskim”, zgodnie z którym kraje docelowe migracji na podstawie umów z krajami trzecimi – takimi, które ani nie są docelowymi, ani krajami pochodzenia migrantów – mogą tam deportować migrantów bez dokumentów i niechcianych we własnym kraju. Na tej zasadzie Wielka Brytania chce odsyłać migrantów z Francji do Rwandy. Rwanda ma odpowiadać za procedowanie ich wniosków azylowych i za to, co się z nimi dzieje, kiedy te wnioski są odrzucone.

Na razie rozwiązanie jest w „fazie testów”: Rwanda otrzymała już kilkadziesiąt milionów funtów, ale jeszcze żadnego migranta (z wyjątkiem jednego, który za odpowiednią opłatą zgodził się tam polecieć). Deportacja jednej osoby oscylować ma wokół zawrotnej sumy 1,8 milionów funtów, na którą składają się procedury, lot, budowa osiedla w Rwandzie, zwrot kosztu procedur administracyjnych dla rządu rwandyjskiego i integracja migrantów na miejscu. Ale nawet jeśli premierowi Rishiemu Sunakowi w końcu uda się wysłać jakiś kontyngent migrantów, i tak trwałość tego mechanizmu będzie całkowicie zależeć od polityki wewnętrznej Rwandy. Najmniejsze pogorszenie sytuacji odesłanych poskutkuje natychmiastowymi pozwami organizacji praw człowieka w Wielkiej Brytanii i sądy wstrzymają deportację.

Cały proceder jest wewnętrznie sprzeczny: rząd brytyjski musi malować Rwandę w jak najczarniejszych barwach, by perspektywa deportacji odstraszała migrantów od przepłynięcia kanału La Manche, i musi Rwandę chwalić pod niebiosa, aby własna opinia publiczna uznała, że nic tam migrantom grozić nie będzie. Ale przekaz, który Sunak wysłał migrantom, organizację praw człowieka wykorzystują przeciwko niemu w brytyjskich sądach – a to, co mówi w sądach, rwandyjski rząd, uwikłany w brudną wojnę w Demokratycznej Republice Konga, wykorzystuje jako świadectwo niewinności.

Polska takich problemów nie ma, więc nie musi się uciec do takich trochę śmiesznych, trochę strasznych pseudorozwiązań. To, co się odbywa od 2021 r. na granicy z Białorusią, to pikus w porównaniu z tym, co się rozgrywa na innych granicach, gdzie Rosja i Białoruś nie mają wpływu na ruchy migracyjne.

W pierwszym kwartale tego roku podlaski oddział Straży Granicznej odnotował około 1200 „prób nielegalnego przekroczenia granicy”. Prób, nie osób, bo większość migrantów wycofuje się w głąb puszczy, kiedy zobaczy funkcjonariuszy, więc nikt ich nie rejestruje, legitymuje i nie wiadomo, jak się ma liczba prób przekroczenia granicy do liczby osób, które takie próby podejmują. W tym samym okresie SG przyjęła od 2098 osób wnioski o ochronę i zatrzymała – na całej granicy zewnętrznej UE, więc od Kaliningradu do Ustrzyk Górnych – 1230 osób po nielegalnym przekroczeniu granicy, a więc w strefie przygranicznej, po pokonaniu zapór. Oznacza to, że w tym okresie próbowało się do Polski dostać nieco ponad 5 tys. ludzi. W tym samym czasie – według danych Frontexu – z Afryki północno-zachodniej do Wysp Kanaryjskich dopłynęło ponad 16 tys. osób, a przez Morze Śródziemne do Europy prawie 50 tys. osób.

Trudno też uznać, że polska administracja jest przeciążona wnioskami o ochronę i azyl polityczny. Obecnie Urząd ds. Cudzoziemców wydaje decyzje znacznie szybciej, niż wymaga ustawa: w 4,5 miesiąca zamiast w 6. W pierwszym kwartale 2024 r. obsłużył 2 tys. osób. Również liczba imigrantów, których nie można deportować, jest w Polsce minimalna. W całej UE przebywa ok. 422 tys. ludzi z naka-

Kiedy Orban budował mur na granicy z Serbią, dostał poklask od całej skrajnej i populistycznej prawicy w Europie. Dziś nad tą granicą serbscy pogranicznicy walczą z przemytnikami jak FBI z mafią narkotykową nad Rio Grande. Obie strony mają broń automatyczną

zami opuszczenia kraju, ale mniej niż 1/4 udaje się skłonić albo zmusić do powrotu, pozostałych ich kraj nie chce przyjąć albo nie mają dokumentów i nie można ustalić ich tożsamości, więc nie wiadomo, dokąd ich odesłać. W Polsce przebywają tylko nieliczne osoby z krajów, do których nie można ich deportować. W pierwszym kwartale tego roku wniosek o ochronę złożyło 29 Afgańczyków i tyle samo Erytrejczyków, 23 obywatele Syrii, 9 osób z Iranu, jedna osoba bez obywatelstwa i cztery osoby o nieustalonej tożsamości. Większość szukających u nas schronienia to nieliczni Ukraińcy, którzy nie podpadają pod unijną dyrektywę o tymczasowej ochronie z 2022 r., Białorusini i Rosjanie, w tym Czeczeni.

Jednocześnie w Polsce pracuje legalnie prawie milion cudzoziemców na podstawie pozwoleń na pracy, niepoliczona rzesza obywateli UE, którzy żądanych pozwoleń na pracę nie potrzebują, i ponad milion Ukraińców, którzy mają prawo legalnie pracować na podstawie unijnej dyrektywy.

To pokazuje skalę problemu na naszym podwórku – znikomą w porównaniu z bardziej atrakcyjnymi dla migrantów krajami. Nawet gdybyśmy po prostu otworzyli granicę z Białorusią i przyjmowali wszystkich, których Łukaszenka i Putin nam nadsyłają, nie powstałby z tego powodu żaden kryzys, humanitarny ani kulturowy. Nikt by tego nawet nie zauważył.

Aby było jasne: ten artykuł nie powstał, aby wzywać do przyjmowania wszystkich. Po pierwsze: taki ruch przyciągałby – napędzając zyski liniom Belavia – coraz więcej chętnych. Migranci, którzy próbują forsować zasięki w Puszczy Białowieskiej, nie znaleźli się tam wyłącznie jako biedne, bezwolne ofiary wprowadzone w błąd przez okrutnych władców Białorusi i Rosji. To dotyczyło może tych pierwszych, którzy błakali się po wioskach Podlasia w 2021 r. Teraz każdy, który wyrusza z Erytrei, Syrii albo Iraku, został zachęcony przez wieści od tych, którym się udało dostać do Niemiec, i przez informacje, które sobie wyszukiwał w internecie. Po drugie: to byłoby otwarte łamanie konwencji dublińskiej, które obowiązują kraje na granicy zewnętrznej UE do jej ochrony. A po trzecie: Czesi, Słowacy i Niemcy natychmiast zaostrzyliby kontrolę na swoich granicach z Polską.

Lecz tymczasem „presja migracyjna”, jak SG to nazywa w komunikatach, jest niemal zerowa, więc merytorycznego powodu do wypychania ludzi z powrotem w puszcę i za mur nie ma. Obecny rząd robi to z tego samego powodu co poprzedni: urządza widowisko, które ma pokazać, że panuje nad sytuacją i stosuje metody, jakie cieszą się największą popularnością wśród ankietowanych.

A ci w przeważającej większości są za tym, aby twardo rozprawić się z „hybrydowymi wojownikami Łukaszenki” – szczególnie wtedy, kiedy rząd epatuje przemocą, jaką niektórzy migranci faktycznie stosują wobec pograniczników i żołnierzy. Kiedy Donald Tusk jechał na granicę, rozporządzenie o strefie buforowej miał już gotowe, musiało więc powstać przed zasztyletowaniem szeregowego Mateusza Sitka.

A przemocy będzie na tej granicy coraz więcej. To skutek profesjonalizacji przemysłników i zmian w strukturze społecznej samych migrantów: odkać mamy tam zasięki i zapory, przyjeżdża mniej rodzin, a więcej młodych mężczyzn.

To nic nowego. Kiedy Orban budował swój mur na granicy z Serbią, dostał poklask od całej skrajnej i populistycznej prawicy w Europie. Obecnie nad tą granicą serbscy pogranicznicy walczą z przemysłnikami jak FBI z mafią narkotykową nad Rio Grande. Obie strony mają broń automatyczną. Jest kwestią czasu, kiedy w Białowieży pojawi się pierwsza grupa uzbrojonych młodzieńców, przed którą maszerują imigranci z dziećmi jako żywe tarcze. Bo mamy tam nie kryzys humanitarny, ale kryzys bezpieczeństwa, do którego polityka naszych rządów się walenie przyczyniła.

Dlatego warto się zastanawiać nad alternatywą, choćby i kosztowną, dla militaryzacji. Bezsens takiej polityki pokazuje śmierć młodego żołnierza. Gdy cały kraj domagał się wyjaśnień, dlaczego żołnierzy strzelających do migrantów (długo przed atakiem nożownika) odprowadza się w kajdankach, nikt się nie zastanawiał, co robił przy tej zaporze 21-letni szeregowiec, który służył dopiero od pięciu miesięcy i nie nosił żadnej kamizelki, która mogłaby go chronić. Dlaczego znalazł się tam naprzeciwko agresywnego tłumu? Żołnierzy się nie szkoli, jak sobie radzić

z agresywnym tłumem cywilów, policję i Straż Graniczną owszem.

Migranci, którzy przekraczają granicę wschodnią poza przejściami granicznymi, popełniają w świetle prawa wykroczenie. Za to zbyt surowo karać nie można. Karania za przekroczenie granicy w celu ubiegania się o ochronę międzynarodową zabrania w dodatku konwencja genewska z 1951 r. – o ile, jak mówi jej artykuł 31, przybywają „bezpośrednio z terytorium, na którym ich życiu lub wolności zagrażało niebezpieczeństwo”, i „pod warunkiem, że zgłoszą się bezzwłocznie do władz i przedstawią wiarygodne przyczyny swojego nielegalnego wjazdu lub pobytu”.

Żaden z migrantów nadsyłanych przez reżim białoruski nie „przybywa bezpośrednio” do Polski „z terytorium, na którym zagraża mu bezpieczeństwo”. Wszyscy przybyli ze swego kraju na Białoruś (często nawet tranzytem przez inne kraje, gdzie mogli szukać schronienia). Wszyscy też, zamiast „bezzwłocznie zgłosić się do władz”, unikają tych władz jak ognia, gdyż te władze wypychają ich z powrotem, biją i przerzucają przez płot. A więc zakaz karania z art. 31 konwencji przestanie obowiązywać, kiedy władze stworzą legalną możliwość składania wniosku na granicy. To nie znaczy, że tych ludzi będzie można odesłać na Białoruś. Ostatnio Trybunał Sprawiedliwości UE orzekł w postępowaniu wobec Węgier, że wydalenie do kraju, gdzie nie ma gwarancji uczciwych procedur azylowych, ochrony przed maltretowaniem i przed deportacją tam, skąd dana osoba uciekła, jest niedopuszczalne. Ale wolno karać tych migrantów, którzy forsują granicę, mimo że mogliby legalnie składać wnioski o ochronę na przejściu granicznym – jak w przypadku Ceuty, hiszpańskiej enklawy w Afryce.

Gdyby więc zaostorzono kodeks karny tak, aby wykroczenie polegające na nielegalnym przekroczeniu granicy stałoby się przestępstwem obwarowanym wysoką karą, i jednocześnie otwierano przejście graniczne, gdzie można składać wnioski o ochronę, to zniknęłyby bodźce skłaniające migrantów do forsowania zapy, a Straż Graniczna i policja mogłyby aresztować ludzi przechodzących przez zieloną granicę nawet długo po opuszczeniu strefy nadgranicznej. Oni zaś mogliby nadal składać wnioski o ochronę (naruszenie prawa nie pozbawia prawa do ochrony), ale za pośrednictwem adwokata – jako więźniowie w areszcie śledczym lub po wyroku w więzieniu.

Wielu imigrantów już teraz jest pozbawionych wolności – siedzą bezterminowo w zamkniętych

wilów albo zostaliby rozbrojeni. Tak bywało w pamiętnym kryzysowym 2015 roku – przypadki wycofywania się funkcjonariuszy miały miejsce na granicach węgiersko-austriackiej i austriacko-niemieckiej. Natomiast azyl jest ochroną indywidualną, dostaje się ją, jeśli można udowodnić, że jest się ofiarą celowych prześladowań politycznych – na przykład z powodu poglądów.

W dzisiejszym świecie nie ma powodu, aby takich ludzi zmuszać do przepłynięcia morza albo przeczołgania się przez bagna Puszczy Białowieskiej, aby przedstawić wniosek o azyl. Mogliby to zrobić elektronicznie albo w przedstawicielstwie dowolnego kraju UE, do którego dotrą. Jeśli zostanie rozpatrzony pozytywnie, wsiadają do samolotu i bezpiecznie docierają do nowej ojczyzny. Skutek: Straż Graniczna może się już tylko zajmować ludźmi, którzy na granicy składają wnioski o ochronę międzynarodową. Wtedy każdy będzie mógł robić, co do niego należy i z czego był szkolony: Straż Graniczna chronić granicę, wojsko budować zapory przeciwczołgowe w ramach „Tarczy Wschód”, zamiast gonić cywilów po chaszczach, organizacje pozarządowe ratować ludzi z bagien i przekazywać SG, która skieruje ich do Urzędu ds. Cudzoziemców.

Zostają trzy praktyczne i jeden hipotetyczny problem do rozwiązania: co robić z tymi, którzy jednak wolą się przedrzeć przez zieloną granicę, co robić z tymi, których należy, ale nie można deportować, bo ich kraje pochodzenia ich nie przyjmują albo prawo zabroni ich deportacji (na przykład do Syrii, Afganistanu, Erytrei albo Iranu)? I co robić, jeśli na granicy pojawi się coraz więcej chętnych na składanie wniosków o ochronę?

Adam Wajrak ostatnio opisał, jak ślepe jest państwo polskie na białoruskiej granicy, bo władze ignorują szansę, jakie mimowolnie daje im polityka Putina i Łukaszenki. Miesiąc w miesiąc białoruskie i rosyjskie linie lotnicze przywożą ludzi wyposażonych w smartfony i kamery, wożą ich na granicę i jeszcze pomagają im przedostać się na obszar NATO. Ale zamiast wykorzystać ich opowieści, analizować ich zdjęcia, Straż Graniczna goni ich z powrotem na Białoruś. A nie chodzi wcale tylko o informacje wywiadowcze, jakie można zdobyć. Sami migranci stanowią doskonałe narzędzie do rozbicia biznesu, który ich przywozi. Od czterech lat po białoruskiej stronie odbywa się bowiem szereg międzynarodowych zbrodni, karalnych również poza terytorium Białorusi: systematyczny i szeroko zakrojony atak

Jedną z pierwszych decyzji nowej junty w Nigrze było zniesienie kar za pomoc uchodźcom na drodze do Europy. Firmy transportowe, mali hotelarze i przewodnicy świętowali

ośrodkach dla uchodźców, często razem z dziećmi, na przykład dlatego, że nie mają dokumentów albo że ich kraj ich nie przyjmuje z powrotem. Z ich perspektywy to postępowanie Polaków jest arbitralne, nieobliczalne, ale niekoniecznie zniechęcające. Bo równie dobrze może się udać.

Wprowadzenie ustawowej kary orzekanej w dwuinстанcyjnym postępowaniu sądowym spowoduje, że każdy będzie wiedział, co mu grozi. Gdy nie o samo karanie tu chodzi, lecz o zniechęcanie do nielegalnej imigracji. Karanie jest tylko elementem większej układanki, której celem jest sytuacja, w której możliwie nikt nie zostanie ukarany.

Jednym z elementów tej układanki jest zniesienie azylu politycznego w obecnej formie.

Azyl to nie to samo co ochrona międzynarodowa. Ona określa status ludzi, którzy uciekają przed wojną, wojną domową albo masowymi prześladowaniami. Jeśli coś takiego się zdarza w sąsiednim kraju, nie ma możliwości ograniczenia napływu uchodźców – ludzie po prostu uciekają i kiedy jest ich wielokrotnie więcej niż pograniczników, ci się wycofują, bo musieliby strzelać do bezbronnych cy-

na ludność białoruską (po protestach w 2020 roku), to znaczy zbrodnia przeciwko ludzkości i naruszenia konwencji przeciwko torturom; systematyczny atak na ludność cywilną, którą reżim specjalnie przywozi na teren Białorusi, to zbrodnia przeciwko ludzkości, konwencji przeciwko handlowi ludźmi i konwencji przeciwko torturom.

W obu przypadkach to zbrodnie międzynarodowe, które nie tylko Międzynarodowy Trybunał Karny, ale i każdy sąd w Europie (polski też) mogą osądzić, jeśli sprawca zostanie u nich zatrzymany albo do nich przekazany. Nie chodzi o to, aby karać Łukaszenkę, który i tak cieszyłby się immunitetem jako głowa państwa. Chodzi o setki, tysiące funkcjonariuszy, którzy uczestniczą w tym procederze, od kierownictwa Belavii po mundurowych, którzy poganiają Irakijczyków i Afrykanów ku polskiej granicy.

Wyobraźmy sobie, co by było, gdyby do wszystkich – do nich, do migrantów, a więc też do ich przyjaciół i członków rodzin, którzy rozważają, czy podążać ich śladami – poszedł jasny sygnał, że polskie władze nie wypychają już ludzi z powrotem, lecz przesłuchują, konfiskują i analizują ich smartfony, aby zdobyć informacje na temat przemysłników, ich szlaków i krytycznej infrastruktury na pograniczu.

Wyobraźmy sobie dalej, że władze polskie wręcz zachęcałyby migrantów do przyjazdu na Białoruś, namawiając do fotografowania wszystkiego, co się da, po drodze, i do wrzucania tego natychmiast do chmury, do której polskie służby mają dostęp, rozpowiadając przy tym, że im więcej informacji i zdjęć migranci przywożą, tym większe są szanse, że nie zostaną ukarani więzieniem za nielegalne przekroczenie granicy. Jak służby białoruskie i rosyjskie by zareagowały? Skrajną nieufnością wobec swoich „klientów”.

„Hybrydowi wojownicy Łukaszenki”, jak nazywa tych ludzi prawica, staliby się nagle potencjalnymi polskimi szpiegami przeciwko Rosji i Białorusi.

I znowu, tak jak z zaostreniem prawa karnego, nie chodzi o to, aby królika złapać, migrantów i uchodźców wpychać między młot białoruskiego KGB i kowadło polskiego prawa karnego, lecz o to, aby królika gonić, to znaczy stworzyć sytuację, w której wszystko maksymalnie zniechęca wszystkich do tego, co zamierzają robić: migrantów do przyjazdu na Białoruś, białoruski reżim do przywożenia ludzi.

To jest też odpowiedź na pytanie, co zrobić z tymi migrantami, którzy mimo możliwości składania wniosków o ochronę na przejściu granicznym wolą się przedrzeć przez puszcę: po złapaniu dostaną wybór – albo kara, albo pełna współpraca z władzami, w tym z Agencją Wywiadu. Niestety, ta układanka ma też cenę.

Cała koncepcja ma sens, jeśli uda się przełamać dominację komunikacyjną, jaką mają nad migrantami przemytnicy oraz ich przyjaciele i krewni, którym udało się dostać do celu. Migranci ulegają bowiem dwóm zjawiskom znanym psychologom jako błąd przeżywalności i błąd potwierdzenia. Ten ostatni laicy znają jako myślenie życzeniowe: ludzie chętnie przyjmują i akceptują informacje, które potwierdzają słuszność ich decyzji. Ten pierwszy natomiast opisuje tendencję do wyciągania wniosków tylko z przypadków, które z sukcesem przeszły przez jakieś sito. Robią to na przykład wszyscy, którzy uważają, że od bardzo starych ludzi można otrzymać wskazówki, co robić, aby długo żyć. A migranci zdecydowani na podróż do Europy chętnie przyjmują informacje, które potwierdzają, że mają szansę, od tych, którym się udało. Ci, którzy nie przeżyli, nie mogą ich ostrzec, ich los więc nikogo nie odstrasza.

Innymi słowy: dla migrantów bardziej przekonujący są migranci, którzy dotarli do zachodniej Europy, niż ci, którzy zostali na dnie morza.

Ci zaś, którzy dotarli do Europy, ale zostali deportowani albo dobrowolnie wrócili, zazwyczaj nie mówią o tym w ogóle. W swoich rodzinach, wioskach i środowiskach uchodzą za nieudaczników, często rodziny ich wykluczają, gardzą nimi, bo zmarnowali kapitał, jaki cała rodzina zbierała, aby opłacić koszty podróży. Często zmieniają dzielnicę, region albo miasto, aby startować od zera w środowisku, gdzie nikt ich nie zna. Ich przykład też nikogo nie odstrasza, bo nikt o nim nie wie.

Temu sucha prawnicza informacja na stronie internetowej konsulatu polskiego o tym, że Polska nie uznaje (na przykład) Irakijczyków za uchodźców i deportuje ich, nie jest w stanie się przeciwstawić. Mało kto w ogóle chce do Polski, ona jest tylko krajem tranzytowym na drodze do Niemiec, krajów Beneluksu, Skandynawii albo Wielkiej Brytanii. Jeśli potencjalni migranci w Iraku mają otrzymać wiarygodne dla nich informacje, zdolne przebić błędną bańkę, która każe im ryzykować życie, musi ona pochodzić z innych źródeł: od zaufanych ludzi, od multiplikatorów w Iraku, od lokalnych przywódców i dziennikarzy, nie od polskiego konsula albo jakiejś unijnej agencji.

Raczej nie przekona ich najnowszy pomysł ministra Sikorskiego, aby w mediach w krajach pochodzenia migrantów ostrzegać, jak niebezpieczne są Białoruś i przeprawa przez puszcę. Przeprawa przez morze jest bardziej niebezpieczna, a i tak nikogo nie odstrasza. Lepszym pomysłem jest zaproszenie irackich dziennikarzy i influencerów do Polski i Niemiec, aby mogli zbierać materiał, i zamawianie u nich reportaży o tych, którzy zostali deportowani i teraz ukrywają się przed rodziną. Ostatnio taki reportaż robił kanał France 24, dość popularny w Afryce. Lecz skłonienie multiplikatorów, aby pomogli skasować w swoich krajach zbiorowy błąd przeżywalności, to operacja, która wymaga odpowiednio obsadzonego konsulatu lub ambasady ze sprawnym działem PR, z programami stypendialnymi i kontaktami z mediami znanymi i lubianymi w Afryce.



FOT. AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Kryzys migracyjny? Jaki kryzys?

NIECO PONAD

5000

LUDZI

• próbowało dostać się w pierwszym kwartale do Polski na całej granicy, od Kaliningradu do Ustrzyk Górnych. W czasie do Wysp Kanaryjskich dopłynęło 16 000, przez całe Morze Śródziemne przedostało się 50 000

29

AFGANCZYKÓW

• złożyło wniosek o ochronę w pierwszym kwartale tego roku. Tyle samo Erytrejczyków, 23 obywatele Syrii, 9 osób z Iranu, jedna osoba bez obywatelstwa i cztery o nieustalonej tożsamości

OKOŁO

422 000

LUDZI Z NAKAZAMI

• opuszczenia kraju jest w całej Unii. Mniej niż 1/4 z nich udaje się klonić albo zmusić do powrotu

sze SG akurat patrzyli w inną stronę, kiedy przekraczał zaporę, Policja Federalna musi udowodnić, że był w Polsce, aby móc go przekazać. Jeśli nie uda im się przekonać SG w pół roku, obowiązek przeprowadzenia procedury ochrony i ewentualnej deportacji przechodzą na władze niemieckie.

Krótko po ataku Rosji na Ukrainę rząd Morawieckiego powiadomił niemieckie władze, że od-tąd Polska już nie przyjmie żadnego migranta w ramach systemu dublińskiego, gdyż w ciągu kilku tygodni do Polski wjechały wtedy ponad 3 miliony Ukraińców. Co wyglądało jak przekonujący argument, było tanią wymówką: Ukraińcy nie stanowili większego obciążenia dla polskich procedur azylowych, bo nie musieli się w ogóle ubiegać o ochronę lub azyl – dostali numer PESEL, dostęp do służby zdrowia i rynku pracy i mieszkali w zbiorowych ośrodkach, tylko jeśli nie mogli znaleźć innego lo-kum.

Mało kto zauważył wtedy, że zawieszenie readmisi-dublińskich stanowiło ogromną zachętę dla Irakijczyków i innych migrantów, których kraje miały połączenia lotnicze z Rosją i Białorusią. Mogli być pewni, że jeśli uda im się przedostać przez puszcę, to – wobec ówczesnego braku jakichkolwiek kontroli na granicy polsko-niemieckiej – nie tylko dostaną się do Niemiec, ale też będą mieli gwarancję, że nikt ich nie odeśle do Polski. Innymi słowy: im więcej mi-grantów odsyłanych z Niemiec Polska przyjmie, tym skuteczniej odstrasza tych, którzy przymierzają się do podróży ich szlakiem.

Jeśli empatyczna polityka migracyjna wejdzie kiedyś w życie, przykładowi Irakijczycy chętni do emigracji dowiedzą się przed wyjazdem, że o azyl mogą się ubiegać tylko w Polsce i przez internet. Jeśli chcą ochrony międzynarodowej w Niemczech, to lepiej wybrać się tam inaczej niż przez Białoruś i Polskę, bo albo po drodze muszą się stać polskimi szpiegami, albo lądują w polskim więzieniu zamiast na niemieckim rynku pracy.

Dla organizacji pozarządowych karanie migrantów więzieniem i czynienie z nich szpiegów to spora żaba do połknięcia, ale dzięki temu Straż Graniczna nie będzie już musiała naruszyć prawa, a migranci będą nie bici i przepychani, ale po zatrzymaniu dostaną wsparcie organizacji pozarządowych i adwokatów, uczciwe procesy i możliwość unikania albo zmniejszenia kary. Do przemytników i służb Białorusi i Rosji dotrze wiadomość, że przepuszczając migrantów, dostarczają natowskiemu wywiadowi cenne informacje i samych siebie narażają na sankcje w każdym europejskim kraju, do którego chcą kiedyś jechać.

Empatyczna polityka migracyjna pogodzi pograniczników, służby specjalne i organizacje pozarządowe, bo powstanie sytuacja, w której nikt nie musi się ukrywać i ginąć w lesie, nikt nie musi się sprzeniewierzyć sumieniu, aby zachować pracę, i nikt nie musi się narażać na sankcje karne tylko dlatego, że chciał pomóc.

Tyle tylko, że wymaga to więcej wysiłku niż budowanie kolejnych zapór i kontynuowanie linii, która oburza nielicznych i podoba się większości. Militaryzacja migracji bardzo silnie działa na wyobraźnię. Sondaże wskazują, że po czterech latach przedstawiania problemu migracji tylko w kategoriach bezpieczeństwa, kwestia „obrony przed Rosją” i kwestia migracji zlewają się w głowach respondentów w jedno i każdy, który proponuje odstępstwo od „twardego kursu” wobec ludzi w drodze, znajdzie się natychmiast w ogniu krytyki jako „agent Moskwy”.

Nieważne, czy nowy rząd buduje „Tarczę Wschód” przeciwko ewentualnej inwazji z Białorusi (to bez problemu dałoby się pogodzić z empatyczną polityką migracyjną) czy kolejne zapory przeciwko migrantom i kontynuuje pushbacki (co osłabia „Tarczę”, bo demoralizuje wojsko i Straż Graniczną) – ważne, aby nas twardo i widowiskowo bronił. ●

FOT. FRANCISZEK MAZUR / AGENCJA WYBORCZA.PL



Klaus Bachmann

• - ur. w 1963 r., dziennikarz, publicysta, historyk, politolog. Od końca lat 80. korespondent niemieckich i austriackich gazet w Warszawie, Kijowie, Mińsku i Wilnie, na początku lat 2000. korespondent w Brukseli i krajach Beneluksu. W 2004 r. został kierownikiem katedry politologii na Uniwersytecie Wrocławskim. Obecnie wykładowca Uniwersytetu SWPS. Autor wielu książek i prac naukowych, po polsku ukazały się „Polska kaczka w europejskim stawie. Polskie szanse i wyzwania po przystąpieniu do UE” i „Długi cień Trzeciej Rzeszy”.

KOGO OBCHODZI KSZTAŁT NAKRETKI OD BUTELKI

Nie na redukcję gazów cieplarnianych powinniśmy
łożyć, ale na czołgi, samoloty, linie obronne wzdłuż
granicy wschodniej.

Z KONFEDERACKIM
EUROPOSŁEM-DEBIUTANTEM
MARCINEM SYPNIEWSKIM
ROZMAWIA **PIOTR GŁUCHOWSKI**

PIOTR GŁUCHOWSKI: Cieszy się pan, że został pan eurodeputowanym?
MARCIN SYPNIEWSKI: Bardzo. Tym mocniej, że to się do ostatniej chwili ważyło. O szóstej rano w poniedziałek okazało się, że zebrałem 49 głosów więcej od mego głównego konkurenta.

Długa i trudna była ta pańska droga do sukcesu. Startował pan na prezydenta Bydgoszczy dwa razy – w 2018 r. i obecnie.
– Za pierwszym podejściem zdobyłem 4 tys. głosów, za drugim ponad osiem.

Ile razy startował pan do Sejmu?
– Trzy razy z pierwszego miejsca w Kujawsko-Pomorskiem. Za pierwszym podejściem moja partia, KORWiN, nie przekroczyła progu. Za drugim razem zabrakło mi 1 tys. głosów, żeby wejść z komitetu Konfederacji. Za trzecim – 3 tys.

W przedostatnich eurowyborach też nie poszło. W sumie przegrał pan sześć elekcji, żeby wygrać za siódmym razem.
– Jak widać, jestem uparty, cierpliwy i konsekwentny.

I pomysły. Skoro nie drzwiami, to oknem. Kujawiacy i Pomorzanie – nie chcieli pana wybrać, więc partia dała większy i bardziej konfederacki okręg – województwo śląskie.
– Dostałem tzw. miejsce biorące. W woj. kujawsko-pomorskim szans na mandat europosła dla Konfederacji nie było żadnych...

...poza tym tam miejsce zajął Tomasz Mentzen, brat Sławomira, specjalista od kryptowalut, z zarzutem udziału w zorganizowanej grupie przestępczej. Dostał 26 tys. głosów, a i tak się nie dostał.
– Na miejscu biorącym również trzeba pracować w kampanii, bo jest masa przypadków, gdy jedynka przegrywa, a wchodzi kandydat z dwójki albo nawet dalszy. Tak było teraz w Małopolsce, gdzie wygrał Grzegorz Braun z drugiej pozycji na naszej liście, a przepadł Konrad Berkowicz, „jedynka”.

Za co partia dała panu ten Śląsk?
– Za długie lata pracy. Jestem sekretarzem Konfederacji i wiceprezesem Nowej Nadziei Sławomira Mentzena. Wykonuję mnóstwo cichej roboty na zapleczu. Zajmuję się kam-

paniami wyborczymi, obiegiem informacji, ogarniam partyjną buchalterię.

Same nudy.
– Organizowałem też ogólnopolskie tournée „Piwo z Mentzenem”.

Nie wiem, czy jest się czym chwalić. Terapeuci od uzależnień mówią, że ta impreza jest skandalem w kraju, w którym kilka milionów to alkoholicy.
– Nikt na naszych spotkaniach nie zmuszał do picia. A ludzie i tak chodzą na piwo, z Mentzenem albo bez.

Kogo będzie pan reprezentował w Brukseli? Wyborców z woj. kujawsko-pomorskiego czy jednak Ślązaków?
– Podział na okręgi wyborcze do Parlamentu Europejskiego jest sztuczny. Europosel nie reprezentuje regionu, ale Polskę. W Niemczech i wielu innych krajach podczas euroelekcji jest lista krajowa – i już. Mam mieszkanie w Katowicach, będę pracował i w woj. śląskim, i kujawsko-pomorskim.

Tutaj pan mieszka ładniej niż w Katowicach: dom pośród pól, za domem sad, spokojna wiejska okolica, a zarazem 20 minut do centrum Bydgoszczy...
– Gospodarstwo, które, jak pan widzi, cały czas remontuję, kupiłem od byłego dyrektora bydgoskiego liceum nr 1, do którego chodziłem jako uczeń w latach 90. Do równoległej klasy uczęszczał Paweł Olszewski...

...syn wojewody bydgoskiego z SLD, obecnie poseł KO i wiceminister cyfryzacji.
– Po maturze skończyłem prawo na Uniwersytecie Gdańskim, dwa lata pracowałem w bydgoskim magistracie przy zamówieniach publicznych. Ostatecznie założyłem własną działalność gospodarczą. Mamny z żoną Karoliną, która jest radcą prawnym, firmę odszkodowawczą.

A z drogą do Konfederacji jak było?
– Jeszcze w ogólniaku zainteresowałem się myślami Janusza Korwin-Mikkego. Zapisalem się do bydgoskiej Unii Polityki Realnej w 1997 r. Na studiach działałem w młodzieżowce. Roznoszenie ulotek, wieszanie banerów i tak dalej.

Przeszedł pan u boku Korwin-Mikkego przez wszystkie jego partie: UPR, Kongres Nowej Prawicy, KORWIN, teraz Nowa Nadzieja w ramach Konfederacji. I oto wystartowaliście obaj na Śląsku z konkurencyjnych list.
– JKM był w woj. śląskim liderem Bezpartyjnych Samorządowców.



■ Czwarta próba - rok 2019, kampania wyborcza Marcina Sypniewskiego w Bydgoszczy

A właściwie komitetu o nazwie Normalna Polska w Normalnej Europie. Dostał 4 tys. głosów i przepadł wraz z całą listą. Dlaczego nie startował z Konfederacji?
– Sławomir Mentzen po ostatnich wyborach parlamentarnych ogłosił, że nie będzie już dla pana Janusza miejsca na naszych listach, co było efektem niefortunnej wypowiedzi JKM na temat dziewczynek.

Że tak zwany wiek zgody jest wynalazkiem niepotrzebnym...
– Co mam panu powiedzieć? Były prezes przy wszystkich jego zaletach nieustannie coś takiego chlapał, rzecz ogólnie znana. Trzeba było Mentzena, by to wreszcie przeciąć. I proszę: są efekty. Jesteśmy dziś trzecią siłą w polskiej polityce.

Morawiecki mówi już o was „nasi potencjalni partnerzy” i dodaje, że „Konfederacja ma dobre pomysły”. Będzie sojusz z PiS? Wspólny kandydat na prezydenta?
– Nie ma mowy! My nie chcemy się z nimi bratać, ale ich zastąpić. Bo jesteśmy takim bardziej wiarygodnym PiS. Oni o Zielonym Ładzie oraz imigrantach jedynie mówią. Głównie przed wyborami. A nie zrobili nic. Godzili się na unijne regulacje klimatyczne, kiedy byli u władzy. Wpuszczali imigrantów tysiącami. Wcale nie jestem pewny, czy w ogóle dotrważą do kolejnych wyborów.

Dotrważą, dotrważą, już wrócono koniec PiS. Myślę, że Morawiecki z Kaczyńskim chętnie by was przytulili, jak Tusk „przystawki”, i to z podobnym skutkiem.

Do Ukraińców płyną transfery socjalne, ich dzieci dostają miejsca w szkołach i przedszkolach, a my nie mamy nawet tych podstawowych gwarancji, że po wojnie weźmiemy udział w odbudowie Ukrainy. Nowy rząd zaniedbuje temat tak samo, jak poprzedni

– Przytulili?! Niech pan nie żartuje. Przez osiem lat nie pokazywali nas w publicznej telewizji, wszelkie zaprzyjaźnione z PiS media – rozgłoszenie regionalne, PAP, prasa Tomasza Sakiewicza i braci Karnowskich – były dla nas zamknięte. A dzień przed wyborami parlamentarnymi zrobili nam jeszcze lincze.

TVP Info ujawniła tzw. taśmy Mariana Banasia, na których szef NIK chwalił się wpływem – poprzez syna – na Konfederację i zapewniał, że dopilnuje, by ta nie weszła w sojusz z partią Kaczyńskiego.
– I teraz oni mają czelność nazywać nas „partnerami”?! Morawiecki może sobie gadać różne rzeczy, bo do wyborów daleko...

...czyli nie ma racji, mówiąc, że macie „dobre pomysły”?
– Mamy wymyślenie! Walka z Zielonym Ładem, powstrzymanie przyjęcia waluty euro, odrzucenie paktu migracyjnego, obniżenie podatków... a najpierw ich uproszczenie, bo w tej chwili system podatkowy jest polem minowym. Ja to jako przedsiębiorca doskonale widzę. Problemy z rozliczaniem kosztów uzyskania przychodu... Przysłowiowy pączek inaczej opodatkowany zależnie od sposobu, w jaki jest sprzedawany. Obecnie ten, kogo stać na prawnika, płaci podatki niskie, a kogo nie stać – wysokie.

Możecie taki postulat głosić, bo wiecie, że w wyobraźalnej przyszłości nie będziecie rządzić. Nikt was z tego nie rozliczy.
– Nieprawda. Każda partia istnieje, aby rządzić. Z latami się profesjonalizujemy, jesteśmy już dwie kadencje w Sejmie, mamy prezydenta Bełchatowa, teraz też europosłów. Przygotowujemy się do rządzenia.

A kiedy przejmiecie władzę – zlikwidujecie 800 plus?
– Ten program został stworzony dla podwyższenia diety – bo stoimy przed katastrofą demograficzną, czego nie kwestionuję. Zwracam tylko uwagę, że wyższej diety jak nie było, tak nie ma.

Czyli 800 plus zlikwidować?
– Dobrobyt nie bierze się z zapomóg, tylko z pracy. Program „Rodzina 800 plus” jest do głębokiej reformy. Byłem mu przeciwny od początku.



Bo ludzie wydadzą na wódkę? Badania wykazały, że tak się nie stało. Zmniejszyła się sfera ubóstwa.
– Polacy dobrze wydali rozdane pieniądze i temu nie zaprzeczam. Lepiej jednak nie zabierać środków podatkami, by je potem dzielić, tylko zostawić wszystko w kieszeniach obywateli.

Jak to jest być eurosceptykiem na unijnej pensji?
– Jeszcze nie wiem, bo na razie nic nie dostałem. A poza tym Unia nie ma własnych pieniędzy. Ma je z podatków od obywateli, również od eurosceptyków. Gdyby w europarlamencie siedzieli wyłącznie zwolennicy ściślejszej integracji – to by to nie miało sensu.

Czemu?
– Odpowiem inaczej. Każdy rząd Polski po 1989 roku okazał się beznadziejny. Czy to oznacza, że mamy nie startować do Sejmu? My chcemy Unię zmienić – także od środka.

Na jaką?
– Najlepiej, aby była wspólnotą gospodarczą – jak na początku. Wolny handel, otwarte granice. I koniec z biegunką prawną, wydawaniem tysięcy głupich rozporządzeń dla wszelkich dziedzin życia. Czy to dotyczy kształtu nakrętki od butelki, czy ograniczeń dla polskich firm transportowych, które nas wyrzuciły z zachodniego rynku – koniec. Koniec też ze zwiększaniem unijnych kompetencji kosztem państw członkowskich.

Ceni pan pismo Korwin-Mikkego „Najwyższy Czas!”?
– Jak najbardziej. Czytam, choć nieregularnie, od 30 lat.

Coś panu zacytuje. Numer z 4 stycznia 2003 r., krótko przed referendum w sprawie akcesu do Unii. Tomasz Sommer pyta: „Kiedy zbankrutujemy?”. „Ewentualne wejście do UE postawi polskie finanse w sytuacji rozpaczliwej. »Tak« w euroreferendum może oznaczać zgodę na zupełną nędzę (...), będziemy musieli dopłacać do UE, bo trzeba regulować unijne składki, co oznacza, że realnie wpłacimy na rzecz Unii około 60 mld zł rocznie”. Dziś wiemy, że bilans członkostwa to 161 mld euro netto dla naszego kraju.

– Sam głosowałem wtedy przeciw akcesowi. I widzę, że niektóre złe prognozy jednak się sprawdziły. Koszty dostosowawcze są duże.

Jakieś przykłady?
– Podwyższone opodatkowanie energii elektrycznej już wkrótce odczujemy w kieszeni. Dalej weźmy gospodarkę śmieciami. Musieliśmy wprowadzić system segregacji, który nie zadziałał...

To pańska opinia. W mojej gminie segregacja hula bez zarzutu.
– Tymczasem dzikich wysypisk jest coraz więcej. Właściciele je podpalają, by się pozbyć kłopotów. Do tego masowy import odpadów zza granicy. Za rządów PiS zostaliśmy śmietnikiem Europy. A te 161 mld w dużej części wydano bez głowy.

Czyżby? Pieniądze, które z Unii popłynęły na wieś, zmieniły ją w sposób historyczny. Pan był w latach 90. w ogólniaku, ja jako młody dziennikarz już jeździłem w teren. Wsie były obrazem nędzy i rozpaczy, dziś większość wygląda jak w Niemczech.
– Jeszcze raz powtarzam: bogactwo nie pochodzi z dotacji, tylko z tworzenia dóbr. Polski rolnik bierze kredyt w niemieckim banku, kupuje w sklepie należącym do niemieckiej albo portugalskiej sieci handlowej...

...w której leżą na półkach w większości polskie produkty. A kredyt można wziąć w banku polskim. To jest ta wolność wyboru, którą však popieracie. Korzystamy z członkostwa w Unii pełnymi garściami, a wy ją obrzyczacie, jak to robili kiedyś komuniści, strasząc „zgniłym Zachodem”.
– Zgniłe są unijne elity. Skorumpowane, że przypomnę tylko aferę z Evą Kaili, zdegenerowane. Skupiają się na promocji klimatyzmu, aborcji, ideologii LGBT...

Pan nie wierzy w antropogeniczne ocieplenie klimatu?
– Wierzę, że człowiek ma wpływ na klimat, ale nie największy. Więcej ważą naturalne cykle przyrody. Polityka klimatyczna Unii nie dlatego jest błędna, że ocieplenia nie ma, lecz dlatego, że Europa go sama nie zatrzyma. Bo nie jest otoczona szklaną kopułą. Nawet jeśli my ograniczymy emisję dwutlenku węgla, nie zrobią tego Rosja, Chiny ani USA. Europejczycy mają więc niszczyć swoje gospodarki w imię dobra ludzkości, a inne kontynenty spokojnie się będą rozwijać, produkując tyle gazów cieplarnianych, ile im się podoba. Spytajmy: kto ma w tym interes?

Kto?
– Niektóre rządy, banki i wielkie korporacje. Ład ograniczyć prywatną przedsiębiorczość na rzecz działalności państwowej. Weźmy polski samochód elektryczny – ma go produkować firma złożona ze spółek skarbu państwa. Ocieplanie budynków – dostarczyć cielem ekotechnologii nie są rodzinne firmy, lecz wielkie korporacje, ponieważ próg wejścia w ten biznes jest bardzo wysoki. Panele fotowoltaiczne, pompy ciepła... najwięcej zarobią Niemcy – oni inwestują w zielone technologie, sprzedają nam wiatraki, które kupujemy, zamykając jednocześnie kopalnie. A skąd będziemy brać prąd, kiedy nie będzie już węgla, a jeszcze nie będzie atomu? Ani PiS, ani obecna koalicja nic na ten temat nie mówią.

Jakbym czytał rosyjski serwis: Unia się rozlatuje, grzęźnie w szaleństwach ideologicznych, nadchodzi katastrofa.
– Bardzo nie lubię Rosji, ale nie mam wpływu na to, że Rosjanie chwilami mówią to samo, co Konfederacja. Może taka jest prawda? Nie widzi pan tego?

Widzę wasz pożyteczny idiotyzm.
– Powiem tak: Rosja jest dla Polski wielkim zagrożeniem. Bardzo bym nie chciał żyć w kraju pod moskiewskim wpływem. Nie zmienia to faktu, że polskie priorytety są inne niż europejskie. Musimy budować wiel-

Europejczycy mają niszczyć swoje gospodarki w imię dobra ludzkości, a inne kontynenty spokojnie się będą rozwijać produkując tyle gazów cieplarnianych, ile im się podoba. Kto ma w tym interes?

ką armię, a nie zakuwać gospodarkę w zielone kajdany. Nam nie samochód elektryczny jest potrzebny, lecz amunicja i broń. Nie na redukcję gazów cieplarnianych powinniśmyłożyć, ale na czołgi, samoloty, linie obronne wzdłuż wschodniej granicy.
Konfederacja mówi jasno: po pierwsze – bezpieczeństwo.

To samo mówi teraz rządząca koalicja.
– Pan naprawdę nie widzi, że Zielony Ład jest na rękę Moskwie? Przecież my sami, dobrowolnie, ograniczamy potencjał swego przemysłu.

Skoro tak bardzo nie lubi pan Rosji, to rozumiem, że kibicuje pan Ukrainie?
– Nie jestem fanem ani jednego, ani drugiego z tych państw. Ukraina nie gra fair wobec nas. Po tym, gdy Ukraińcy otrzymali tak ogromną pomoc, zalewanie naszego kraju tanimi produktami rolnymi jest bardzo nie w porządku.

Oho! A więc jednak nie wolny rynek, tylko regulacje?
– Przeciwno nieuczciwej konkurencji – owszem. Oni sypią nawozy, jakie chcą, mają tanią siłę roboczą, tanie paliwa i żadnych zielonych regulacji. A my co? Mamy być ponownie Chrystusem narodów? Musimy zadbać o siebie, bo się wykończymy. Przecież utrzymujemy miliony ukraińskich imigrantów.

Większość z nich utrzymuje się sama. Pracują. Czyli – jak pan sam mówił – wytwarzają bogactwo, i to również dla nas.
– Ale płyną do nich transfery socjalne, ich dzieci dostają miejsca w szkołach i przedszkołach, a my nie mamy nawet podstawowych gwarancji, że po wojnie weźmiemy udział w odbudowie Ukrainy. Nowy rząd zaniedbuje temat tak jak poprzedni. Nie wiadomo, czy w ogóle będziemy coś z tej wojny mieli.

Mamy tyle, że to Ukraińcy biją się z Rosjanami – a my nie musimy.
– Tutaj pełna zgoda. Ukraina winna walczyć jak najdłużej i trzeba jej pomagać. Zgadzam się ze słowami Lecha Kaczyńskiego: jeżeli Moskwa wchłonie naszych wschodnich sąsiadów, przyjdzie również po nas.

Czy Antoni Macierewicz jest człowiekiem Kremla?
– Czemu pan mnie o to pyta?

Za chwilę wyjaśnię.
– Nie chciałbym wypowiadać jednoznacznych sądów. Macierewicza oceniam negatywnie, ale to obrzucanie się podejrzeniami jest trochę niepoważne. Mamy kilkanaście służb od bezpieczeństwa, szukaniem rosyjskich agentów zajmują się media, komisje... I niewiele z tego wynika.

Pytałem o Macierewicza, bo chcę spytać o pana kolegę partyjnego Grzegorza „Szczęść Boże” Brauna. Jeżeli ktoś jest poputczykiem równym Antoniemu, to jak dla mnie – on.
– Gdybym był zwolennikiem tego, co czyni Grzegorz Braun, byłbym w Konfederacji Korony Polskiej, a jestem w Nowej Nadziei.

Jakoś pan nie protestował po jego akcji z gaśnicą.

– Sam bym takiego happeningu nie przeprowadził. To nie są moje metody. W sumie jednak konsekwencji zbyt wielkich nie było...

...poza tym, że o parlamentarzyście antysemicie z Polski pisali i mówili dziennikarze Reutersa, CBS News, „Guardiana”, „Le Monde”, „Daily Mail”...
– Takie postacie jak Braun mają i wiernych wyznawców, i rzesze przeciwników. To pewien styl prowadzenia polityki. Polaryzowanie. Nie ciągnijmy już tego wątku.

Zostańmy przy swoich zdaniach. Słyszałem, że nie będzie przyjęty do waszej europarlamentarnej frakcji Tożsamość i Demokracja.
– W najgorszym dla niego razie zostanie, podobnie jak wcześniej Korwin-Mikke, deputowanym niezależnym. Zobaczymy.

A czy wy nie macie empatii? Dla uchodźców; dla ludzi, którzy muszą korzystać z zasiłków; dla mniejszości i innych religii? Najlepszy jest w życiu egoizm?
– Ja empatię mam jako człowiek, i to jest dobra rzecz. Natomiast państwo polskie nie ma mieć empatii, tylko interesy. Znam wielu członków naszej partii, którzy przyjmowali pod dach Ukraińców. Jednocześnie nie popierając skali pomocy rządu. Prywatna filantropia – jak najbardziej. Rozrzucanie pieniędzy z podatków – jestem przeciw!

To pański pierwszy wywiad w roli europosła?
– W ogóle pierwszy dla waszej gazety.

I co by pan powiedział na koniec czytelnikom „Wyborczej”?
– Konfederacja nie jest taka straszna, jak nas przedstawiają. Będziemy bronić wolnego rynku i interesów Polski. Nie będziemy niczego zakazywać. Nie zamierzamy nikomu narzucać, jak ma żyć. Tylko nie chcemy również, by rząd nam się wtryniał w życie.

Zatem na przykład aborcja winna być dostępna, jak się tylko kobiecie podoba?
– Przerywanie ciąży to nie antykoncepcja, lecz pozbawienie życia. Z pewnymi wyjątkami aborcja winna być zakazana.

Znowu te regulacje.
– Tak samo nie dopuszczamy zabijania sąsiadów, rudyh, niepełnosprawnych... Zakaz swobodnej aborcji to nie jest „wtrynianie się”, o którym wcześniej mówiłem, tylko pilnowanie elementarnych zasad.

Otworzy pan biuro poselskie w Bydgoszczy czy tylko na Śląsku?
– Otworzę tutaj i tam. Będę się starał pomagać w obu województwach.

W czym chce pan pomóc na Kujawach?
– Jest paląca sprawa byłej fabryki chemicznej Zachem. Nagromadzenie zanieczyszczeń w terenie pofabrycznym grozi katastrofą. Mamy ekologiczną bombę z opóźnionym zapłonem. A Unia ma pieniądze na takie przedsięwzięcia. Żeby to rozbroić.

Czyli jednak dotacje mają sens?
– W sprawie byłego Zachemu mamy katastrofę, a skoro płonie dom, nie będziemy pytać, na jakich zasadach dostajemy wodę. Sytuacja jest nadzwyczajna.

To, co pan teraz mówi, nazwałbym etyką sytuacyjną.
– Ja powiem inaczej: na pierwszym miejscu Polska. Najpierw zadbajmy o siebie, później zbawiajmy świat. ●



Benjamin Netanjahu:

TRWA WOJNA CYWILIZACJI, A ZACHÓD WOLI TEGO NIE DOSTRZEGAĆ

**Dla izraelskiego premiera „nie ma państwa palestyńskiego”,
a zachodnie stolicy uznające takie państwo, po prostu nagradzają Hamas za bestialstwo.**

Renaud Girard

LE FIGARO

Co pan sądzi o planie Joe Bidena dotyczącym zawieszenia broni w Strefie Gazy, który został włączony do rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ?
BENJAMIN NETANJAHU: – Zgodziliśmy się na tymczasowe zawieszenie broni w celu uwolnienia zakładników. Hamas jednak nadal odmawia ich uwolnienia i domaga się trwałego zawieszenia broni, co pomogłoby tym terrorystom utrzymać kontrolę nad Gazą i przygotować potwórkę z masakry 7 października – palenie niemowląt, gwałcenie kobiet, porywanie starców ocalałych z Holocaustu. Żaden odpowiedzialny rząd by się na to nie zgodził. Wszyscy zdają sobie sprawę, że to Jahja Sinwar i pozostali przywódcy Hamasu stoją na drodze do porozumienia. Wojna może zakończyć się choćby jutro – jeśli skapitulują bezwarunkowo i uwolnią zakładników.

Czy powinni opuścić Gazę i udać się na wygnanie?
– Jest to coś, co można sobie wyobrazić, gdy nadejdzie odpowiedni czas.

Prokurator Międzynarodowego Trybunału Karnego (MTK) zażądał wydania nakazu aresztowa-

nia pana i ministra obrony w pana rządzie, oskarżając was o głodzenie ludności palestyńskiej.

– Moja reakcja na to jest taka sama jak wielu przywódców, w tym prezydenta USA, którzy stwierdzili, że jest to oburzające. Wniosek prokuratora jest błędny z dwóch powodów. Po pierwsze, opiera się na fałszywej symetrii między demokratycznie wybranymi przywódcami Izraela, toczącymi sprawiedliwą wojnę przy użyciu legalnych środków, a organizacją terrorystyczną i ludobójczą, jaką jest Hamas. To tak, jakby MTK posadził Churchilla i de Gaulle'a na tej samej ławie oskarżonych, co nazistowskich dygnitarzy.

Po drugie, wniosek prokuratora oskarża Izrael o celowe ataki na ludność cywilną. W rzeczywistości jest dokładnie odwrotnie. Siły Obronne Izraela podjęły środki, których żadna współczesna armia nigdy nie stosowała w walkach miejskich, aby ograniczyć ofiary. Wysyłając wiadomości tekstowe i zrzucając ulotki informujące cywilów, by opuścili obszary, które mają zostać przejęte, nasza armia dobrowolnie rezygnuje z elementu zaskoczenia. To dlatego stosunek zabitych cywilów do bojowników jest najniższy w historii współczesnych działań wojennych, mimo że Hamas konsekwentnie wykorzystuje cywilów jako ludzkie tarcze.

A oskarżenie o celowe głodzenie ludności Gazy?

– To oszczerstwo. Od początku wojny zezwoliliśmy na wjazd do Strefy Gazy 25 500 ciężarówek, które przywoziły ponad pół miliona ton żywności i leków. Wytyczyliśmy nowe drogi i otworzyliśmy nowe przejścia graniczne dla tych ciężarówek. Zezwoliliśmy na zrzuty spadochronowe i dostęp morski dla pomocy humanitarnej. Dzięki temu ceny żywności w Strefie Gazy spadły o 80 proc.

Gdyby prokurator MTK wykonał swoją pracę polegającą na ustaleniu faktów, odwiedzając Izrael, zobaczyłby to wszystko. Ale odwołał swoją podróż bez wyjaśnienia. Nie zaproponował nawet przeprowadzenia własnego śledztwa w Izraelu, choć wie, że nasz kraj ma niezależne sądownictwo. A zasada komplementarności jest przeszkodą dla jurysdykcji MTK, jeśli chodzi o kraj z niezależnym sądownictwem. Co więcej, Izrael, który nie podpisał Statutu Rzymskiego, kwestionuje jurysdykcję MTK, zresztą MTK nie ma jej nad terytoriami Judei i Samarii (Zachodni Brzeg) i Strefy Gazy – ponieważ państwo palestyńskie nie istnieje.

Gdyby sędziowie MTK poszli w ślady prokuratora i oskarżyli Izrael o prowadzenie celowej polityki głodzenia i mordowania ludności cywilnej, takie pomówienie poważnie podsyciłoby ogień antysemityzmu na świecie, a zarazem zniszczyłoby międzynarodową wiarygodność MTK. Ustanowiłoby to nie-

• **W Izraelu nie ustają protesty przeciwko polityce rządu koalicji Likudu Benjamina Netanjahu i mniejszych skrajnie prawicowych partii (na zdjęciu jedna z takich manifestacji w Tel Awiwie na początku czerwca). 74-letni premier właśnie pobił rekord Ben Guriona pod względem czasu sprawowania władzy w Izraelu, ale jego popularność po miesiącach wojny w Gazie osiąga rekordowo niski poziom. Wielu krytyków zarzuca mu, że nie chce zakończenia wojny, bo jej przedłużanie jest korzystne politycznie dla niego samego. Wprotestcie z gabinetu wojennego odeszli kluczowi, zaproszeni do niego po ataku Hamasu z 7 października ministrowie spoza Likudu (a premier po tym gabinet rozwiązał). Mimo to Netanjahu broni swojej polityki.**

FOT. REUTERS/MARKO DJURICA

bezpieczny precedens, kwestionujący prawo demokratycznego państwa do obrony. Francja, która już ucierpiała z powodu terroryzmu, a wkrótce będzie gospodarzem narażonych na ataki Igrzysk Olimpijskich, powinna zdawać sobie sprawę, że jeśli pozwolimy terroryzmowi odnieść sukces w jednym miejscu, rozprzestrzeni się on wszędzie. Zachód musi zrozumieć, że jest to wojna cywilizacji! Izrael jest w awangardzie, a jego zwycięstwo nad terroryzmem będzie również waszym zwycięstwem.

W Izraelu, na Zachodnim Brzegu i w Strefie Gazy mieszka obecnie siedem milionów Żydów i siedem milionów Arabów. Jak wyobraża pan sobie współistnienie tych dwóch społeczności w ciągu najbliższych pięćdziesięciu lat?

– Izraelczycy chcą żyć w pokoju ze swoimi palestyńskimi sąsiadami. Ale Palestyńczycy są zakładnikami swoich nacjonalistycznych przywódców, których jedynym celem zawsze było wymazanie żydowskiej państwowości, zarówno przed, jak i po utworzeniu Izraela w 1948 r.

Zauważył to już wielki reporter Albert Londres, który przybył tu w latach 30. XX w., zestawiając biblijne motto wywieszone w mieście Tel Awiw: „Będziemy budować i odbudowywać”, z postawą palestyńskich Arabów, którzy byli już wtedy „nieustannie zachęcani przez swoich liderów do niszczenia”. Od tamtego czasu ruch palestyński odmawia uznania prawa narodu żydowskiego do własnego państwa, niezależnie od jego granic.

Ale co w takim razie z utworzeniem państwa palestyńskiego?

– Państwo Izrael, którego nieżydowscy obywatele cieszą się tymi samymi prawami, będzie nadal trwać i prosperować. Jeśli chodzi o Palestyńczyków mieszkających na kontrolowanych przez nich terytoriach, powinni oni mieć wszelkie uprawnienia do rządzenia sobą, ale żadnych możliwości, by nam zagrozić. Oznacza to, że w dającej się przewidzieć przyszłości Izrael będzie musiał zachować kontrolę nad bezpieczeństwem na całym terytorium od rzeki Jordan do Morza Śródziemnego. Gdybyśmy rzekli się kontroli nad Zachodnim Brzegiem, Iran natychmiast przejąłby go rękami Hamasu lub innych grup islamistycznych. Widzieliśmy to już wielokrotnie w Gazie i Libanie.

Czy Izrael zamierza uderzyć na terytorium Libanu?

– To, co dzieje się na północy Izraela, nie może być kontynuowane. Żaden naród na świecie nie zaakceptowałby bombardowania swojego terytorium. Jednak Hezbollah codziennie bombarduje nasze miejscowości na północy.

Istnieją dwa sposoby rozwiązania tego kryzysu: dyplomacja lub wojna. To wszystko, co zamierzam powiedzieć.

Podczas szczytu G7 prezydent Francji zaproponował trójstronną inicjatywę (USA, Francja, Izrael) w sprawie Libanu. Co pan o tym sądzi?

– Zbyt wielu kucharzy przy gotowaniu psuje potrawę. Zawsze jednak uważałem, że Francja, która ma historyczne więzi z Libanem, powinna podejmować wysiłki wspólnie z USA.

W swojej autobiografii napisał pan, że jednym z pańskich priorytetów było zawsze uwolnienie Izraela od irańskiego zagrożenia nuklearnego. Naprawdę wierzy pan, że Iran chce zniszczyć państwo żydowskie?

– Najwyższy przywódca Iranu, ajatollah Chamenei, potwarza to regularnie. Powstrzymanie irańskiego eks-

pansjonizmu zaczyna się od zwycięstwa w Gazie. Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, aby uniemożliwić Irańczykom zdobycie broni jądrowej. Gdyby im się to udało, wyrzuciliby cały Bliski Wschód do góry nogami, a następnie zagroziliby Europie. Opracowują pociski balistyczne dalekiego zasięgu, których celem pewnego dnia staną się zachodnie stolicy. Mają już pociski zdolne uderzyć w Izrael.

Czego dokładnie chce Iran?

– Reżim mullów nie tylko stara się przetrwać. Jego ideologią jest podporządkowanie świata ekstremistycznemu szyickiemu islamowi. Jego pierwszymi ofiarami są irańscy mężczyźni i kobiety, wspaniali ludzie o starożytnej kulturze. Kissinger powiedział mi kiedyś, że Iran powinien raz na zawsze zdecydować, czy chce być państwem, czy tylko sprawą. Mullowie wybrali drugą opcję. Przecistawiają się naszej cywilizacji: wystarczy spojrzeć na to, co robią z kobietami, homoseksualistami i prawami człowieka.

Na demonstracjach w Paryżu widziałem napisy „Geje z Gazą” lub „Kobiety dla Gazy”. Tymczasem homoseksualiści są w Strefie Gazy wieszani, a kobiety są tam uważane za niewiele więcej niż niewolnice – w myśl ideologii Hamasu, ruchu zbrojonego przez Iran.

Wierzę, że większość ludzi na Zachodzie nie popiera tych antyizraelskich protestów, ponieważ rozumieją, że stawką jest nasza cywilizacja, zbudowana na wolności i tolerancji.

Hiszpania, Irlandia i Norwegia już uznały państwo palestyńskie.

– Ale przecież nie ma państwa palestyńskiego. Swoimi oświadczeniami te trzy kraje po prostu nagrodziły Hamas za jego bestialski atak z 7 października.

Zabijaj Żydów, ścinaj głowy kobietom po ich zgwałceniu, pal dzieci żywcem, porywaj cywilów – a zostaniesz nagrodzony państwem! Oznacza to moralne i intelektualne bankructwo rządów tych trzech europejskich krajów.

Arabia Saudyjska pomogła ograniczyć skutki bezprecedensowego irańskiego ataku rakietowego na Izrael z 13 kwietnia. Jak wyobraża pan sobie relacje Izraela z Saudami w nadchodzących latach?

– Istnieje naturalny sojusz między Izraelem a wieloma krajami na Bliskim Wschodzie, mający na celu zablokowania zagrożeń ze strony Iranu. Obecnie walczymy z Hamasem, który jest tylko jedną z macek irańskiej ośmiornicy, podobnie jak libański Hezbollah. Jeśli zdemontujemy strukturę irańskiej ingerencji na całym Bliskim Wschodzie, Hamas i Hezbollah natychmiast upadną. W Iranie wołają: „Śmierć Izraelowi” i „Śmierć Ameryce”, ale tamten reżim chce przecież wziąć pod swoje jarzmo wszystkich innych „niewiernych”. Umiarkowane państwa arabskie to rozumieją. Rozumieją, że podobnie jak Izrael są celami irańskiego ekspansjonizmu.

Czy jest to główny filar Porozumień Abrahamicznych, które podpisaliście w Waszyngtonie we wrześniu 2020 ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi, Bahrajnem i Marokiem?

– Tak, ale łączy nas również chęć poprawy codziennego życia naszych społeczeństw poprzez wspólny rozwój naszych gospodarek. Wraz z tymi umiarkowanymi państwami arabskimi Izrael planuje m.in. zbudować pomost handlowy między Azją a Europą, przechodzący przez Półwysep Arabski, a następnie przez nasze porty, aby zaopatrzyć Europę w surowce i towary przemysłowe. Izraelska technologia może zmienić oblicze Bliskiego Wschodu. Nasze postępy w nawadnianiu, rolnictwie, medycynie i sztucznej inteligencji mogą zmienić życie wszystkich naszych sąsiadów na lepsze.

Porozumienia Abrahamowe mają na celu pełne wprowadzenie Bliskiego Wschodu w XXI wiek; Iran natomiast chce go cofnąć do średniowiecza.

Jako premier nadzoruje pan nie tylko bezpieczeństwo, ale nadal także politykę gospodarczą?

– Tak, bo od dawna mam konkretną wizję w tym zakresie. Izraelska gospodarka stała się silna dzięki inwestycjom w postęp technologiczny. Jednak technologia nie rozwija się sama z siebie. Rozwija się dzięki gospodarce wolnorynkowej. Spędziłem dużą część mojego politycznego życia, próbując przenieść Izrael z gospodarki pół-socjalistycznej do gospodarki wolnorynkowej. Stąd te wszystkie drapacze chmur w Tel Awiwie i rozkwit tysięcy technologicznych firm w całym Izraelu.

W tej chwili pracujemy nad tym, by nasz kraj stał się liderem w dziedzinie sztucznej inteligencji. Przyńsiesie to korzyści wszystkim. ●

Eurazja kontra Oceania jak u Orwella

Gra w trójkąty



FOT. SPUTNIK/GAVRIL GRIGOROV/POOL VIA REUTERS

Sojusz Moskwy, Pjongjangu i Pekinu – jeśli w ogóle istnieje poza wyobraźnią rosyjskich propagandystów oraz przestraszonego Zachodu – jest płytki i transakcyjny.

Robert Stefanicki

Pociski z Korei Północnej spadają na Ukrainę, a rosyjska broń mogłaby posłużyć do zaatakowania Korei Południowej, Ameryki albo... Chin. Nielatwo się polapać na mapie współzależnych konfliktów i wielowarstwowych interesów mocarstw.

Owoce ubiegłotygodniowej wizyty Władimira Putina w Pjongjangu jest porozumienie o utworzeniu „kompleksowego partnerstwa strategicznego” między Koreą Północną a Rosją, które obejmuje zobowiązanie do wzajemnej pomocy w przypadku agresji.

Traktat powiela zapisy układu zawartego przez ZSRR i KRLD w 1961 r. Symbolicznie jest to więc kolejny krok w wysiłkach Putina, aby Rosję przemienić z powrotem w Związek Radziecki. Jego następna wizyta, w Wietnamie, u starego sojusznika z czasów zimnej wojny, wzmacnia to wrażenie. Oba cele podróży dobrze też wpisują się w ideologię, której hołduje obecny władca Kremla: Rosji jako centrum imperium eurazjatyckiego.

Jedni kpią, że putinowska Rosja coraz bardziej przypomina Koreę Północną nie tylko w poziomie zamordyzmu, ale i pod względem wagi na mapie geopolitycznej. Inni załamują ręce nad powstaniem trójprzymierza zbójceckich mocarstw nuklearnych. Żadna z tych diagnoz nie jest do końca trafna.

Jest jeszcze wiele stolic gotowych przyjąć Putina; w praktyce Rosję izolują tylko bliscy sojusznicy USA. Także dlatego, że rośnie liczba państw wierzących w zwycięstwo Moskwy z Kijowem.

Ale sojusz Moskwy, Pjongjangu i Pekinu, jeśli w ogóle istnieje poza wyobraźnią rosyjskich propagandystów oraz przestraszonego Zachodu, jest płytki i transakcyjny.

Co nie podoba się Pekinowi

Widok Putina stojącego obok Kim Dzong Una na placu defilad w Pjongjangu może nasuwać skojarzenie z historyczną chwilą, kiedy Józef Stalin, przy wsparciu Mao Zedonga, dał dziadkowi Kima zielone światło do inwazji na Koreę Południową.

Jednak tym razem przywódca chiński był nieobecny. Są oznaki, że Xi Jinping nie pochwała zbliżenia między dwoma jego sojusznikami. Podobno namawiał Putina, aby nie odwiedzał Pjongjangu bezpośrednio po wizycie w Pekinie w maju. Żeby nie wyglądało, że to chiński plan, co mogłoby zdenerwować zachodnich partnerów handlowych Pekinu.

Ogłoszenie paktu Moskwy z Pjongjangiem można odczytywać jako ostrzeżenie nie tylko dla Zachodu, ale i dla Chin. Putin sygnalizuje frustrację, że Xi nie robi więcej, aby pomóc Rosji wygrać z Ukrainą, a Kim – że Pekin za mało mu pomaga w rozbudowie arsenałów. Czy jest to również sygnał, że Rosja i Korea Północna są gotowe działać wspólnie, aby rozłuznić swoją zależność od Chin?



Na łasce Xi Jinpinga

To mało realne. Rosja potrzebuje amunicji, aby kontynuować wojnę, a Korea Północna potrzebuje pieniędzy i pomocy każdego innego rodzaju. Ale niezależnie od tego, jak bardzo Putin i Kim starają się sprawiać wrażenie sojuszników, ich stosunki z Pekinem są o wiele ważniejsze niż to, co ich łączy. Putin rozumie, że nie warto irytować Chin, które ratują Rosję przed ruiną, kupując jej ropę i gaz, a także dostarczając jej towary konsumpcyjne i technologie podwójnego zastosowania, takie jak chipy i obrabiarki, które pozwalają kręcić się rosyjskiej machinie wojennej.

Kim jeszcze bardziej potrzebuje łaski Xi Jinpinga. KRLD 80 proc. obrotów handlowych ma z Chinami. Pekin chronił też Koreę Płn. na forum Organizacji Narodów Zjednoczonych, dzięki czemu Kim mógł rozbudowywać swój arsenał nuklearny. Teraz Chiny opierają się naciskom USA, aby ograniczyć transfery broni z Pjongjangu do Rosji. Objęty sankcjami rosyjski statek Angara, który przewoził tysiące kontenerów z północnokoreańską amunicją, stacjonuje w stoczni w prowincji Zhejiang.

Utrzymanie dynastii Kimów u władzy jest dla Pekinu istotne, bo KRLD pełni rolę bufora między chińską granicą a siłami pod wodztwem USA stacjonującymi w Korei Południowej. Pekin wierzy, że dopóki Korea Północna pozostanie zależna od niego, nie będzie gryźć ręki, która ją karmi. Dlatego Xi Jinpingowi może nie podobać się jej zbliżenie z Rosją, co potencjalnie osłabia wpływ Pekinu na reżim Kima.

Skomplikowane plany Chin

Niepokojące jest również to, że Putin może wspierać agresywne zapędy Kima, a ten, zbyt pewny swojej siły, dozbrojony przez Moskwę, będzie prowokował Amerykanów. Jest reguła, że kiedy napięcie wzrasta, na wodach u wybrzeży Azji pojawia się więcej amerykańskich okrętów wojennych.

Tego lata siły zbrojne Waszyngtonu, Seulu i Tokio przeprowadzą wspólne ćwiczenia, których poziom integracji byłby nie do pomyślenia nawet rok temu. Przywódcy Japonii i Korei Południowej wezmą udział w lipcowym szczycie NATO. Pekin obawia się też, że USA rozmieszczą dodatkową broń nuklearną na obszarze Indo-Pacyfiku.

Wielu rosyjskich ekspertów przestrzega utworzenie osi Rosja-Chiny-KRLD jako przeciwwagę dla „natoizacji” Azji przez USA i ich sojuszników. Jednak w Pekinie wydaje się dominować obawa, że istnienie takiego „trójkąta północnego” będzie skutkowało wzmacnianiem więzi w „trójkącie południowym”: Tokio-Seul-Waszyngton.

Obok tych dwóch trójkątów rysuje się także trzeci – łączący Chiny, Japonię i Koreę Południową. Podczas gdy Kim i Putin spotykali się w Pjongjangu, w Seulu po raz pierwszy od 2015 r. dyplomaci chińscy, japońscy i południowokoreańscy rozmawiali o bezpieczeństwie w regionie. Podejmując dialog z sąsiadami Chiny próbują wbić klin między nimi a USA. Ale też pragną stabilności i współpracy gospodarczej, korzystnej dla wszystkich. Trójsstronny szczyt w Seulu wydał wspólną deklarację o konieczności utrzymania „poko-

ju, stabilności i dobrobytu” w Azji Północno-Wschodniej oraz „denuklearyzacji Półwyspu Koreańskiego”. Spotkało się to z ostrą reakcją ze strony Korei Północnej, która nazwała te słowa „poważną prowokacją polityczną i naruszeniem suwerenności” KRLD.

Konstantin Asmołow, ekspert od Chin i Korei w Rosyjskiej Akademii Nauk, przekonuje, że naracja o osi Rosja-Chiny-KRLD opiera się na fantazjach. Jego zdaniem głównym celem deklaracji o wzajemnej obronie oraz aluzje, że Rosja mogłaby dać jakąś broń Pjongjangowi, są tylko ostrzeżeniem dla Korei Południowej, żeby nie dostarczała amunicji Ukrainie.

Podobnie jest z Wietnamem, któremu Putin dawno obiecywał nowoczesne uzbrojenie, w tym okręty wojenne. Wietnam mógłby ich użyć, aby przeciwstawić się Chinom na spornych obszarach Morza Południowochińskiego. Pekin ma sposoby, żeby na taki deal nie pozwolić.

Ubiegłoroczna wymiana handlowa Wietnamu z Chinami to 172 mld dol., z USA – 124 mld. A z Rosją – ledwie 3,6 mld. Kolejna wymowna liczba: między rokiem 2014 a 2021 sprzedaż rosyjskiej broni do Azji Południowo-Wschodniej spadła o ponad 90 proc.: z 1,2 mld do 89 mln dol. Jeszcze przed inwazją na Ukrainę, która wydrenowała rosyjski przemysł zbrojeniowy do dna.

Rosja ma niewiele do zaoferowania

Możliwości Kremla układania świata po swojemu są żałośnie małe. Gdzie Putin wsadzi palec, silniejszy od niego mocarz włoży pięść. Tak było w Ukrainie, tak będzie z Koreą Północną i Wietnamem, dokąd zaraz po Putinie pospieszył wysłannik Joego Bidena. Rosja może natomiast podkładać miny i kopać dolki praktycznie na całym świecie, bo do tego nie potrzeba wielkich zasobów.

Chiny potrzebują Rosji wojującej z Zachodem i straszącej Zachód, aby ten nie skupiał się na zagrożeniu ze strony Chin. Z pewnością są jednak granice, których Putinowi nie pozwolą przekroczyć. Paktowanie z Kimem i opowieści o wzajemnej obronie mieszczą się w definicji straszenia, dlatego Pekin milczy.

Patrząc choćby na historię ostatniego stulecia widać, że sojusze mocarstw nie są stałe, niezmienne jest tylko istnienie takich czy innych konfliktów. Wizja z „Roku 1984” Orwella, gdzie trzy potęgi – Eurazja, Oceania i Wschódazja – na przemian walczą i zawierają pakt, a ciągle wojna uzasadnia trwanie reżimów i tłumaczy nędzę narodów, nie jest utopią, lecz alegorią bliską rzeczywistości.

Aktualnie widzimy postępujące rozwarstwienie świata na obóz demokratyczny i despotyczny, czy też, mniej górnolotnie, na obóz sojuszników i przeciwników USA. W takim świecie neutralność jest luksusem, na który nas nie stać. Każda agresja czy właśnie pakt despotów powinien się spotykać z odpowiednią kontreakcją. Południowa Korea i Japonia powinny teraz silniej, a nie słabiej wspierać Ukrainę. A Polska powinna zwiększyć współpracę z azjatyckimi sojusznikami Ameryki we własnym interesie, nie tylko ekonomicznym.

Po globalizacji gospodarek powróciła interkontynentalna globalizacja konfliktów. ●

Kto i za ile walczy dla Putina

IDZIESZ ZABIJAĆ UKRAIŃCÓW ALBO WRACASZ DO AFRYKI

„Uciekajcie do Polski” – najczęstsza porada na forach Latynosów podstępem wysłanych na front w Ukrainie

Mateusz Mazzini

Pierwszy raz dali nam broń do ręki już drugiego dnia. Obaj byliśmy w szoku, bo nikt nie mówił nic o froncie. W ogłoszeniu było, że będziemy pracować na budowie, ewentualnie jako kierowcy zaopatrzenia. Zaraz po przylocie dali nam do ręki granaty. Zdębiałem.

Dwaj chłopcy, ubrani w same podkoszulki, patrzą się błagalnym wzrokiem w kamerę. W tle widać telewizor, prycze, ściany pomalowane na jasnożółty kolor, niczym w polskich podstawówkach kilkadziesiąt lat temu.

Obaj mają po 19 lat, wyglądają na znacznie młodszych. Kościste ramiona drżą, kiedy odpowiadają na pytania. Trudno sobie wyobrazić, że ktoś taki mógłby utrzymać w rękę karabin, a co dopiero używać go regularnie do zabijania innych ludzi.

Rozmowa odbywa się online w jednym z internetowych programów publicystycznych robionych przez kubańską diasporę na Florydzie. Takich projektów w sieci jest pełno, to najskuteczniejszy sposób przełamywania blokady informacyjnej, którą kubański reżim wciąż utrzymuje. Internet na wyspie władze monitorują tak sobie – więc Kubańczycy spędzają długie godziny na YouTube.

Chłopcy wdzwanianią się do programu w sierpniu 2023 r. Opowiadają, że na ogłoszenie o pracy w Rosji trafili w mediach społecznościowych.

– Ludzie, starsi od nas, wypisywali same dobre rzeczy o tej robocie. Wrzucali filmy, zdjęcia, pokazywali zarobione pieniądze – mówi jeden. – Wszystko wyglądało na prawdziwe, mnóstwo osób sobie chwaliło wyjazd do Rosji – przekrzykuje go drugi.

Problem w tym, że kontrakt miał dotyczyć pracy na budowie. Tak też wynikało ze zdjęć, których w kubańskim internecie emigracyjnym jest mnóstwo. Oferta jak na kubańskie realia była więcej niż lukratywna. Dwa tysiące dolarów na start, potem 2,1 tys. co miesiąc – gdy oficjalna średnia miesięczna pensja w kubańskiej gospodarce nieco ponad 38 dolarów.

– Zaczęliśmy rozmawiać przez komunikator z innymi, którzy już byli w Rosji. W sumie od razu się zdecydowaliśmy – kontynuuje chłopak.

– Kto wam przysłał umowę? – dopytuje prowadzący.

– Dostaliśmy numer telefonu do kobiety, Rosjanki. Ona się z nami spotkała, dała karty SIM, bilety lotnicze, powiedziała, że pomoże z całą biurokracją. Żebyśmy się nie martwili o język, papiery, wizy, ona wszystko załatwi – tłumaczy 19-latek.

Głos drży mu coraz bardziej. Raz na jakiś czas odwraca się, jakby patrząc, czy nikt nie wchodzi do pomieszczenia, w którym siedzą.

Po przylocie na moskiewskie lotnisko Szeremietiewo z chłopakami i pozostałymi chętnymi do pracy spotkała się inna kobieta, Kubanka. Przedstawiła się jako Diana, zaprowadziła ich do autobusu, który wywiózł ich za miasto. Do tego momentu opowieści Kubańczyków, którzy podpisali umowy z rosyjskim ministerstwem obrony narodowej i skończyli jako rekruci na wojnie w Ukrainie, wyglądają niemal identycznie. Potem zaczynają się rozjeżdżać.

Trudno jednoznacznie stwierdzić, ilu Kubańczyków trafiło przez ostatnie dwa i pół roku do Rosji. Liczby podawane przez serwis Politico, BBC i amerykański Instytut Studiów nad Wojną wahają się od 200 do nawet kilku tysięcy. Większość została zmanipulowana, bo nie powiedziano im, że jadą na wojnę. Wpisy w mediach społecznościowych zawierały fotografie ludzi w mundurach, ale rekruterzy nie wspominali nic o walce i froncie. Jechali najpierw do prowizorycznych centrów szkoleniowych w szkołach, internatach, miejscach ośrodków sportowych. Prawdopodobnie z takiego miejsca dzwoniły 19-latki.



• Czerwiec 2022, przygotowania do ćwiczeń jednostek specjalnych syryjskiej armii
FOT. AA/ABACA/ABACA/EAST NEWS

40

• TYS. SYRYJCZYKÓW
Z regularnej armii Asada oraz reżimowych bojówek miało wesprzeć ofensywę na Kijów w pierwszych dniach inwazji

W ich przypadku trening zaczął się natychmiast. Chłopcy opowiadali, że po przylocie nikt nie dał im jedzenia, nie wytłumaczył, gdzie są ani co będą robić. Podsunęto im do podpisania dokumenty po rosyjsku, po czym wysłano po odbiór mundurów i pokazano, gdzie będą spać.

Inni Kubańczycy opowiadają, że hiszpańską wersję umów otrzymali jedynie ci, którzy zażądali tego na miejscu – a i to nie zawsze było gwarancją zrozumienia treści dokumentu. W niektórych przypadkach wojskowi odmawiali pokazania przetłumaczonego kontraktu – tłumacz streszczał rekrutom treść i tyle. Jak się okazywało, nie zawsze całą.

Część Kubańczyków trafiła do Tuły, 180 km na południe od Moskwy. Inni wyładowali bliżej granicy z Ukrainą. Niektóre grupy liczyły prawie sto osób – szły najczęściej do jednej dywizji pod komendę tych samych dowódców. Zdecydowana większość nie chciała walczyć. Są tacy, którym udało się uciec.

Suel przyjechał z Kuby do Riazania, miasta na południowy wschód od stolicy Rosji. Kiedy podsunęto mu pod nos do podpisania umowę, zażądał tłumacza. Nie dostał – ale wojskowi zaproponowali mu więcej pieniędzy. To go nie przekonało. – Na szczęście miałem 500 euro, które dostałem od rodziny na podróż. Na wszelki wypadek. Uciekłem, przedostałem się do Moskwy, wsiałem w pierwszy samolot. To, co się tam działo, to szaleństwo – opisuje w długim poście.

Są jednak i tacy, którzy doskonale wiedzieli, w co się pakują. Na Facebooku bez większego problemu można znaleźć zdjęcia Kubańczyków – głównie mężczyzn w średnim wieku – pozujących w rosyjskich mundurach. Nierzadko podpisane: „Walczę za ojczyznę” – choć nie precyzują, o którą ojczyznę im chodzi.

Co ciekawe, w internetowych dyskusjach dotyczących Kubańczyków w Rosji bardzo często przewija się Polska – wymieniana jako najbliższy bezpieczny kraj. „Ucieknijcie do Polski, znajdźcie amerykańską ambasadę w Warszawie, poproście o azyl” – to standardowa wersja najpopularniejszego komentarza pod dziesiątkami filmików i wpisów o kubańskich rekrutach. Inne wzywa-

ją na pomoc Unię Europejską („Wspólnota musi o tym wiedzieć, podajcie dalej ich historię”), proszą o wstawiennictwo sił nadprzyrodzonych („Niech Bóg ma tych chłopców w opiece”) lub skazują ich na to, co przyniesie los („Nikt im nie kazał tam jechać, nie mieli przystawionego pistoletu do głowy”).

Kubańczyków, tak jak przedstawiciele innych nacji, Rosja wabi nie tylko pieniędzmi. W listopadzie 2022 r. Putin podpisał dekret o szybkiej ścieżce naturalizacyjnej dla każdego obcokrajowca, który zdecyduje się walczyć w rosyjskich barwach. Początkowo paszporty miały być tylko dla rekrutów. Teraz oferta jest znacznie bogatsza. Jak na początku lutego poinformował „Wall Street Journal”, po roku walki Kubańczycy mogą sprowadzić najbliższą rodzinę – im też zostanie nadane obywatelstwo w trybie ekspresowym.

Władze w Hawanie deklarują, że walce Kubańczyków pod obcymi sztandarami są całkowicie przeciwne, ale rekrutacja nie ustaje. I to mimo że zgodnie z kubańskim prawem najemnictwo jest całkowicie nielegalne. Osoby złapane na próbie opuszczenia kraju w celu podjęcia służby w obcych armiach czeka od 10 do 25 lat więzienia. W skrajnych przypadkach nawet kara śmierci. Rosja oczywiście udaje, że proble-

mu nie widzi – ministerstwo spraw zagranicznych za pośrednictwem ambasadora w Hawanie powiedziało rządowi prezydenta Miguela Díaz-Canela, że najemnicy to dośrośli ludzie, którzy podpisują w pełni legalne umowy z rosyjskim resortem obrony. Nie ma się do czego przyczepić, w końcu jadą tam budować drogi i jeździć ciężarówkami, a nie strzelać do wroga.

•

Kuba to niejedyny państwo pozaeuropejskie, w którym Rosjanie prowadzą aktywne kampanie werbownicze. Według ukraińskiego wywiadu wojskowego Kreml aktywnie działa w co najmniej 20 krajach. Zrekrutował kilkudziesięciu Wenezuelczyków, w tym odsiadujących w Rosji kary za handel narkotykami.

Szczególnie intensywnie działa w Afryce, gdzie rekrutów namierzono w dziewięciu krajach, głównie w Maghrebie i Sahele. Mapa ich aktywności pokrywa się mniej więcej z mapą dawnej obecności Grupy Wagnera na tym kontynencie. Rosja Putina, tylko na zewnątrz prezentująca się jako antykolonialna i równościowa – po najemników z Afryki sięgała niechętnie. Ale gdy zaczyna brakować niewykształconego mięsa armatniego z prowincji i więzień, a pobór w dużych miastach grozi fermentem, władze przepraszają się z „czurkami”.

Już w połowie ubiegłego roku na froncie zaczęli pojawiać się najemnicy z Burkina Faso, Mali, Libii, Algierii, Republiki Środkowoafrykańskiej, Sudanu, Tunezji, Egiptu. Oferta startowa, według informacji amerykańskiego Departamentu Stanu, na które powołuje się Bloomberg, była taka sama co dla Kubańczyków: 2 tys. dolarów na dzień dobry, mniej więcej taka sama pensja miesięcznie, paszport po kilkunastu tygodniach. A 10 maja brytyjskie ministerstwo obrony poinformowało o znacznym zwiększeniu rosyjskiej aktywności w Afryce. Nie tylko tam, gdzie Kreml się już umościł, ale też w nowych krajach: Rwandzie, Burundi, Demokratycznej Republice Konga.

•

Wgryzanie się w ukraińskie terytorium idzie na tyle słabo i jest okupione takimi ofiarami, że Putin nie tylko wysyła werbow-

ników za granicę, ale też ryzykuje napływ twardych dewiz oraz mozolnie budowany od czasów Chruszczowa soft power Rosji w krajach dawnego Trzeciego Świata, sięgając po zagranicznych studentów. Obywatele krajów afrykańskich na rosyjskich uczelniach regularnie otrzymują oficjalne groźby od rosyjskich władz: idź do wojska, bo jak nie... Na początku karą miało być tylko usunięcie ze studiów, potem pojawiło się widmo odmówienia przedłużenia wizy i natychmiastowej deportacji. Teraz dochodzi jeszcze szantaż: studenci nie tylko muszą iść na front, ale coraz częściej zmusza się ich do rekrutowania znajomych czy krewnych w ojczyźnie.

Głównym pośrednikiem w tej operacji jest Korpus Afrykański – instytucja powołana w grudniu, która płynnie przejęła zadania wyeliminowanego, bo zbyt szarogęszącego się Jewgienija Prigożyna. To już jednostka całkowicie zależna od Kremla, prowadzona bezpośrednio przez ministerstwo obrony. Docelowo ma liczyć aż 20 tys. żołnierzy, gdy w szczycie potęgi wagnerowcy w Afryce mieli w szeregach maksymalnie kilka tysięcy ludzi.

Cel działania Korpusu początkowo miał być taki sam jak półprywatnej armii Prigożyna: formalnie – wsparcie techniczne dla lokalnych służb mundurowych, szkolenia, a nawet prowadzenie centrów kultury rosyjskiej (jedna taka placówka istnieje w Republice Środkowoafrykańskiej). W praktyce – na różne sposoby, po dobroci i przymusem wywieranie wpływu na lokalne władze, odciąganie ich od współpracy z USA i krajami Unii Europejskiej, ochrona (za udziały lub sowitą prowizję) kopalń cennych surowców i zarabianie na komercyjnej walce z terroryzmem islamskim. Teraz na górze listy zadań dopisano werbunek.

Rosjanie w Afryce rekrutują głównie za pomocą mediów społecznościowych – i według zajmującej się badaniem dezinformacji i propagandy tworzonej przy użyciu sztucznej inteligencji firmy Logically, do niedawna, podobnie jak za Prigożyna, używali tych samych nagrań, hasel i memów, co na rynku krajowym. Ale, jak donosi stacja Euro-news, ostatnio się profesjonalizują – ogłoszenia wyglądają jak normalne prywat-

2100

• DOLARÓW
miesięcznie oferują rosyjscy rekruterzy kubańskim najemnikom mimo woli. Średnia pensja na Kubie to 38 dolarów

ne, komercyjne anonse; Korpus Afrykański dość szczegółowo opisuje nawet warunki ubezpieczenia zdrowotnego. Nieco wzrosły też oferowane pensje, w niektórych krajach dobijające do 3 tys. euro miesięcznie.

W dodatku, jak wynika z analiz Logicaly, Kreml coraz lepiej dostosowuje przekaz do grupy docelowej. W mediach społecznościowych, głównie na Telegramie, publikuje posty w aż 16 językach – po francusku, angielsku, polsku, arabsku, ale też w farsi, języku pendżabskim czy wietnamskim.

•

O ile bowiem werbunek w Afryce idzie wciąż dość opornie, o tyle w krajach azjatyckich i na Bliskim Wschodzie przynosi znacznie lepsze rezultaty. W samej tylko Syrii ukraiński wywiad doliczył się aż dziewięciu placówek rekrutacyjnych. Nie specjalnie zaskakujące, bo Rosjanie walczyli w syryjskiej wojnie domowej, nadal mają tam żołnierzy wspierających Baszira al-Asada; to w Syrii chrzest bojowy przechodzili wagnerowcy. Prigożyn zresztą cenił weteranów z Syrii tak bardzo, że kategorycznie sprzeciwiał się wysłaniu ich na front ukraiński. Niedługo po inwazji na Ukrainę Kreml poważnie rozważał wręcz regularny udział syryjskich jednostek w ofensywie na Kijów. Syryjskie Obserwatorium Praw Człowieka, organizacja pozarządowa monitorująca działania władz w Damaszku, informowała, że ówczesny minister obrony Siergiej Szojgu miał listę 40 tys. Syryjczyków, którym wydano rozkaz przygotowania się do natychmiastowego wyjazdu. Większość służyła w regularnej armii reżimu, ale sięgano i po bojowników z prorożimowych milicji.

zostawiając swoim przedstawicielom. To, w jaki sposób owi kontaktują się z ochotnikami i co im oferują – w dużej mierze jest ich własnym wyborem. Jedni mówią wprost o wyjeździe na front, inni karmią półprawdami – tak, będziesz pracować dla armii, ale nie jako żołnierz, czeka na ciebie robota w zaopatrzeniu czy na kuchni. A niektórzy kłamią w żywe oczy, oferując pracę dla ogrodników, służących, kierowców, a nawet domowych złotych rącek.

Do kilkunastu tysięcy Nepalczyków dołączyło już co najmniej kilkuset obywateli Indii. Niektórzy zamierzali wykorzystać wyjazd do Rosji w tych samych celach, co rekrutowani Syryjczycy – jako przepustkę do Europy. W końcu bliżej, a przy okazji można jeszcze zarobić. Większość nie spodziewała się, że zagraniczni rekruci na front trafiają maksymalnie po dwutygodniowych szkoleniach, a więc natychmiast stają się mięsem armatnim. Syryjczycy, którzy przeszli wojnę domową, przynajmniej powąchalili prochu, mieli do czynienia z ostrzałem, nawet jeśli nie odbyli profesjonalnego żołnierskiego szkolenia. Obywatele Kuby, Uzbekistanu, Nepału czy Filipin pierwszy raz broń do ręki wzięli po przylocie do Rosji.

•

Choć niektóre kraje azjatyckie pozostają w orbicie rosyjskich wpływów albo wprost popierają inwazję na Ukrainę, to ich władzom nie do końca podoba się, że Moskwa rekrutuje ich obywateli na front. Choćby dlatego, że kiepsko wypada wizerunkowo rząd, który europejskie mocarstwo lekceważy niczym w epoce kolonialnej. Problem w tym, że nie zawsze są w stanie takie działania zablokować.

300

• TYS. DOLARÓW

kosztowało wykształcenie afgańskiego komandosa. Tysiące tych zawodowców, bez domu, pracy i ściganych przez talibów, szukają szansy w Rosji

sprzątaczek czy pracowników domowych – punkt pierwszy. Osoby z wizą turystyczną nie mogą pracować w Rosji – punkt drugi. I punkt trzeci – osoby przebywające na terenie Federacji Rosyjskiej z niewłaściwymi dokumentami mogą zostać natychmiast deportowane lub trafić do więzienia. Ponieważ Kreml nie odpuszczał, rząd w Manili przekleił oświadczenie na strony swoich ambasad w innych krajach azjatyckich.

•

Nie zawsze jednak Moskwa szuka chętnych na ślepo, rzucając im po prostu na stół nieosiągalne w ich krajach pieniądze. Na celowniku kremłowskich rekruterów znaleźli się też afgańscy komandosi, którzy

porty dla rodziny – co w przypadku Afgańczyków, na których talibowie już wydał wyrok, ma szczególne znaczenie: Rosja oferuje nie tylko wyjście z biedy, ale przede wszystkim szansę na przeżycie.

Na temat afgańskich komandosów w rosyjskich szeregach zaczęło krążyć mnóstwo historii, większość nieweryfikowalnych. Niektórzy eksperci odrzucają możliwość ich udziału w wojnie w Ukrainie, twierdząc, że zabrakłoby im motywacji do takiej walki. Anonimowe źródła w szeregach afgańskich weteranów i byłych ludzi władzy mówią jednak o co najmniej kilkuset żołnierzach, którzy całkiem poważnie rozważali przyjęcie rosyjskiej oferty. Czy są na froncie, nie jest łatwo stwierdzić, bo prawdopodobnie są wykorzystywani w operacjach na ukraińskich tyłach. A gdy wracają do jednostek na zaplecze i zakładają mundury, też nie wyróżniają się specjalnie wśród pochodzących z nierosyjskich republik Federacji żołnierzy o ciemnej karnacji.

•

Rosyjski werbunek ma już globalny zasięg – i trwa również znacznie bliżej polskich granic. Bardzo wyraźnie da się go odczuć chociażby w Belgradzie. 1,2 tys. km od Warszawy, 12 godzin samochodem – i znajdziemy się w mieście, w którym rosyjscy emigranci wojenni niebotycznie windują ceny mieszkań, Gazprom wywiesza billboardy o serbsko-rosyjskiej przyjaźni, a rosyjscy nacjonaliści chodzą na proukraińskie demonstracje wypatrywać rodaków, których można by ukarać za zdradę ojczyzny.

Tu też Kreml rekrutował i rekrutuje na potęgę. Do tego stopnia, że prezydent Aleksander Vučić, choć coraz mniej dyskretnie antyunijny i flirtujący z Kremlem (niedawno ważny rosyjski niezależny portal Meduza donosił o naradach rosyjskich i serbskich oficerów), zwrócił się z bezpośrednią prośbą do Putina, by przestał mu podbierać rodaków. Chętni i tak się znaleźli. Plany Rosjan zakładały co najmniej tysiąc serbskich ochotników, skończyło się na mniejszej, ale wciąż trzycyfrowej liczbie – na pewno przekraczającej setkę.

Wielu z nich opisało szczegóły swojej rosyjskiej przygody na Telegramie. Niektóre elementy powtarzały się jak refren. Ogłoszenie w mediach społecznościowych, uwiarygodnione relacjami tych, którzy już tam pojechali. Kontakt z miejscowym przedstawicielem Rosjan. Błyskawicznie podpisana umowa, bez tłumaczenia. Transfer do Rosji, krótkie szkolenie kilkaset kilometrów od Moskwy, przesunięcie na front. Ubezpieczenie zdrowotne. Obietnica paszportu, nawet dla rodziny.

I kwota. 2 tys. dolarów miesięcznie. ●



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA GAZETA

Mateusz Mazzini

• (ur. w 1990 r.) – reporter, socjolog, latynoamerykanista. Absolwent Oksfordu, studiował także w Kordobie i Bilbao oraz na University College London. Píše o krajach Ameryki Łacińskiej, globalnego Południa, wydarzeniach na zachodzie i południu Europy oraz o europejskiej skrajnej prawicy. Nominowany do Grand Press za reportaż prasowy w 2020 r. Autor książek „Koniec Tęczy. Chile po Pinochecie” oraz „Włochy prawdziwe. Podróż śladami mafii, migracji i kryzysów”.

Putin podpisał dekret o szybkiej ścieżce naturalizacyjnej dla każdego obcokrajowca, który zdecyduje się walczyć w rosyjskich barwach

Przy czym na początku wojny oferta była znacznie mniej atrakcyjna niż teraz. 1,1 tys. dolarów miesięcznie za walkę na froncie, 7 tys. za uszczerbek na zdrowiu, 16,5 tys. dla bliskich poległego. Ani słowa o ubezpieczeniu, obywatelstwie, paszporcie, sprawadzeniu rodziny. Teraz Rosjanom na najemnikach zależy tak bardzo, że dopieszczają ich nawet propagandowo. Na początku roku na latynoamerykańskich grupach na Telegramie zaczęły krążyć fotografie z oficjalnych ceremonii z udziałem kubańskich, wenezuelskich i syryjskich rekrutów. Wszyscy otrzymywali rosyjskie paszporty z rąk lokalnych samorządowców, pozując uśmiechnięci na tle federalnej oraz regionalnej flagi i godła.

Syryjczycy do rosyjskiej armii zaczęli zapisywać się dość szybko, jednak niekoniecznie chcieli walczyć. Agencja AFP przepytowała kilku z nich. Otwarcie przyznawali, że chcą natychmiast uciec z linii frontu, przedostać się do Europy, prosić o azyl i nigdy już nie wracać. Ani do Rosji, ani do Syrii.

Ogromne liczby najemników Kreml sprowadza sobie z Azji, zwłaszcza z najuboższych krajów południowej części kontentu. Na początku lutego CNN szacowało całkowitą liczbę Nepalczyków w rosyjskich strukturach wojskowych na ponad 15 tys. Teraz jest ich więcej, bo mimo nieustannych ostrzeżeń o ryzyku związanym z wyjazdem do Rosji Nepalczycy nadal podpisują kontrakty.

Model jest taki sam jak na Kubie. Najpierw wysła się agentów wpływu, którzy werbują lokalnych pośredników – najlepiej wśród osób, które przynajmniej w podstawowym stopniu znają rosyjski. Potem Rosjanie wyjeżdżają, werbunek w całości po-

Dwóch Malezyjczyków – jest ich więcej, ale ci zostali zidentyfikowani – którzy pojechali walczyć w Ukrainie, rząd zgodnie z konstytucją może pozbawić obywatelstwa; paragraf mówi jednak o „złożeniu przysięgi służby innemu państwu”. Bycie najemnikiem, który za walkę otrzymuje pieniądze, ale niekoniecznie się z Rosją identyfikuje lub cokolwiek przysięga, nie musi być wcale interpretowane w ten sposób. Podobnie jest w Kambodży, gdzie Rosjanie też rekrutują za pomocą mediów społecznościowych. Tamtejszy rząd już wiosną 2022 r. wydał oświadczenie zakazujące swoim obywatelom walki po którejkolwiek ze stron. Problem w tym, że nie ma podstawy prawnej, by takiego ruchu zakazać.

Jeszcze inaczej wygląda sytuacja na Filipinach, gdzie Rosjanie uaktywnili się od początku roku. Obywatele mogą służyć w armiach obcych państw, ale pod warunkiem, że to siły sojusznicze, związane z Manilą paktem wojskowym. Amerykanie mogliby więc zaprosić Filipińczyków do wspólnej walki, ale Rosjanie już nie. Świadomi tych problemów prawnych ludzie Putina próbują tamtejszych ochotników oszukać. W ogłoszeniach na rynek filipiński nie ma mowy o służbie wojskowej – reklamowana jest zwykła praca zarobkowa. Czasami rekruterzy przekonują nawet, że chętni nie potrzebują żadnej specjalnej wizy, wystarczy turystyczne pozwolenie na wjazd do Rosji – wydawane jest od ręki każdemu, kto podpisze umowę.

Skala oszustw i rosyjskiej propagandy jest tak wielka, że filipiński MSZ opublikował bardzo stanowcze oświadczenie przestrzegające przed kłamliwymi ofertami. Nie ma w Rosji czegoś takiego, jak wiza dla

po ewakuacji sił USA i NATO momentalnie zajęli najwyższe miejsca na listach poszukiwanych przez talibów. To nie pierwsi lepsi żołnierze, tylko specjaliści, których wytrenowanie kosztowało około 300 tys. dolarów na głowę. Przez lata się szkolili, walcząc w terenie ramię w ramię z Amerykanami i Brytyjczykami. Trudno oszacować ich liczbę, początkowo afgańskich specjalsów było około 30 tys., ale część talibowie wyłapali, część ukrywa się głęboko na afgańskiej prowincji. Większość jednak wołała nie ryzykować, uciekła przez granicę przede wszystkim do Iranu – i tam rozpoczęło się wielkie czekanie.

Afgańscy komandosi byli przekonani, że Amerykanie wypełnią swój obowiązek. Że wrócą, załatwią przerzut do USA, wizy dla rodzin – w końcu to nie tylko sojusznicy, ale także towarzysze broni. Im dłużej czekali, tym bardziej topniały jednak zasoby pieniędzy i nadziei. Z czasem część specjalsów porzuciła marzenia o wyjeździe za ocean, przestali też się ludzić, że ktoś zmontuje kolejną antytalibską koalicję. Zaczęli normalne życie, w cywilu.

Dla niektórych jednak było to nie do przeskokowania, w końcu nie po to trenowali przez długie lata. To, co umieją najlepiej, to zabijanie, zwłaszcza w trudnym terenie. Taka grupa nie uszła uwadze Kremļa. Początkowo werbunek prowadził Prigożyn za pośrednictwem swoich ludzi w Iranie. Potem działania rekrutacyjne przejął resort obrony, namawiając do podpisania regularnych kontraktów. Pierwsze oferty opiewały na 1,7 tys. dolarów miesięcznie, ale według ustaleń agencji AFP i magazynu „Foreign Policy” kwota szybko urosła do 3 tys. dolarów. Wabikiem są też pasz-

Węgierska prezydencja już za kilka dni

Mistrzowie wkurzania Europy

Kostka Rubika to pestka w porównaniu z kostką Orbána

Wielński



Już samo logo rozpoczynającej się 1 lipca węgierskiej prezydencji w Radzie Europejskiej wiele mówi o tym, jaka ona będzie. To kostka Rubika, na jednej ścianie flaga unijna, na drugiej flaga Węgier.

Sprawujący półroczne prezydencje przed Węgrami Belgowie, Hiszpanie i Szwedzi graficzne symbole projektowali tak, by narodowe przenikało się z unijnym. Węgrzy wytyczyli wyraźną granicę: Unia ma kończyć się tam, gdzie zaczyna się ich kraj. Ma dawać pieniądze i nie przeszkadzać.

Pewnie nie zwróciłbym uwagi na ten niuans, gdyby nie motto węgierskiej prezydencji. A jest ono prowokacją wielkiego kalibru. „Make Europe great again” – to parafraza słynnego hasła, na którym Trump oparł kampanię w 2016 r. i wokół którego zbudował MAGA, społeczność swoich wyznawców. To oni 6 stycznia 2021 r. szturmowali Kapitol, próbując siłą podważyć wyniki wyborów prezydenckich. – Motto wskazuje, że nasza prezydencja będzie mieć proaktywny charakter, symbolizuje sens tego, że razem jesteśmy silniejsi niż osobno – mówił podczas prezentacji symboli Janos Boka, węgierski minister spraw europejskich.

Węgierska proaktywność, dobre sobie! Współpracownicy Orbána zapowiadają, że zdają sobie sprawę ze złej opinii, jaką w Brukseli mają Węgry, i z tego, że unijni urzędnicy i dyplomaci będą patrzeć im na ręce, dlatego postanowili wysoko zawiesić sobie poprzeczkę i „szczerze współpracować z innymi krajami oraz być uczciwym pośrednikiem między nimi a instytucjami UE”. Na liście priorytetów Budapesztu obok wzmocnienia europejskiego przemysłu zbrojeniowego i walki z migracją jest np. dokończenie wchodzenia Bułgarii i Rumunii do strefy Schengen (teraz zniesienie kontroli granicznych dotyczy jedynie lotnisk i portów w tych krajach) oraz przyspieszenie negocjacji akcesyjnych z krajami zachodnich Bałkanów.

Biorąc pod uwagę to, że w kończącej urzędowanie Komisji Europejskiej węgierski komisarz Olivér Várhelyi odpowiedzialny był za politykę sąsiedztwa i rozszerzenie, a jego działalność nie przyniosła większych efektów, to dobry żart. Do tej pory Bałkany były terytorium, gdzie Węgry krzewiły nie wartości Unii Europejskiej, ale orbanowską ideę demokracji nieliberalnej, czyli mniej lub bardziej miękkiej autokracji. Węgierska kuratela raczej oddalała te państwa od członkostwa, niż je przybliżała.

– Węgierska prezydencja ma uczynić Europę silniejszą, ma oderwać ją od ziemi – mówił na użytek krajowej propagandy Balázs Orbán, główny doradca Orbána (nie są spokrewnieni). Ale to tylko słowa. Jedyne, co uda się Wę-



• **Premier Orbán szykuje się do przemówienia przed spotkaniem z premierką Meloni podczas wizyty w Rzymie** FOT. REUTERS/GUGLIELMO MANGIAPANE

grom w ciągu najbliższych sześciu miesięcy, to maksymalnie wkurzyć Europę. Do węgierskiej prezydencji Unia przygotowała się jak nigdy wcześniej.

– Obawiamy się, że rząd Węgier nie będzie w stanie w wiarygodny sposób wypełniać obowiązków związanych z przewodnictwem Radzie Europejskiej – czytamy w kwietniowej rezolucji Parlamentu Europejskiego. Powstała w reakcji na stworzenie przez Orbána Urzędu ds. Ochrony Suwerenności, który ma zastraszać organizacje pozarządowe i tropić oraz piętnować ich zagraniczne finansowanie. Nowe przepisy inspirowała rosyjska ustawa o „agentach zagranicy”, która pozwoliła Putinowi knebłować społeczeństwo obywatelskie i zastraszyć organizacje pozarządowe. Orbán chce robić to samo. Pierwszymi ofiarami tych przepisów stały się węgierski oddział Transparency International i portal śledczy Atlatszo. Urząd wszczął przeciwko nim śledztwo w sprawie wpływania na wynik wyborów przez finansowanie z zagranicy.

Kręcenie bicz na węgierskie społeczeństwo i szykowanie nowej nagonki na przeciwników posłowie do PE uznali za kolejne rażące złamanie praworządności. – Rząd Węgier w sposób fundamentalny narusza standardy demokracji i łamie w wielu miejscach prawo UE – czytamy w dokumencie. Dlatego posłowie wezwali unijną Radę, czyli kraje członkowskie, by nie powierzały Węgrom sterów wspólnoty. „Za” głosowało 399 posłów, „przeciw” 117, lecz jego wyniki zignorowano. Z kilku powodów: rezolucja nie miała wiążącego charakteru, odebranie krajowi prezydencji w UE nie miało jeszcze precedensu, nie wiadomo też, czy byłoby prawnie wykonalne – chyba

Orbán nie ukrywa, że gra w orkiestrze Putina i Xi, wobec UE i NATO stosuje ordynarny szantaż. A jedyne, na co była zdobywa się Unia, to zamrożenie Węgrom części wypłat z unijnego budżetu

że w ramach prowadzonej przeciwko Węgrom dyscyplinarnej procedury z art. 7 w związku z naruszaniem unijnych wartości krajowi odebrano by prawo głosu.

Na to jednak musiałyby się zgodzić wszystkie kraje, a na taki konsensus w UE ciągle brakuje odwagi. Budowa autorytaryzmu na Węgrzech postępuje, Orbán nie ukrywa, że gra w orkiestrze Putina i Xi, wobec UE i NATO coraz częściej stosuje ordynarny szantaż. A jedyne, na co była w stanie zdobyć się Unia, to zamrożenie Węgrom części wypłat z unijnego budżetu. W Brukseli ostrożność – jeśli nie strachliwość – tłumaczy się obawą przed rozbieniem Wspólnoty, kolejnym brexitem. Tak jakby Orbán unijnej jedności usilnie nie rozbijał.

Zamiast Orbána wyrzucać, Unia postanowiła go rozgrywać. Belgowie, kierujący pracami UE od stycznia do końca czerwca, postawili sobie za cel zamknięcie wszystkich otwartych spraw, by nie zostawiać ich Węgrom. Najważniejszą kwestią było formalne otwarcie negocjacji akcesyjnych z Ukrainą, które Orbán blokował od miesięcy, domagając się m.in. gwarancji dla węgierskiej mniejszości w Ukrainie. Licząca ponad 150 tys. ludzi społeczność w zachodniej części kraju jest od dawna wykorzystywana przez Budapeszt jako pretekst do zwalczania ukraińskich aspiracji.

Orbán w odróżnieniu od Kaczyńskiego wie jednak, kiedy należy ustąpić, i na przykład tak jak w grudniu podczas dyskusji w Radzie Europejskiej, która miała dać zielone światło rozmowom akcesyjnym z Ukrainą, wyjść z sali obrad, by napić się kawy. Niedawno znowu zrobił kroczek do tyłu – też w swoim stylu, w ostatnim możliwym momencie. Konferencja międzyrządowa, która rozpoczęła proces wchodzenia Ukrainy do europejskiej wspólnoty, odbyła się w poniedziałek 25 czerwca w Luksemburgu.

Jednocześnie krajom UE udało się ominąć weto Węgier w sprawie pomocy wojskowej dla Ukrainy. Unia przekaże Ukraincom 1,4 mld euro, m.in. na obronę przeciwlotniczą. Pieniądze pochodzą nie z budżetu UE, tylko z zamrożonych rosyjskich aktywów

– a skoro Węgry wstrzymały się od głosu, gdy Unia postanowiła te pieniądze przejąć, to pozbawiły się prawa do decyzji w sprawie finansowania z nich ukraińskiej obronności. – To łamanie unijnego prawa – oburzał się szef węgierskiego MSZ Peter Szijjarto, ale – jak mówi się w unijnych korytarzach – tylko na pokaz.

Co podziało na Orbána? Chyba timing. Wkrótce powstanie nowa Komisja Europejska, Węgry liczą, że dostaną w niej prestiżowe stanowisko. Przeciąganie struny temu mogłoby zaszkodzić. Orbán wiedział też, że w europarlamencie będzie izolowany. Po wyjściu z Europejskiej Partii Ludowej w 2021 r. (Fidesz opuścił EPL, by nie zostać z niej wyrzucony) jego europosłów nie przyjęto do żadnej frakcji. Po wyborach to się nie zmieniło. Wejście Fideszu do Europejskich Konserwatystów i Reformatorów (w tej frakcji jest PiS) zablokowała włoska premier Giorgia Meloni, szefowa skrajnie prawicowych Braci Włochów. Powodem była prorosyjskość Węgrów...

Taktyczne ustępstwa nie oznaczają jednak, że Węgry nie będą rzucać dalej Ukraincom kłód pod nogi. Minister Boka oświadczył, że choć negocjacje się rozpoczęły, to w najbliższym półroczu nie spodziewa się żadnych postępów. Czytaj: Ukrainy nie wesprzemy, a może nawet będziemy jej szkodzić.

Tyle dobrego, że prezydencja nie pozwala Orbánowi na zbyt wiele. Pozostaje mu głównie bicie piany na użytek domowej i zewnętrznej propagandy. Szef rządu sprawującego prezydencję występuje przed Parlamentem Europejskim, po czym nad jego wystąpieniem odbywa się dyskusja. Węgier nie odpuszcza okazji. Zapewne frontalnie zaatakuje Unię, będzie mówić o zginiłym Zachodzie opanowanym przez LGBT, braku demokracji we Wspólnocie i podżegaczach wojennych. Sesja w Strasburgu skończy się wielką awanturą, ale prezydencja – na to liczy Bruksela – będzie spokojna, pasywna. Zaciśniemy zęby, doczekamy do końca roku. W styczniu pałeczkę od Węgier przejmie Polska, potem Dania...

Orbán może być jednak tym, który będzie się śmiał ostatni. Na przełomie czerwca i lipca we Francji odbędą się przyspieszone wybory. I może się okazać, że Macron, ogłaszając je po sukcesie eurosceptycznej skrajnej prawicy w eurowyborach, przeliczywał – owszem, Francuzi się przestraszyli i demonstrowali przeciwko radykałom, lecz w sondażach prowadzi Zjednoczenie Narodowe, które może stworzyć następny rząd.

Jeśli władzę przejmie Marine Le Pen, Orbán może być jednym z pierwszych zagranicznych gości w Paryżu. A w listopadzie władzę w USA może znowu przejąć Trump. I w tym momencie elementy kostki Rubika wskazują na swoje miejsce: hasło prezydencji Węgrzy wybrali nie tylko po to, by wkurzyć przeciwników w Radzie, Komisji czy Parlamencie. Chodziło też – a może przede wszystkim – o to, by podliznąć się Trumpowi, z którym Orbán już się „owocnie” spotykał. Jeśli The Don wygra, Węgry zyskają potężnego protektora. ●

Bartosz T. Wielński

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

Raport o ukraińskim rolnictwie

WYSTARCZY ZASIAĆ
I SAMO ROŚNIE

Żyźne czarnoziemy, dużo słońca, inwestorzy z USA i Arabii Saudyjskiej. Czy żywność, owoce, mięso i nabiał od naszych sąsiadów i sojuszników naprawdę wykończą polską wieś?

Kamil Fejfer

W maju zeszłego roku świat obiegły zdjęcia niecodziennej maszyny, której Oleksandr Krywcow, szef firmy rolniczej spod Charkowa, używał do rozminowywania pola. Był to zdalnie sterowany ciągnik opancerzony panelami pozyskanymi ze zniszczonych w okolicy rosyjskich czołgów. Z przodu lemisz z obracającym się wałem rozgrzebywał ziemię. Operator urządzenia siedział w podniesionej łyżce koparki oddalonej od maszyny o kilkaset metrów. W ten sposób chronił się przed odłamkami, zachowując duży zasięg kontroli nad zdalnie sterowanym pojazdem. Ciągnik przynajmniej raz został uszkodzony przez minę. Nikomu nic się nie stało, a pojazd wrócił do pracy. Sergiej Dudak, szef jednostki nadzorującej pracę słynnego ciągnika, stwierdził, że ręczne rozminowywanie pola Krywcowa zajęłoby wiele lat. Z danych ONZ wynika, że Ukraina jest jednym z najbardziej zaminowanych państw na świecie. Premier Denys Szmyhal

mówi, że Rosjanie zaminowali 30 proc. terytorium jego kraju.

W Polsce ukraińskie rolnictwo kojarzy się właśnie albo z polami usianymi minami i rosyjskim rabunkiem zbóż, albo z ubożeniem polskich rolników, agroholdingami i zbożem nie najlepszej jakości. Wszystko jest jak zwykle o wiele bardziej złożone i narosło wiele mitów, które warto – nomen omen – rozbroić, ale wpierw poczynimy zastrzeżenie moralne: płody rolne, które według częściowo słusznego mniemania naszych rolników, stanowią zagrożenie dla ich ekonomicznego dobrostanu, rolnicy ukraińscy postrzegają jako okupione własną krwią.

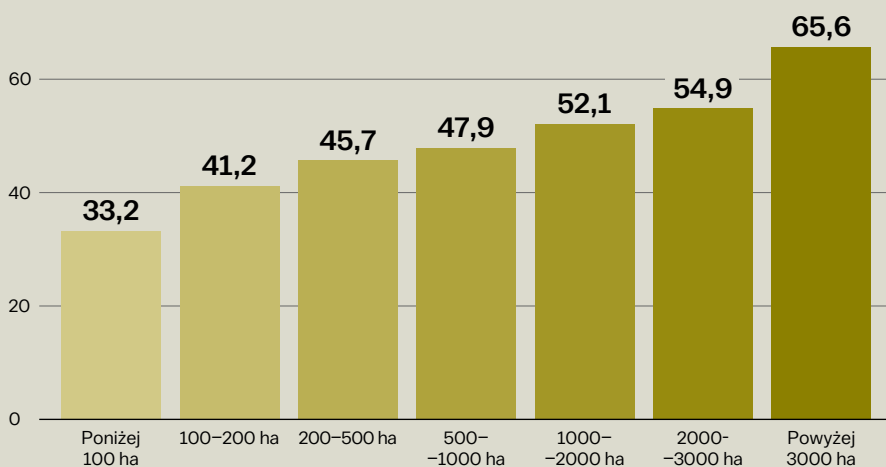
„Nie ma na świecie kraju, który miałby taki naturalny warsztat rolny. Wystarczy zasiać i samo rośnie” – pisze w portalu Agrokonsumet Piotr Łuczak, dziennikarz zajmujący się

400

• TYS. TON
tyłe zboża z Ukrainy wjechało do Polski w listopadzie 2022. W marcu, miesiąc po rosyjskim ataku – 100 tys. ton

Średnie plony zbóż w zależności od uprawianego arealu w 2019 r.

Dane w cetnarach na hektar



© GAZETA WYBORCZA. ŹRÓDŁO: PAŃSTWOWY KOMITET STATYSTYKI UKRAINY; OŚRODEK STUDIÓW WSCHODNICH, RAPORT „SPICHLERZ ŚWIATA? ROZWÓJ ROLNICTWA NA UKRAINIE”

tematyką rolniczą. Jego słowa znajdują potwierdzenie w opublikowanym tuż przed wojną, w 2021 r., opracowaniu Ośrodka Studiów Wschodnich „Spichlerz świata? Rozwój rolnictwa na Ukrainie”.

Ukraina jest – po Rosji – największym terytorialnie państwem europejskim. Ponad połowę jej obszaru zajmują niezwykle żyzne gleby – czarnoziemy. Do tego duże nasłonecznienie i długi okres wegetacyjny dla roślin. Innymi słowy – z wyjątkiem północy kraju, w Ukrainie panują idealne warunki dla rolnictwa.

W 2019 r. uprawy zajmowały około 28 mln hektarów, czyli niemal połowę terytorium naszego sąsiada. Dla porównania w 2022 r. w Polsce powierzchnia zasiewów wyniosła 11 mln hektarów. Ukraina ma więc ponad dwuipółkrotnie więcej obszarów uprawnych. Przy czym, jak zaznacza Łuczak, u nas, mimo gorszych warunków glebowych, zbiera się więcej zbóż czy roślin oleistych z hektara. Dzieje się tak z uwagi na wyższe nakłady na środki do produkcji rolnej czy lepsze nawozy – ale to akurat ukraińscy farmerzy będą mogli łatwo nadrobić.

A co się w Ukrainie uprawia? Według raportu OSW głównie – przy czym po ataku Rosji struktura mogła się nieco zmienić – zboża, które zajmowały 55 proc. arealu. Rośliny przemysłowe to 33 proc. obszaru, a te hodowane na pasze i karmy ponad 6 proc. Znakomitą większość zbóż stanowiły kukurydza, pszenica i jęczmień (97 proc. upraw). 99 proc. upraw roślin oleistych stanowiły słonecznik, rzepak i soja. Ukraina od lat jest potentatem na światowym rynku olejów. W 2019 r. była największym na świecie eksporterem oleju słonecznikowego, którego rocznie za granicę Ukraińcy wysyłali ponad 5 mln ton. Druga była Rosja, wysyłająca nieco ponad 3 mln ton oleju. Ukraina jest też jednym z największych światowych dostawców kukurydzy, pszenicy, jęczmienia i rze-



FOT. YOMIURI SHIMBUN/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

paku. W sumie w 2019 r. sektor rolniczy od-
powiadał za 44 proc. całości eksportu nasze-
go wschodniego sąsiada.

A jakie są główne kierunki handlu Kijowa?
Największym odbiorcą była wtedy Unia Eu-
ropejska, odbierająca około 1/3 ukraińskiej
produkcji rolno-spożywczej, po niej pań-
stwa Bliskiego Wschodu (nieco ponad 1/4 ca-
łego eksportu) oraz państwa Azji Południo-
wo-Wschodniej (niecałe 25 proc.).

Nad Dnieprem rolnictwo zatrudnia oko-
ło 15 proc. całej liczby pracujących. W Pol-
sce odsetek ten wynosi nieco ponad 8 proc.
– i spada od początku lat 90. Liczba zatrud-
nionych w tym sektorze jest benchmarkiem
rozwoju gospodarczego kraju. W najbied-
niejszych państwach nierzadko ponad po-
łowa zatrudnionych para się uprawą ziemi.
W najbardziej rozwiniętych w rolnictwie
pracuje najwyżej kilka procent. U naszego
zachodniego sąsiada to ok. 2 proc. Oczywi-
ście w Ukrainie nawet w przypadku zakoń-
czenia wojny i wieszczonego przemysłowo-
technologicznego boomu związanego z od-
budową, obronnością i akcesją do Unii, od-
setek żyjących z ziemi nie stopnieje do nie-
mieckich rozmiarów z uwagi na dostępność
urodzajnych gleb.

Ukraińskie rolnictwo jest zdominowa-
ne przez hodowlę roślin. Zwierzęta są kapi-
tałochłonne, a mając tak dobre gleby, ukra-
ińscy rolnicy i inwestorzy po prostu profilo-
wali się pod to, co jest optymalne pod wzglę-
dem kosztowym. „Miejscowi biznesmeni
– nastawieni na maksymalizację dochodów
przy minimalnym zaangażowaniu kapita-
łowym – są hodowlą mało zainteresowani”
– czytamy w opracowaniu OSW.

Obraz nieco zmieniła wojna. „Szacunki Ko-
misji Europejskiej mówią, że 22 proc. pro-

dukcji pszenicy miękkiej, 20 proc. jęczmie-
nia, 13 proc. rzepaku, 4 proc. kukurydzy na
ziarno, 10 proc. słonecznika i 7 proc. produk-
cji soi w Ukrainie znajduje się na obszarach,
na których toczą się działania wojenne” – pi-
sze w artykule „Polskie i ukraińskie rolnic-
two w liczbach” prof. Anna Nowak z Katedry
Ekonomii i Agrobiznesu Uniwersytetu Przy-
rodniczego w Lublinie.

Jedną z twarzy tej tragedii jest Anato-
lij Kulibaba z Bilki, wsi oddalonej o 40 ki-
lometrów od rosyjskiej granicy. Jego hi-
storię w maju 2022 r. opisywał portal NPR.
W pierwszych dniach wojny stracił syna.
„Miał zaledwie 45 lat i całe życie przed so-
bą” – mówił amerykańskim reporterom rol-
nik. Jego gospodarstwo również zniszczy-
li Rosjanie: piechurzy zabijali i jedli jego by-
dło, czolgiści parkowali maszyny na polach
kukurydzy. Na te fragmenty upraw Kuliba-
by, których nie rozjechały gąsienice, spadł
grab bomb.

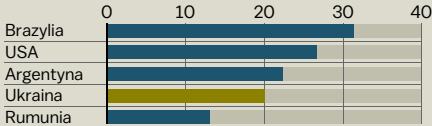
Świeższą historię wojny burzącej spokój
i – wbrew naszym wyobrażeniom – dobro-
byt ukraińskiego gospodarowania opisywał
w marcu Bloomberg. Bohaterem tekstu był
Andrij Pastuszenko, farmer spod Chersonia.
Wielu pracowników jego farmy zostało ran-
nych, dziesiątki krów zabite, front uszkodził
magazyny i zanieczyścił pola odłamkami.
A dodatkowo nad wsią – jego i w ogóle ukra-
ińską – wisi widmo mobilizacji.

Z „Drugiego frontu”, zeszłorocznego ra-
portu OSW o kondycji ukraińskiej gospodar-
ki, wynika, że wskutek działań militarnych
w 2022 r. powierzchnia upraw zmniejszy-
ła się ze 28 mln hektarów do 23,5 mln (wciąż
była więc ponad dwukrotnie większa niż
u nas). W 2022 r. zebrano niemal 40 proc.
mniej zbóż oraz 20 proc. mniej plonów z ro-
ślin oleistych w porównaniu z rokiem po-
przednim. „Najbardziej ucierpiały obwo-
dy, w których przebiega linia frontu lub toczą
się walki, a najmniej – zachodnia część kra-

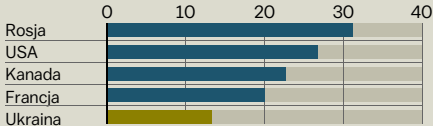
Najwięksi eksporterzy wybranych produktów rolnych w 2019 r.

Dane w mln ton

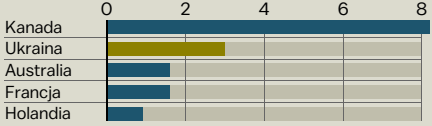
Kukurydza



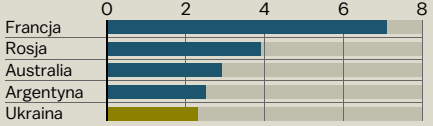
Pszenica



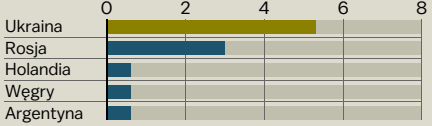
Rzepak



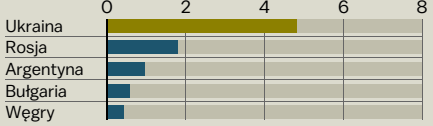
Jęczmień



Olej słonecznikowy



Makuchy



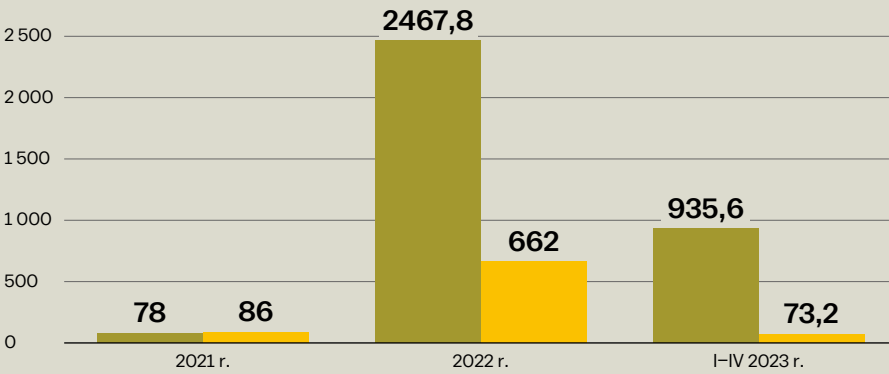
© GAZETA WYBORCZA

ŹRÓDŁO: OŚRODEK STUDIÓW WSCHODNICH, RAPORT „SPICHLERZ ŚWIATA? ROZWÓJ ROLNICTWA NA UKRAINIE”

Import zboża i rzepaku z Ukrainy

Dane w tys. ton. Okres od stycznia 2021 do kwietnia 2023 r.

Zboża (ogółem 3481,4 tys. ton) **Rzepak i rzepik** (ogółem 814,7 tys. ton)



© GAZETA WYBORCZA

ŹRÓDŁO: OPRACOWANIE WŁASNE NIK NA PODSTAWIE WYNIKÓW KONTROLI

Naj – drugie imię ukraińskiego farmera

O skali, rozmachu, różnorodności i potencjale
ukraińskiego rolnictwa sporo mówi wyliczan-
ka Wikipedii widniejąca pod hasłem „Ukra-
inian agriculture”. W 2018 r. Ukraina była:

- **największym** producentem nasion sło-
necznika;
- **trzecim** producentem ziemniaków (ustę-
pując jedynie Chinom i Indiom), gryki na świe-
cie (za Rosją i Chinami) oraz dyni na świecie
(za Chinami i Indiami);
- **czwartym** producentem grochu suchego
(za Kanadą, Rosją i Chinami);
- **piątym** producentem na świecie: kukury-
dzy (po USA, Chinach, Brazylii i Argentynie),
kapusty (po Chinach, Indiach, Korei Południo-
wej i Rosji) i marchwi (po Chinach, Uzbekista-
nie, USA i Rosji);
- **szóstym** producentem ogórków i, uwaga,
orzechów włoskich;
- **siódmym** producentem buraków cukro-
wych, jęczmienia i żyta;
- **ósmym** producentem pszenicy;
- **jedenastym** producentem jabłek;
- **trzynastym** producentem pomidorów.

***Ekonomiści o polskim
rolnictwie: Sytuacja całego
sektora w ostatnich latach
była ekstremalnie dobra. Był
beneficjentem rosnących cen
żywności***

ju, gdzie w części regionów zanotowano na-
wet wzrosty. Trzeba jednak zaznaczyć, że
mowa tu o obszarze najslabiej rozwiniętym
pod względem upraw” – czytamy.

To wszystko znacząco przyłożyło się do
zbiednienia Ukrainy, gdyż rolnictwo generu-
je około 10 proc. jej PKB. A przecież poza sa-
mym spadkiem plonów Kijów od początku
inwazji zmagał się z blokowaniem przez Ro-
sjan portów na Morzu Czarnym, przez które
wcześniej wędrowała znakomita większość
produkcji rolno-spożywczej.

Skutkiem blokady były gorączkowe po-
szukiwania nowych szlaków. Jednym z nich
– wcześniej niemal nieużywanym – była dro-
ga lądowa przez nasz kraj. Co stało się za-
rzewiem konfliktu Kijów – Warszawa. Wraz
z rozpoczęciem wojny ukraiński import
zbóż do Polski zaczął gwałtownie rosnąć.
Według danych Eurostatu w marcu 2022 r.
ilość zboża sprowadzonego do nas wynosi-
ła 100 tys. ton. W listopadzie już 400 tys. ton.
W międzyczasie, bo w czerwcu 2022 r., Unia
zdecydowała się na czasowe zniesienie cel
na ukraiński import, w tym rolny.

Kilka miesięcy później, w maju 2023, Ko-
misja Europejska nałożyła ograniczenia na
wvóz niektórych płodów rolnych nasze-
go wschodniego sąsiada. Dotyczyło to głów-
nych gwiazd eksportowych: pszenicy, ku-
kurydzy, rzepaku i słonecznika. Wtedy też
był widoczny gwałtowny spadek impor-
tu do Polski ukraińskich zbóż: w styczniu
2023 wjechało ponad 350 tys. ton tego su-
rowca, w maju niecałe 50 tys. ton.

Zachodni lądowy szlak handlowy po-
zwolił podnieść się sektorowi najsłabiej
ugodzonemu przez Rosjan wskutek inwa-
zji. Jednocześnie w sierpniu 2022 r. Kijów
i Moskwa porozumiały się w sprawie otwar-
cia tzw. korytarza czarnomorskiego, którym
ukraińskie statki mogły eksportować pło-
dy rolne. Co prawda porozumienie Rosja ze-
rwała w lipcu 2023, jednak dało ono nasze-

mu wschodniemu sąsiadowi oddech i czas na kolejne przearanżowanie łańcuchów dostaw. W międzyczasie Kijów zaczął przetrzucać część eksportu do portów na Dunaju, które przed rosyjską inwazją były w zasadzie nieużywane.

Cała ta mozaika polityczno-gospodarcza pokazuje, z jak wielkimi problemami boryka się ukraińskie rolnictwo. Za tym galimatiasem stoją przecież setki tysięcy ludzi – to nie tylko gospodarze tacy jak Krywcow, Kuliba czy Pastuszenko i ich rodziny. To również ich pracownicy, ludzie zatrudnieni w przetwórstwie, transporcie, handlu...

Ale spójrzmy na sprawę z perspektywy polskiego rolnika. Czy nie ucierpiał na skutkach polityki Kijowa? Protestujący farmerzy twierdzili, że tańsze plody rolne z Ukrainy obniżyły opłacalność rodzimej produkcji. „Średnie ceny importowanego zboża i rzepaku z Ukrainy w latach 2022-23 były niższe niż średnie ceny tych produktów na krajowym rynku” – możemy przeczytać w listopadowym raporcie Najwyższej Izby Kontroli. „Import samej pszenicy wzrósł rok do roku o blisko 17 tys. procent, a kukurydzy nawet o prawie 30 tys. procent. W ciągu 16 miesięcy 541 firm sprowadziło łącznie 4,3 mln ton zbóż i roślin oleistych o wartości 6,2 mld zł” – czytamy w komunikacie Izby.

Jak informuje NIK, od marca 2022 do marca 2023 nasz wschodni sąsiad wyeksportował do pięciu krajów przyfrontowych 10 mln ton produktów spożywczych. Wśród tych państw największym była Polska. W teorii mieliśmy mieć do czynienia z tranzytem płodów rolnych, w praktyce nie było systemu śledzenia ukraińskiej produkcji i spora część jej została na naszym rynku. „Do Polski wjechało ponad 4 mln ton zboża i nasion roślin oleistych, z tego tranzytem objęto 0,7 mln ton, a 3,4 mln ton zostało w kraju. Import docelowy do Polski stanowił ok. 10 proc. zbiorów krajowych tych roślin” – podaje NIK.

Dla zrozumienia skali napływu ukraińskiego zboża przytoczmy kilka liczb. W 2021 r. import pszenicy z Ukrainy wynosił 3 tys. ton. W kolejnym roku już ponad pół miliona ton. Import kukurydzy wzrósł z 6 tys. ton w 2021 do niemal 2 mln ton w 2022 r. Przez dłuższy czas polskie władze biernie przyglądały się temu procesowi. Ich działania NIK określił jako „spóźnione, niepoparte odpowiednimi analizami i przede wszystkim nieskuteczne dla polskiego rynku rolnego”.

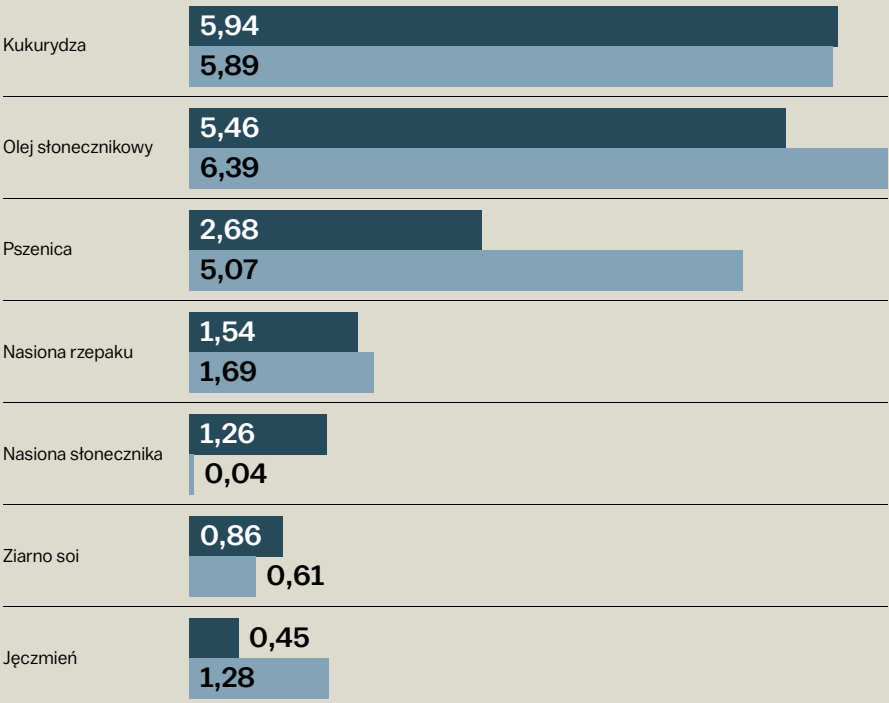
Czy więc ukraiński sektor rolny cynicznie wykorzystał bezwład naszej administracji? Przypomnijmy, że Kijów zmagał się z zablokowaniem kanałów transportowych na Morzu Czarnym. I że rolnictwo to ponad 40 proc. tamtejszego przedwojennego eksportu oraz 10 proc. PKB. Trudno się dziwić, że Ukraina wykorzystywała każdą okazję do upłynnienia ogromnych nadwyżek.

Sytuacja, w której znalazł się nasz sąsiad, nie oznacza oczywiście, że jego działania nie miały wpływu na polskiego rolnika. Jak zauważa NIK, import zboża przełożył się na zwiększenie zapasów na naszym rynku z 4 do niemal 10 mln ton. Konkluzja narzuca się sama: wzrost podaży oznacza spadek cen. Szerszy obraz malują jednak eksperci z Instytutu Finansów Publicznych, którzy opublikowali raport „Ziarno niezgody”. A w nim nieco inne liczby, niż przedstawia NIK. IFP zauważa, że w 2023 r. do Polski zaimportowano milion ton zbóż z Ukrainy. Tymczasem krajowa produkcja wyniosła około 35 mln ton. Taka wielkość importu „nie może być czynnikiem znacząco wpływającym na spadek cen”. Warto jednak przypomnieć, że w maju 2023 Unia czasowo zablokowała możliwość wwozu ukraińskiego zboża na teren wspólnoty. A największe nasilenie importu miało miejsce w 2022 roku.

Analitycy zauważają jednak, że ceny pszenicy, rzepaku i kukurydzy na globalnych rynkach spadały od pewnego czasu – a działa się do równoległe z napływem

Porównanie wartości ukraińskiego eksportu głównych produktów rolnych w 2021 i 2022 r.

Dane w mld dol. 2022 r. 2021 r.



© GAZETA WYBORCZA

ŹRÓDŁO: OŚRODEK STUDIÓW WSCHODNICH

Do unijnych drzwi stukają farmerzy i przedsiębiorcy rolni z Maroka i innych krajów Maghrebu. A dalej w kolejce stoją choćby rolnicy kenijscy

ukraińskiego zboża do Polski. Powodem globalnego trendu był wysoki poziom produkcji w Australii i Argentynie. W sezonie 2022-23 natomiast wpływ na spadek cen miała duża nadwyżka produkcji w Rosji.

Jest jeszcze jedna sprawa, która tłumaczy niezadowolenie polskich rolników: tzw. efekt bazy. Ekonomisci nazywają tak sytuację, w której obserwowany trend został poprzedzony jakąś anomalią na rynkach. Efektem bazy był więc na przykład bardzo wysoki procentowo wzrost cen paliw rok do roku pierwszym kwartale 2021. Skąd się wziął?

Przypomnijmy, że na początku roku 2020 mieliśmy do czynienia z lockdownami. A wraz z nimi gwałtownie spadł popyt na paliwa, co zaowocowało niespotykanymi od dekad przecenami. Rok później ceny wracały do poziomu wieloletniego trendu – ale w odczytach inflacyjnych rok do roku mieliśmy do czynienia z ogromnymi wzrostami. Były statystycznym „artefaktem” po ogromnym dolku z początku pandemii (kto pamięta, że benzyna 95 w kwietniu 2020 kosztowała mniej niż 4 zł za litr?), ale w perspektywie Kowalskiego, pamiętającego swój portfel wczoraj, nie sprzed 5 czy 10 lat, to gwałtowna drożyzna.

Jak ta analogia ma się do tego, co w ostatnich miesiącach było widoczne (nie tylko) na polskim rynku rolnym? „Sytuacja całego sektora w ostatnich latach, w okresie podwyższonych cen żywności, była ekstremalnie dobra. Sektor rolniczy był beneficjentem rosnących cen żywności. To fakt widocznych w zagregowanych danych Eurostatu. Według danych tylko w ciągu 2 lat (2022-23) wartość dodana brutto sektora rolniczego w Polsce wzrosła o 71 proc. To był drugi najwyższy wzrost w całej UE” – czytamy w komunikacie IFP.

Z takim postawieniem sprawy nie zgadza się prof. Arkadiusz Artyszak. Kierownik Katedry Agronomii SGGW w „Rzeczpospo-

litej” przekonuje, że nie można umniejszać wpływu ukraińskiego zboża na polski rynek. „W sytuacji, gdy nasza produkcja zbóż jest o 10 mln ton większa niż zużycie, to każda ilość ziarna, która do nas trafia, powiększa nadwyżkę na rynku i przy niewydolnych szlakach komunikacjach i portach utrudnia eksport. Dodatkowo, firmy skupowe, mogąc zgodnie z prawem kupować tańsze zboże ukraińskie, skrzętnie z tego korzystały” – zauważa. I przytacza dane, które świadczą, że w obszarach przygranicznych spadki cen zbóż były wyjątkowo silnie widoczne.

A czy zboże z Ukrainy było niższej jakości? Z informacji NIK wynika, że spośród niemal 12 tys. kontroli przeprowadzonych w latach 2022-23 szkodniki wykryto w 210 próbkach (1,8 proc. kontroli). Niedozwolone środki oraz przekroczone poziomy pestycydów odkryto w 45 kontrolach (niecałe 0,4 proc.).

Jest jednak jeszcze jedna kwestia, na którą zwracają uwagę polscy rolnicy – chodzi o to, że ukraińskie rolnictwo nie musi speł-

niać szeregu środowiskowych norm, które na unijnych farmerów narzuca Bruksela. Oczywiście to nie świadczy, że owe regulacje nie są potrzebne – obostrzenia są proekologiczne i zmniejszają ślad środowiskowy sektora. Ale ich efektem jest wyższa cena produktów ze Wspólnoty. Ukraińskie rolnictwo jest więc tańsze. I ma jeszcze jedną przewagę konkurencyjną – znacznie niższe opłacanie go pracownika.

Podczas sporu wypłynął jeszcze jeden wątek. Otóż zdaniem wielu ukraińskie rolnictwo jest zdominowane przez gigantyczne firmy, agroholdingi, będące własnością międzynarodowego kapitału. Inaczej mówiąc – polscy rolnicy nie występowali przeciwko ukraińskim kolegom, ale przeciwko globalnym, obrzydliwie bogatym funduszom inwestycyjnym. To spore uproszczenie.

Ale zanim przyjrzymy się strukturze sektora rolnego Ukrainy, powiedzmy, że nawet gdyby prawdą było, że kontrolę nad uprawą u naszego sąsiada sprawuje globalny kapitał, to przecież nie on pracuje na roli pod Kijowem, czy Lwowem. Orze, sieje i zbiera tam nie kto inny, jak mężczyźni i kobiety starający się związać koniec z końcem. Co z kolei nie oznacza, że nie mamy do czynienia z konfliktem interesów między polskimi farmerami i ich kolegami zza wschodniej granicy. Warto jednak zdawać sobie sprawę ze złożoności tej układanki.

Jak więc jest z tą strukturą własności ukraińskiego sektora rolniczego? W 2019 r. rolnicy indywidualni eksploatowali jedynie około 27 proc. gruntów w Ukrainie. W Polsce to około 92 proc. Ponad 70 proc. ukraińskiej ziemi jest w rękach spółek rolnych. „Agrofirmy są bardzo rozdrobnione, zdecydowana większość dzierżawi grunty o powierzchni poniżej 100 ha. Najwięksi gracze (powyżej 3000 ha), którzy stanowią ok. 1 proc. wszystkich przedsiębiorstw operujących w sektorze rolno-spożywczym, produkuje ponad 20 proc. zbóż i roślin oleistych. Najważniejszą pozycję zajmują jednak średnie spółki, z arealem 200–2000 ha” – czytamy w raporcie OSW. Prawdą jest więc, że rolnicy indywidualni uprawiają mniejszość ukraińskiej ziemi. Ale nie jest prawdą, że sektor jest zdominowany przez gigantyczne firmy; większość z nich to po prostu mali i średni przedsiębiorcy.

Żeby zrozumieć, skąd wziął się tak specyficzny sposób gospodarowania ziemią, trzeba się cofnąć do czasów Związku Radzieckiego, kiedy to cała ziemia uprawna należała do państwa. Bezpłatnie gospodarowały na niej kolchozy i sowchozy. Pierwsze były spółdzielniami, drugie przedsiębiorstwami państwowymi. Po przemianach ustrojowych nowe prawo przyznało pracownikom kolchozów prawo do tzw. pajów, czyli części gruntów kolchozów. Według OSW prawo takie otrzymało 6-8 mln osób.

Jednocześnie do 2019 r. w Ukrainie nie istniał wolny obrót ziemią. Dlaczego? Nie było woli politycznej do przeprowadzenia reformy. Polityków paraliżował społeczny opór wobec prywatyzacji – Ukraińcy w latach 90. obserwowali sprzedaż majątku narodowego za bezcen i rośnięcie na nim ogromnych fortun – nie tylko w Ukrainie, również, a może nawet bardziej, w bliskiej wtedy kulturowo i społecznie Rosji.

Opór przed prywatyzacją był jednak daremny. Przez dekady dzierżawienia pajów urosło sporo gigantycznych firm. W 2019 r. 22 przedsiębiorstwa dzierżawiły obszary większe niż 50 tys. hektarów. 10 spośród nich - areal o powierzchni ponad 100 tys. hektarów. To te podmioty nazywane są „agroholdingami”. Według szacunków największe agroholdingi w 2019 r. zarządzały gruntami o łącznej powierzchni około 3,5 mln hektarów, co stanowiło trochę ponad 12 proc. wszystkich ziem uprawianych.

Jak widać, opinie, że ukraińskie rolnictwo jest zdominowane przez ogromne latyfundia, są co najmniej przesadzone. „W przeciwieństwie do innych sektorów gospodarki (jak metalurgia, energetyka, telekomunikacja czy przemysł chemiczny) nie

27

• PROC. GRUNTÓW
w Ukrainie jest w rękach rolników indywidualnych. W Polsce 92 proc.

210

• w tyłu próbkach ukraińskich produktów rolnych wykryto szkodniki. Kontroli przeprowadzono 12 tysięcy

można zatem mówić o monopolizacji czy nawet oligopolizacji rolnictwa” – czytamy w opracowaniu OSW.

Powiedzmy jeszcze o kwestii globalnej finansjery. „Ukraińskie agroholdingi wyróżnia spory udział kapitału zagranicznego (największy z USA i Arabii Saudyjskiej) – podmioty spoza kraju arendują ok. 10 proc. ziem rolnych” – stwierdzają eksperci z OSW. Trudno więc mówić o gigantycznej dominacji funduszy inwestycyjnych w sektorze. Tu ciekawostka – przed wojną do państw najchętniej inwestujących w ukraińskie rolnictwo należała Polska.

To oczywiście nie znaczy, że agroholdingi nie są wehikulami bajecznego bogactwa i politycznych wpływów oligarchów. Bo są! Najpotężniejszym agrooligarchą w Ukrainie jest Andrij Werewski, który właścicielem Kernel Holdingu, największego agroholdingu w kraju. Areal dzierżawiony przez podmiot to 600 tys. hektarów – ponad 60 proc. powierzchni województwa opolskiego. Sam Kernel jest odpowiedzialny za 8 proc. globalnej produkcji oleju słonecznikowego. Podmiot również odpowiada za 13 proc. całości eksportu zbóż z Ukrainy.

Kolejne nazwisko na agroologarchicznej scenie to Oleh Bachmatiuk, szefujący drugiej największej firmie zajmującą się produkcją rolną – Ukrlandfarmingowi. Agroholding Bachmatiuka operuje na 500 tys. hektarów. Trzecim potentatem jest Jurij Kosiuk, szef Mironowskiego Chlebobroduktu skupiającego 370 ha ziemi w 15 ukraińskich obwodach.

W agroholdingi inwestuje też oligarchia z innych branż poszukująca nowych, w których mogą pomnażać gigantyczne fortuny. Lecz agrooligarchowie, choć mają oczywiście polityczne wpływy, nie są tak potężną grupą nacisku jak „stara” oligarchia. Stanowią największą po deweloperach grupę zawodową w ukraińskim parlamencie, lecz ich interesy nie są zbieżne, bo obstawiają różne segmenty sektora rolniczego. A analitycy OSW zauważają, że ich władzę ograniczana i to, że nie za inwestowali niegdyś we własne media, jak zrobili to potentaci z innych branż.

Agroholdingi poza oczywistą przewagą, jeśli chodzi o areal, są również o wiele bardziej produktywnie niż mniejsze przedsiębiorstwa. W 2019 r. średnie plony zbóż z hektara w gospodarstwach mniejszych niż 100 ha wynosiły 33 cetnary (jednostka odpowiadająca około 50 kg) na hektar. Te powyżej 3000 hektarów pozyskiwały z jednego ha prawie 66 cetnarów. Największe były więc dwa razy bardziej produktywnie. To zresztą tendencja obserwowana na całym świecie, nie tylko w rolnictwie. Większe firmy są bardziej wydajne, ponieważ mają lepszy dostęp do technologii, więcej środków na inwestycje i bardziej efektywny sposób zarządzania.

Pozostawmy chwilę przy produktywności. Mimo tego – a właściwie właśnie dlatego

go – że Ukraina ma tak dobre warunki do upraw, średnio pozyskuje znacznie mniej plodów z jednostki powierzchni niż mogłaby to robić. Rolnictwo wciąż boryka się z niedoinwestowaniem. Co zresztą nie powinno dziwić – farmerzy zza wschodniej granicy nie mogli liczyć na setki miliardów euro, które Unia Europejska wpompowała w polską wieś. Jednak jeśli za kilka lat Ukraina przystąpi do Unii, to ukraińskie rolnictwo będzie konkurowało z polskim i na taki rozwój wypadków również należy się przygotować.

Nasz sąsiad ma dwa atuty w ręku. Pierwszy i oczywisty to jedno z najlepszych terenów uprawnych na świecie. Drugi to większe gospodarstwa, które pozwalają na lepsze wykorzystanie zasobów. Tymczasem średnia powierzchnia polskiego gospodarstwa wynosi zaledwie nieco ponad 11 ha. Ale to też nie znaczy, że szczególnie zagrażają polskiemu chłopu akurat Ukraińcy – co prawda średni areal w Unii to 17 ha, ale we Francji to już 60 ha, a w Czechach, których przecież nikt (poza specjalistami i mediami sporadycznie opisującymi w sensacyjnym tonie powtarzające się co jakiś czas czeskie ataki na polskie wędliny) nie pokazuje palcem jako rolno-hodowlanego killera, aż 120 ha.

Zamknąć i zakazać – to rozwiązania najłatwiejsze, efektywne, łatwe do zakomunikowania i wizerunkowego ogrania. Tymczasem istnieje wiele pomysłów na modernizację i poprawę konkurencyjności polskiego rolnika, od – jak proponują autorzy raportu „Polskie rolnictwo u progu wielkiej transformacji” – powiązania dopłat z produkcją rolną, a nie z posiadaniem ziemi, co przekierowałoby strumień środków na inwestycje, przez skoordynowanie strategii rozwoju zarówno branżowych, jak i ogólnokrajowych (na razie dokumenty funkcjonują na zasadzie „każdy sobie rzepkę skrobie”), po poprawę jakości życia na wsi, promowanie jakościowych „hitów eksportowych” czy wsparcie różnych innych, nie tylko ściśle rolniczych, kompetencji osób pracujących na roli.

Ekspert z Polskiego Instytutu Ekonomicznego w raporcie „Dwie dekady rozwoju polskiego rolnictwa. Innowacyjność sektora rolnego w XXI wieku” dodają do tego większe zaangażowanie w rozwój technologii rolniczych. Dzisiaj innowacje, jak użycie dronów czy narzędzi Big Data, są motorem zmian rolnictwa w krajach najbardziej rozwiniętych.

Problemem jest też rozdrobnienie. Mamy dużo niewielkich gospodarstw, które nie są w stanie osiągnąć tzw. korzyści skali. Rozwiązaniem może być, prócz oczywiście tworzenia miejsc pracy poza rolnictwem, zachęcanie „małych” do specjalizowania się w bardziej „oryginalnych” i niszowych produktach.

Wszystkim tym propozycjom warto się przyjrzeć – i to już dziś, bo od koncepcji i badań do wprowadzenia reform czy realizacji tzw. polityk publicznych zazwyczaj mija sporo czasu – żeby za dekadę żadna z instytucji kontrolnych nie napisała, że działania polskich władz były „spóźnione, niepoparte odpowiednimi analizami i przede wszystkim nieskuteczne dla polskiego rynku rolnego”. ●



Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPE współfinansowany jest przez Unię Europejską w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji.

Wszelkie informacje i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają wyłącznie poglądy ich autorów. Parlament UE nie uczestniczył w przygotowaniu materiałów, nie odpowiada za ich treść i nie może być pociągany do odpowiedzialności za pośrednie lub bezpośrednie szkody mogące wynikać z realizacji projektu.

A co, jeśli naprawdę lubisz tę karkówkę

Suwerenna Polska walczy z zakrętką, której nie da się oderwać od butelki, bo tak chce ewolucja



Marcin Matczak

Na pewno znasz to uczucie. Żyjesz sobie – wydaje ci się – całkowicie normalnie, siedzisz z rodziną przy grillu i zjadasz się karkówką. Nagle córka kuzynki mówi, że właśnie w tej chwili przykładasz rękę (i widelec) do zagłady świata. Przecież jedzenie mięsa jest niemoralne – nie tylko dlatego, że wymaga zabicia niewinnych stworzeń, ale także dlatego, że przyczynia się do ocieplania klimatu. Jesz, a więc zwiększasz popyt. Jak zwiększasz popyt, to utrzymujesz podaż świń, krów i kurczaków, a produkcja mięsa jest nieekologiczna. I już ci się nie chce tej karkówki, bo czujesz się jak zły bohater filmu o Jamesie Bondzie, który grillując kawałek mięsa, gotował światu armagedon.

Najgorsze jest to, że ta dziewczyna ma rację, ale tobie trudno to przyjąć, bo – po pierwsze – według świętej tradycji polskiego grillowania na ruszcie musi skwierczeć mięso, nie jakaś zielenina, a – po drugie – naprawdę lubisz tę karkówkę. Więc zamiast podejść do sprawy poważnie, przewracasz oczami. „Daj spokój, Honorata, przecież świat się nie zawali, jak to zjem!”. Poza tym nie będzie ci ideologia zaglądać do talerza. Wzmacniasz zatem w sobie tożsamość mięsożernego drapieżnika, zaczynasz kwestionować globalne ocieplenie i postanawiasz, że w poniedziałek zapiszesz się do Konfederacji.

Nawet jeśli sytuacja nie eskaluje tak dramatycznie, twoja reakcja nadaje się na studium przypadku. Tak ludzie reagują na zmianę norm, za którą przemawiają względy moralne, na przykład troska o planetę i inne stworzenia. Daniel Kelly i Evan Westa, filozofowie z Uniwersytetu Purdue, w artykule „Postęp moralny jest wkurzający” twierdzą, że podobnie reagujemy na wiele innych zmian. Na przykład wtedy, gdy w opisie swojej osoby coraz więcej ludzie deklaruje, jakich zaimek osobowych używa („on, jego”). Albo wtedy, gdy kobiety czują się obrażone przepuszczaniem w drzwiach czy całowaniem w rękę. Czy wreszcie wtedy, gdy społeczność LGBTQ chce zawierać normalne małżeństwa czy przysposabiać dzieci.

Każda z tych sytuacji to zmiana norm społecznych, każda o innej wadze, ale każda powoduje u wielu ludzi reakcję podobną: emocjonalne tarcie. Coś głęboko w nich się sprzeciwia, piszą autorzy, coś trze, wywołuje silny, instynktowny opór. Są często po prostu wkurzeni. Dlaczego?

Wszystkiemu winna ewolucja. Normy społeczne otaczają nas od momentu odcięcia pępownicy, a jeśli jesteśmy tak uprzywilejowani, że rodzice zapisują nas na uniwersytet prenatalny, to nawet wcześniej. Tych norm jest tak dużo, że nie byłibyśmy w stanie przestrzegać ich w pełni świadomie: wymagałoby to za dużo myślenia. Dlatego ewolucja wyposażyla nas w zdolność automatycznego ich przestrzegania – na przykład tych, które regulują odległość od osoby, z którą rozma-

wiamy. Poruszamy się w tych normach jak ryba w wodzie, są naszą drugą naturą. Dlatego, gdy normy się zmieniają, postrzegamy to jako gwałt na naszej naturze i się buntujemy. Kelly i Westa piszą, że opieramy się wtedy na heurystyce przewracania oczami – intuicyjnej metodzie znanej nam już z sytuacji potępienia karkówki, która pozwala jakoby ocenić, że proponowana zmiana jest bez sensu. U nas ta metoda nazywałaby się heurystyką „Ło panie, kto to widział?!”.

Tak reagowaliśmy na zmianę norm zawsze, w sytuacjach bardziej i mniej poważnych. Gdy w Polsce wprowadzano wychodki (słynne sławojki), jeden z gospodarzy ubolewał: „Dzieckom w szkole przewrócili we łbie i nie chcą już chodzić za stodołę”. Gdy w USA znoszono segregację rasową, straszono, że to marksizm i że zniszczy to amerykańskie rodziny. Gdy zmienia się karna definicja gwałtu, niektórzy wieszczą, że zbliżenia intymne nie będą możliwe bez wcześniejszej zgody w formie aktu notarialnego. Podobnie reagowano, gdy w ubiegłym wieku wprowadzano normy zapobiegające molestowaniu seksualnemu w miejscu pracy („nie będzie można rozmawiać bez obecności prawnika!”).

Takie reakcje ułatwia coś, co można by nazwać przesadą normatywną. Molestowanie to sprawa poważna, ale (prawdziwa) norma, która zakazuje na firmowych wigiliach wieszania jemioli, ponieważ może to prowokować całowanie się, sama trochę prowokuje. Podobnie jak zamykanie lasów w pandemii. W każdym razie, jak piszą Kelly i Westa, gdy reagujemy na zmianę norm przewracaniem oczami, jesteśmy w podwójnym niebezpieczeństwie: osobistym i społecznym.

Najpierw osobiste: negatywną reakcję na zmianę często traktujemy jako nasz prywatny, niezawodny wykrywacz bredni (bullshit detector). Nasze emocje są szczerze – ewolucyjnie naprawdę się burzymy, gdy ktoś zmienia nam normatywne otoczenie. Dlatego mamy tendencję, żeby nowość potępiać bez poddania jej zimnej analizie. Jesteśmy wtedy jak „F.R. rolnik nadwiślański”, który w 1900 budowę kanalizacji w Warszawie uznawał za „narzędzie judaizmu i szarlaterii w celu zniszczenia rolnictwa polskiego oraz wypępienia ludności słowiańskiej nad Wisłą”. Niektórzy podobnie dzisiaj reagują na turbiny wiatrowe i 5G.

Ten wykrywacz bzdur, piszą Kelly i Westa, nas oszukuje. Po latach śmiejemy się z tych reakcji, a coś, co było „wymysłem”, staje się cywilizacyjnym standardem. Gdy alergicznie reagujemy na zmianę norm, pojawia się też ryzyko społeczne – zwiększają się podziały, zaostrza się walka o tożsamość. Z emocjonalnego tarcia biorą się tematy na prawicowe sztandary: i ochrona dzieci przed edukacją seksualną jako narzędziem demoralizacji, i odważna walka posłów Suwerennej Polski z wrogią naszej słowiańskiej duszy plastikową zakrętką, której nie da się oderwać od butelki.

Stąd ważne jest, aby ci, którzy rzeczywiście chcą moralnego postępu, brali pod uwagę problem heurystyki przewracania oczami i włączającego się ludziom wykrywacza bredni. Tak jak pionierzy podboju kosmosu muszą brać pod uwagę tarcie w sensie fizycznym, tak pionierzy zmian społecznych nie mogą lekceważyć tarcia emocjonalnego.

W obu przypadkach marzenie o postępie może spłonąć: albo w atmosferze ziemskiej, albo w atmosferze wzajemnej walki o tożsamość. Nie warto więc oporu przed zmianą wyśmiewać. Aby czynić świat lepszym moralnie, trzeba ten opór zrozumieć. ●

MINISTER WCHODZI W BUTY PO PiS

Pileckiego i Kolbego nie przywrócimy. To będzie znów muzeum stworzone przez historyków, a nie polityków.

Z **PROF. PAWŁEM MACHCEWICZEM**,
WSPÓŁTWÓRCĄ MIIWŚ, ROZMAWIA
MIROŚLAW MACIOROWSKI

MIROŚLAW MACIOROWSKI: Wicepremier Kosiniak-Kamysz zażądał na platformie X, żeby dyrekcja Muzeum II Wojny Światowej natychmiast przywróciła na wystawie głównej usunięte „fragmenty ekspozycji dotyczące rotmistrza Pileckiego, ojca Kolbe oraz rodziny Ulmów”. Przywróćcie?

PROF. PAWEŁ MACHCEWICZ: Oczywiście, że nie, ponieważ to, co się teraz dzieje w MIIWŚ, jest po prostu przywracaniem pierwotnego, oryginalnego kształtu wystawy. A ten kształt został przygotowany przez historyków niezależnie od jakichkolwiek nacisków. Z żadnymi politykami jej nie konsultowaliśmy, a w pracach brali udział nie tylko badacze zatrudnieni w muzeum, lecz także najwybitniejsi znawcy II wojny z Polski i zagranicy, jak choćby Timothy Snyder.

Natomiast wszystkie zmiany wprowadzone po usunięciu nas w 2017 r. z MIIWŚ, były podyktowane przez polityków Zjednoczonej Prawicy i służyły ich polityce. Przecież niektóre były wprost ogłaszane przez Jarosława Kaczyńskiego i ministra kultury Piotra Glińskiego. W muzeum przywracana jest po prostu normalność, odtąd to znów będzie wystawa stworzona przez historyków, a nie polityków.

Choć trąci to trochę martyrologiczną licytacją, to jednak pojawią się głosy, że Pilecki, Kolbe i Ulmowie powinni się znaleźć na wystawie stałej.

– Już to wielokrotnie tłumaczyliśmy. Rotmistrz Pilecki na wystawie był, jest i zostanie. Pojawia się w części sali poświęconej obozom koncentracyjnym, w której zaprezentowana jest opowieść o ruchu oporu w Auschwitz. Tymczasem dodano tam na ścianie wielkoformatową fotografię rotmistrza w garniturze, pochodzącą z zupełnie innej epoki. Cywilny Pilecki, jeszcze przed uwięzieniem, jest tu niepotrzebny, rozbija narrację artystyczną zastosowaną, by opowiedzieć właśnie o obozach koncentracyjnych.

Trzeba pamiętać, że wystawa narracyjna to nie jest gazetka ścienna, gdzie można umieszczać dowolne treści, byle były słuszne. To zarazem dzieło sztuki i twór intelektualny, ekspozycja w każdym szczególe przemyślana i nie można dodawać do niej tego, co jakiś polityk, który akurat jest przy władzy, uważa za właściwe i potrzebne mu do osiągnięcia zaplanowanych celów.

A ojciec Kolbe?

– Kolbego rzeczywiście nie było w oryginalnej wystawie, ale jej ważnymi elementami były przykłady wielu innych księży – ofiar terroru niemieckiego. Naszym zamierzeniem nie było stworzenie encyklopedii II wojny światowej. Nie ma niej wielu innych ludzi, którzy mogą być uznawani za istot-



• **Wrzesień 2019, odsłonięcie pomnika rotmistrza Pileckiego w Muzeum II Wojny Światowej** FOT. MICHAŁ RYNIAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

nym. Są za to inne, mniej znane, jak Helena Plotnicka, która została aresztowana za pomoc uwięzionym w Auschwitz i zginęła w obozie. Osierociła ośmioro dzieci. Czy jej ofiara jest mniej ważna?

Przy budowaniu opowieści o obozach koncentracyjnych przyjęliśmy podejście antropologiczne. Chodziło nam o pokazanie różnych wymiarów życia więźniów: terror strażników, wyniszczająca praca, sposoby na przetrwanie, a także opór, który był zobrazowany m.in. przykładem rotmistrza Pileckiego. Natomiast nie wyróżnialiśmy poszczególnych więźniów i kategorii więźniów. Nie opisywaliśmy osobno politycznych, homoseksualistów, świadków Jehowy, duchownych czy kryminalistów. Przekazaliśmy pewne uniwersum charakterystyczne dla obozów koncentracyjnych, opowieść przez pryzmat życia więźniów.

Dodanie ojca Kolbego, jakieś wyróżnienie go, uważamy za element konfesjonalizacji wystawy. Duża część zmian, które wprowadzono po usunięciu z muzeum jego twórców, polegała właśnie na dodawaniu na siłę wątków religijnych.

Maksymilian Kolbe to jednak nie tyle wątek religijny, co jednak znana postać?

– Tak, ale sam sposób w jaki został zaprezentowany budzi sprzeciw. Jak wiadomo, był w latach 20. i 30. gorliwym antysemitą. Jako wydawca katolickich pism o ogromnym nakładzie, takich jak „Rycerz Niepokalanej” czy „Mały Dziennik”, publikował i sam pisał niezwykle jadowite, antysemic-

kie teksty. Tymczasem na wystawie to pominięto, a niewygodny temat załatwiono poprzez kuriozalny eufemizm, że ojciec Kolbe „ewangelizował Żydów”.

Naprawdę!?

– Tak. Przecież samo zastosowanie takiego terminu do tego, co robił ojciec Kolbe jest oburzające.

Rodziny Ulmów, zamordowanej za ukrywanie Żydów, też nie było na pierwotnej wystawie.

– Ale znalazło się wiele innych przykładów polskiej pomocy dla Żydów. Pokazaliśmy także przykłady denuncjowania i zabijania Żydów przez Polaków. Stworzyliśmy absolutnie wyważony i odpowiadający faktom obraz stosunków polsko-żydowskich oraz postaw Polaków w czasie okupacji wobec Żydów i Zagłady.

Dodanie rodziny Ulmów do tej opowieści w formie, w jakiej zrobiła to dyrekcja mianowana przez polityków PiS, fałszuje rzeczywistość. Dodano bowiem całkiem nową instalację, którą ustawiono w miejscu do tego nieprzeznaczonym. Stała w sali, która opowiada o apogeum Zagłady, o Auschwitz, a więc kompletnie burzy narrację. To karygodne z punktu widzenia wystawienniczego. A sam sposób prezentowania rodziny Ulmów również fałszuje rzeczywistość historyczną.

W jaki sposób?

– Ponieważ jednoznacznie sugeruje, że postawa Ulmów była udziałem większości polskiego społeczeństwa. Sam tytuł tej instalacji „Polacy wobec Zagłady” ma przekazać, że ogromna większość Polaków pomagała Żydom i była gotowa do ogromnych poświęceń, łącznie z ofiarą życia. A jak dowiodły badania, ci, którzy pomagali, stanowili garstkę. Byli to niezwykle odważni ludzie, których trzeba uhonorować – zresztą mają miejsce na naszej wystawie – ale przekaz, który próbowano zaprezentować, umieszczając tam Ulmów, po prostu nie jest prawdziwy.

Falsz zawierały już same opisy w instalacji. Podano na przykład informację, że tylko w okupowanej Polsce groziła kara śmierci za pomoc Żydom. Tymczasem każdy szanujący się historyk wie, że Niemcy stosowali karę śmierci wobec pomagających Żydom także w Jugosławii

i na okupowanych terenach Związku Radzieckiego.

Pojawiła się też informacja, że Polacy mogli uratować nawet ponad 100 tysięcy Żydów. Taką liczbę po raz pierwszy wprowadziła moczarsowska propaganda, lansowała ją zwłaszcza w latach 1967-68, gdy rozpętano w Polsce antysemicka nagonkę. Tymczasem historycy szacują i są co do tego raczej zgodni, że na ziemiach polskich okupację przeżyło nie więcej niż 30 tysięcy Żydów, w tym duża część w obozach koncentracyjnych i obozach pracy. Postanowiliśmy przywrócić wystawie pierwotną formę, usunąć z niej kłamstwa, bo nie można fałszować historii w imię jakiegokolwiek celu.

Protest ministra Kosiniaka-Kamysza pana zaskoczył?

– Bardzo. Tym bardziej, że nie pamiętam, by lider PSL-u krytykował w 2017 r. decyzję polityków PiS, którzy usunęli nas z MIIWŚ. Nie przypominam też sobie, by protestował, kiedy PiS-owscy nominaci dokonywali zmian w wystawie w duchu partyjnej polityki historycznej. Nie wypowiadał się też w obronie autonomii kultury czy nauki.

Ze zdumieniem przyjmuję to, że minister wpisuje się w schemat działań poprzedniej władzy, który polegał na wywieraniu nacisków na historyków i muzealników. Takie działanie nie mieści się w logice demokratycznego państwa. To niegdyś pod rządami komunistów pierwsi sekretarze albo ludzie z wydziału kultury KC PZPR wskazywali, co ma się znaleźć w konkretnych filmach, książkach czy wystawach. Także państwo PiS – przypomnę – ograniczało swobodę twórczości, a także autonomię kultury.

Domyślam się, że pan minister wchodzi w buty PiS po to, by rywalizować z tą partią o konserwatywny elektorat. Uważam, że to nie będzie skuteczne. A wręcz przeciwnie – za odejście od fundamentalnych wartości demokratycznych, które polegają m.in. na poszanowaniu autonomii kultury i nauki, PSL może drogo zapłacić. Przecież właśnie hołdowanie tym wartościom miało wpływ na zdobycie poparcia większości społeczeństwa przez partie demokratyczne, które 15 października odsunęły od władzy PiS.

Wpis ministra uważam za wydarzenie smutne i kompromitujące. Gdy go czytałem, zacząłem się nawet zastanawiać w czym lepszy jest Kosiniak-Kamysz od Piotra Glińskiego. Mam nadzieję, że to tylko zwykły błąd i pan minister zdobędzie się na refleksję. ●



FOT. RENATA DĄBROWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Prof. Paweł Machcewicz

• współtwórca i pierwszy dyrektor Muzeum II Wojny Światowej, uznawanego za jedno z najciekawszych muzeów historycznych w Europie. Usunięty stamtąd przez rząd PiS, obecnie rekomendowany przez ministra kultury i dziedzictwa narodowego do rady muzeum.

Wystawa narracyjna to nie jest gazetka ścienna, gdzie można umieszczać dowolne treści, byle były słuszne. Nie można dodawać do niej tego, co jakiś polityk, który akurat jest przy władzy, uważa za właściwe i potrzebne mu do osiągnięcia zaplanowanych celów

Często wysyła
swoje zdjęcia.
Claude na siłowni.
Claude gotuje.
Claude szykuje się
do snu. Claude
nie wspomina,
że też chce mnie
oszukać na krypto.



JAK MNIE *Kochasz,* PRZELEJ WSZYSTKO

Joanna Sosnowska

Przez trzy tygodnie romansowałam z oszustem. On próbował oszukać mnie na kryptowaluty. Ja jego – że ślepo podążam za instrukcjami. Jednak oszust był oszukany dwukrotnie: prawdopodobnie jest niewolnikiem przetrzymywanym przez chińską mafię gdzieś w Azji Południowo-Wschodniej.

Romans

Zaczyna się banalnie – od utworzenia pary na Tinderze. Tak Aneta poznała Franka, Niemca z Bawarii. Gdy nawiązali nic porozumienia, przynieśli rozmowę na WhatsAppa. – Na początku wydawał się idealny. Czytał te same książki co ja. Mieliśmy podobne pasje: sport i podróże. Potrafił o nich pięknie opowiadać. A do tego poświęcał mi dużo czasu – opowiada Aneta.

Frank był bardzo przystojny, nie rzucał seksualnych aluzji, co jakiś czas wysyłał swoje zdjęcia bez prośbienia o fotki w zamian. Ich znajomość rozwija się całe trzy dni.

Zgrzyt pojawił się, gdy Frank znieacka zapytał, czy chce handlować z nim opcjami na bitcoiny. – Faktycznie, rzucał wcześniej sugestie, że handluje kryptowalutami i że nawet osiąga w tym niezłe zyski, ale nigdy nie spotkałam się z tym, żeby zamiast na kawę czy spacer, facet z Tindera zapraszał na wspólne handlowanie krypto – dziwiła się.

Zamiast się zgodzić, dzwoni do mnie. Po szybkim streszczeniu historii staje się oczywiste, że Aneta ma paść ofiarą oszustwa „na krypto”.

Postanawiam sprawdzić, jak duży zasięg mają takie oszustwa, i odkurzam moje konto na Tinderze. Już po 24 godzinach rozmawiam z Claude’em – Francuzem, który rozkręca w Polsce handel owocami morza.

Historia brzmi znajomo? Spotkaliście takiego Claude’a albo Anne, którzy w romantycznych okolicznościach namawiali was na kupno kryptowalut – opowiedzcie nam o tym, pisząc na listy@wyborcza.pl.

Claude

Zaczyna się tak samo jak w przypadku Anety. Bardzo przystojny mężczyzna, obcokrajowiec, od razu zaznacza, że szuka

związku, a nie przelotnych znajomości. Od razu proponuje przejście na WhatsAppa. A tam rozmowa kręci się, aż miło. Mamy bardzo dużo wspólnych tematów: od podróży, przez sport, po francuskie wino. Claude ani razu nie przekracza granicy flirtu.

Już pierwszego dnia delikatnie przemycia informację, że „lubi też czytać informacje finansowe, sprawdza trendy w krypto i handluje kryptowalutami, żeby podreperować budżet”.

Szybko zaczyna się o mnie troszczyć. Martwi się, że za dużo pracuję. Wiadomości od niego widzę jako ostatnie przed snem i pierwsze po przebudzeniu.

Często wysyła swoje zdjęcia. Claude na siłowni. Claude gotuje. Claude szykuje się do snu.

Claude nie wspomina, że też chce mnie oszukać na krypto.

Pig butchering

To oszustwo to pig butchering, czyli „zarzynanie świń”. Ta urocza nazwa opisuje technikę inżynierii społecznej, w której ofiara najpierw jest osławiana, potem tuczona (komplementami, poświęcaną uwagą, flirtem i miłymi słowami), a w końcu zarzynana, czyli wyludzane są od niej

pieniądze, najczęściej w formie kryptowalut.

To obecnie drugie pod względem częstości występowania oszustwo w internecie.

Może się zaczynać od SMS-a wyglądającego na pomyłkę, od znajomości na Tinderze lub wiadomości na LinkedInie.

Według Internet Crime Complaint Center, cyberjednostki amerykańskiego FBI, tego typu oszustwa zyskują na popularności od 2022 r., zarówno pod względem liczby ofiar, jak i wykradzonych kwot. W samych Stanach Zjednoczonych dwa lata temu wyludzono w ten sposób ponad 2,5 mld dol. Tegoroczne badanie Johna Griffina z University of Texas każe jednak sądzić, że łączne straty na całym świecie z ostatnich czterech lat mogą wynosić nawet 75 mld dol.

Jak jest w Polsce? – Trudno oszacować skalę takich oszustw, ponieważ postępowania o te czyny mogą prowadzić wszystkie jednostki policji w całym kraju, a nie tylko Centralne Biuro Zwalczania Cyberprzestępczości (CBZC) – tłumaczy Wyborcza.biz podkomisarz Marcin Zagórski z zespołu prasowego tej jednostki.

Niech więc o potencjalnej skali oszustwa świadczy to, że na samym Tinderze

poznałam trzech oszustów w ciągu zaledwie trzech dni.

Słyszałaś kiedyś o kryptowalutach?

„Zaczynam sprawdzać trendy w kryptowalutach, przygotowuję się do następnej transakcji. Słyszałaś o kryptowalutach?” – pyta subtelnie Claude. A chwilę później triumfalnie przesyła zrzut ekranu z transakcji i z radością oznajmia, że udało mu się zyskać 4320 USDT (kryptowaluta Tether, czyli token Ethereum powiązany z wartością dolara amerykańskiego). To równo-wartość ok. 18 tys. zł.

Na nic nie naciska, spokojnie buduje swój obraz jako eksperta od krypto, który ma niezawodny system („Przeprowadzam transakcje tylko, gdy mam 100 proc. pewności”, „Jest tylko 0,1 proc. szans, że stracę pieniądze”).

Czasem w narracji pojawia się autorytet zewnętrzny – Frank, z którym rozmawiała Aneta, przekonywał, że informacje o tym, kiedy inwestować, ma od „wujka, który pracuje w USA”. Po dopytywaniach zdradził, że jest zatrudniony w banku inwestycyjnym Goldman Sachs.

Następnego dnia Claude mówi, że zyskuje 6150 euro. Obiecuje, że w podzięcie kupi mi buty, bo przynoszę mu szczęście. Wysła nawet zdjęcia z galerii handlowej, konsultując, które bardziej mi się spodoba ją. Nie wychodzę z roli, ale czekam, kiedy w końcu rozpocznie się prawdziwe oszustwo.

Kto daje się naciągnąć na pig butchering?

Miłość nie wybiera, ale przestępcy – owszem. Ofiary są z najróżniejszych klas społecznych, w różnym wieku, ale wszystkie mają jedną cechę wspólną: mogą być majątne.

niądze w wyniku fałszywych romansów – tłumaczy nam Tim West, szef działu Threat Intelligence w firmie WithSecure.

– Oszustwa typu pig butchering są tak skuteczne, bo ludzie są bardzo podatni na efekt utopionych kosztów i błąd odwołania się do nadziei, w którym liczymy na to, że coś się wydarzy lub poprawi, a nie bazujemy na logicznym rozumowaniu.

Przelej wszystko

Claude się nie spieszy. W końcu któregoś ranka proponuje wymianę: ja nauczę go polskiego, a on mnie inwestowania w kryptowaluty. Wchodzę w to.

Kilka dni później pyta, czy dalej chcę się uczyć. Entuzjastycznie potwierdzam. W końcu się przekonam, jak działa ekspert od wyłudzenia pieniędzy.

Najpierw mam zainstalować aplikację Binance. Robię to spokojnie, bo wiem, że to jedna z największych giełd kryptowalut na świecie. Choć oczywiście bywała na bakier z prawem – w listopadzie 2023 r. władze Binance przyznały się do prania pieniędzy, unikania sankcji, a prezes giełdy Changpeng Zhao w kwietniu tego roku został w USA skazany na cztery miesiące więzienia. Takie rzeczy w świecie krypto to pestka.

Binance wymaga wielokrotnego potwierdzenia tożsamości – trzeba przesłać zdjęcia dowodu osobistego, a także dokument potwierdzający miejsce zamieszkania, np. rachunek za wodę. Każda z tych czynności trwa, bo algorytmy muszą przetworzyć informację i przyznać (lub odmówić mi) uprawnienia do handlowania krypto. W końcu się udaje – zdobywam wszystkie potwierdzenia.

Kolejny krok to zasilenie konta na Binance – mam wpłacić euro, a potem wymienić je na Tether. Dopytuję, ile powinienam zainwestować.

Kara

– Pig butchering to połączenie romansu i oszustwa – i jako to ostatnie należy je kwalifikować z prawnego punktu widzenia – tłumaczy doktorka Paula Skrzypecka, prawniczka, specjalistka od prawa nowych technologii w kancelarii Creativa Legal.

Co jest oszustwem w świetle prawa? To doprowadzenie jakiegokolwiek innej osoby do niekorzystnego rozporządzenia własnym lub cudzym mieniem za pomocą wprowadzenia jej w błąd albo wyzyskania błędu lub niezdolności do należytego pojmowania podejmowanego działania w celu uzyskania korzyści majątkowej. Tyle prawnicze paragrafy.

Jak tłumaczy drka Skrzypecka, w przypadku pig butcheringu najczęściej mamy do czynienia z wprowadzeniem w błąd lub wykorzystaniem emocjonalnego przywiązania, tworząc np. iluzję początkowo uzyskiwanych zysków z inwestycji. – Oszustwo to podlega karze pozbawienia wolności maksymalnie do 8 lat – mówi.

Jeśli przestępcy dodatkowo posługują się fałszywymi stronami lub aplikacjami, to to także może podlegać karze. – Tego rodzaju działalność mogłaby zostać zakwalifikowana także jako oszustwo komputerowe, zagrożone karą więzienia do 5 lat – dodaje drka Skrzypecka.

Analiza przepływów pieniędzy, które oszuści wyprowadzają od swoich ofiar, prowadzi w zupełnie nowy, ciemny obszar tej historii.

Follow the money

Oszustwa związane z kryptowalutami mają to do siebie, że w miarę łatwo można prześledzić, gdzie trafiają pieniądze. Na koncie Claude’a jest ponad 60 tys. dol. Dokonano na nie 27 wpłat. Ten konkretny portfel został założony 17 czerwca, co oznacza, że średnio każdego dnia wpływa na nie 10 tys. dol.

śnik do Yu’e Bao. To fundusz rynku pieniężnego powiązany z Alibabą, chińskim gigantem handlu w internecie. Zapewne miał udawać bezpieczne miejsce przechowywania „moich” środków.

– Widzimy, że wypłaty kryptowalut w formie waluty lokalnej odbywają się za pomocą kont (mułów pieniężnych) zlokalizowanych w różnych krajach Azji Południowo-Wschodniej. Większość przypadków ma związek z pig butcheringiem – potwierdza w rozmowie z Wyborczą. biz Raymond Hantho, prezes Chainbriuma.

Pandemia

Sihanoukville w Kambodży to siódme co do wielkości miasto w kraju. Nazwane na cześć króla Norodoma Sihanouka, na początku XXI wieku stało się rozrywkowo-hazardową stolicą państwa. Od 2017 r. dynamicznie się rozwijało dzięki chińskim inwestorom, którzy na potęgę budowali tam kasyna.

Hazard jest w Chinach zabroniony – można go uprawiać wyłącznie w Makau, ale z Chin do Kambodży jest blisko, są dobre połączenia lotnicze, a na miejscu jest tanio. Chińskie inwestycje napędzają zatem rozbudowę rozrywkowej infrastruktury.

W 2019 r. w Sihanoukville aż 90 proc. firm należało do Chińczyków. A co za tym idzie, Chińczyków było tam więcej niż obywateli Kambodży, zauważa Zeke Faux, autor książki „Numbers go up”.

„Istniały 93 licencjonowane kasyna i setki nielegalnych, które generowały aż 5 mld dol. przychodów rocznie. Na piętrach gier oraz w biurach ukrytych na piętrze kobiety w sukniach balowych i tiarach transmitowały na żywo gry takie jak bakarat graczom w Chinach. Limuzyny Rolls-Royce’a i Hongqi [chińska marka aut ultrapremium] zaparkowane przed ładniejszymi kasynami” – wylicza.

Biznes pięknie się kręci, ale na przełomie 2019 i 2020 r. dzieją się dwie rzeczy. Pierwsza: Hun Sen, premier Kambodży, pod koniec 2019 r. delegalizuje hazard online. Oznacza to, że Chińczycy, którzy do tej pory grali przez internet w kambodżańskich kasynach, tracą ulubione miejsce rozrywki, a wraz z nimi odpływają miliony juanów. Zaraz później wybuchą pandemia COVID-19, która zatrzymuje cały świat.

Gospodarka Sihanoukville wciska hamulec. Około połowy kasyn zamyka podwoje, a budowa pozostałych zamiera. Ponad 1100 budynków stoi niedokończonych. Około 200 tys. chińskich pracowników wraca do Chin.

Przykrywka

To, co z zewnątrz wygląda wyłącznie na legalny biznes rozrywkowy, ma też drugą stronę. Biuro Narodów Zjednoczonych ds. Narkotyków i Przestępczości alarmuje, że rosnąca liczba zakładów hazardowych w Azji Południowo-Wschodniej stała się kluczowym filarem rozległego podziemnego systemu bankowego obsługującego zorganizowane grupy przestępcze.

„Według ONZ w całej Azji Południowo-Wschodniej istnieje obecnie ponad 340 kasyn fizycznych (a także niezliczona liczba kasyn online), a wiele z nich wykazuje rosnący poziom infiltracji przestępczości zorganizowanej” – pisze w 2023 r. Cezary Podkul, dziennikarz ProPublica, wcześniej pracował m.in. w „Wall Street Journal” i Reutersie. Podkul od kilku lat śledzi przepływy pieniędzy i ludzi związane z cyberprzestępcstwami w tym regionie świata.

– Kasyna funkcjonują jako system równoległej bankowości, który umożliwia szybkie i płynne przesyłanie pieniędzy z jurysdykcji do jurysdykcji, prawie bez ograniczeń – mówił serwisowi ProPublica Jeremy Douglas, najwyższy urzędnik Biura Narodów Zjednoczonych ds. Narkotyków i Przestępczości w Azji Południowo-Wschodniej.

„Zarzynanie świń” to internetowe oszustwo.

Ofiara jest tuczona (komplementami), a potem zarzynana, czyli wyłudzane są od niej pieniądze, najczęściej w formie kryptowalut

Największy znany zysk udało im się osiągnąć w 2023 r., kiedy Shan Hanes, 52-letni prezes banku Heartland Tri-State, przelał 47,1 mln dol. z kont klientów na giełdę kryptowalutową. W efekcie bank znalazł się na skraju bankructwa, dopiero interwencja państwa zdołała go uratować.

Na pig butchering dali się też oszukać chory na raka prawnik z Bostonu (stracił 2,5 mln dol.), rozwiedziona matka trójki dzieci z St. Louis (5 mln dol.), 24-letnia mieszkanka Tennessee, która sprzedała dom z dziecinstwa (straciła 300 tys. dol.) i wiele innych osób – wylicza Zeke Faux, reporter śledczy serwisu Bloomberg w książce poświęconej kryptowalutom „Numbers go up”.

Z kolei z raportu o pig butcheringu firmy zajmującej się cyberbezpieczeństwem TrendMicro wynika, że celem tych oszustw są „grupy o bardziej stabilnej sytuacji finansowej, w tym specjaliści o wysokich zarobkach i osoby zbliżające się do emerytury”.

Jednak większość ofiar nie zgłasza swoich strat ani na policję, ani żadnym innym organom ścigania.

– W mediach często słyszymy, że ofiary padają kobiety w średnim wieku, jednak mężczyźni prawdopodobnie również często, jeśli nie częściej, tracą swoje pie-

– Ja przeważnie inwestuję 10 tys. euro, ale jak za pierwszym razem wrzucisz 200-500 euro, to też będzie OK – zapewnia Claude.

Posłusznie wykonuję instrukcje. Claude przy każdym kroku prosi o zrzuty ekranu. Na razie idzie dobrze.

– Teraz musisz zarejestrować i zweryfikować konto w Bitrue. To na tej platformie handluję. Proszę, tu jest link.

Bitrue to kolejna giełda krypto. Krążą o niej różne opinie, m.in. że w razie wystąpienia problemów można mieć trudności z wypłaceniem środków. Rok temu w kwietniu padła ofiarą włamania, wyparowało z niej 23 mln dol. Ale link, który podsyła mi Claude, wygląda podejrzanie. Logotyp się zgadza, cała reszta – nie.

Domena została zarejestrowana całkiem niedawno, bo w lutym 2023 r., ma niski wynik zaufania (trustscore), na stronie widzę literówki. Muszę być ostrożna.

– Kliknij na „wpląć” – poleca Claude. Tam wyświetla się wielki kod QR i adres portfela kryptowalutowego. To na ten adres mam przelać środki z Binance. Instruuje mnie krok po kroku, jak wypełnić formularz wyprowadzenia USDT z Binance na fałszywy Bitrue. – Kliknij „przelej wszystko” – poleca Claude.

Gdy fizyczne kasyna z powodu pandemii nie mogą już działać, zorganizowane grupy przestępcze mają nowy pomysł. Kasyna w Kambodży, Mjanmie, Laosie stają się centrami masowych cyberoperacji wyłudzenia pieniędzy.

Sam pig butchering zaczął się przed pandemią w Chinach w prowincji Fujian. To zjawisko było tak popularne, że w 2019 r. zwrot „Sha Zhu Pan”, czyli pig butchering po chińsku, trafia do zestawienia najpopularniejszych fraz roku. Z Chin pig butchering szybko rozprzestrzeni się dalej, na całą Azję Południowo-Wschodnią.

Kim naprawdę jest Claude?

Z danych Organizacji Narodów Zjednoczonych wynika, że w obozach pracy Azji Południowo-Wschodniej do prowadzenia oszustw romantycznych zmuszanych jest ponad 200 tys. osób. Biuro Wysokiego Komisarza ds. Praw Człowieka ONZ szacuje, że ok. 120 tys. z nich znajduje się w Mjanmie, a ok. 100 tys. w Kambodży.

Jak czytamy w raporcie ONZ: „Osoby zmuszane do wzięcia udziału w oszustwach internetowych to najczęściej ofiary handlu ludźmi i migranci znajdujący się w trudnej sytuacji, narażeni na szereg zagrożeń, naruszeń i nadużyć w zakresie praw człowieka”.

Zdjęcia Claude’a są prawdziwe – należą do hiszpańskiego modela, który mieszka w Maladze. Jego zdjęcia były już wielokrotnie kradzione i publikowane na stronach i aplikacjach randkowych – większość znajduje na stronach rosyjskich, niektóre na stronach alarmujących o oszustwach. On sam informuje o niektórych z oszustw na swoim profilu na Instagramie.

A czy osoba, z którą korespondowałam przez ostatnie tygodnie, także jest jednym z tych 200 tys. niewolników? Nie mam stu-procentowej pewności, ale Cezary Podkul z ProPubliki zapewnia, że to bardzo możliwe.

– Jest duża szansa, że niewolnikiem jest ta osoba, która inicjowała kontakt. Ta, z którą rozmawiała pani na samym początku o zainteresowaniach, planach – tłumaczy „Wyborczej” Podkul. – Na decydującym etapie rozmowy, kiedy trzeba już użyć manipulacji, żeby wkręcić panią w wyłudzenie pieniędzy, prawie na pewno rozmawia pani z kimś wyżej w hierarchii, prawdopodobnie z Chińczykiem. Na 100 proc. rozmawia pani z wieloma osobami pod postacią Claude’a – dodaje.

Ma to sens. Claude, choć wieczorem jest w stanie rozmawiać o giełdzie, odsetkach i prowadzeniu biznesu, to w okolicach południa magicznie traci zdolność posługiwania się gramatyką angielską.

Złoty trójkąt

Jak Claude mógł trafić do obozu cyberoszustów? Zaczyna się od ogłoszenia o pracę – poszukiwany jest kucharz, elektryk, kierowca. Takie ogłoszenia trafiają do mieszkańców Tajlandii, Malesji, Kambodży, Laosu i innych państw Azji Południowo-Wschodniej. Za każdym razem zarobki są bardzo zachęcające, nowy pracodawca oferuje też przelot i zakwaterowanie w nowym miejscu.

Skuszeni obietnicą lepszego życia wsiadają do samolotu, są przewożeni do nowego miejsca pracy, są czym tak jak w tradycyjnym handlu ludźmi zabierane są im dokumenty tożsamości, a oni sami zmuszani są do pracy w niewolniczych warunkach.

Takie centra cyberprzestępczości zorganizowanej rozsiane są w całej Azji Południowo-Wschodniej, ale największe ich stężenie występuje w Kambodży, Mjanmie i Laosie.

Są to biurowce lub całe kompleksy biurowo-mieszkalne, w których ludzie na każdym piętrze zmuszani są do romansowania z Europejczykami lub Amerykanami pod groźbą kary.

Ludzie ci mogą mieć do wyrobienia dzienną kwotę wyłudzenia – w doniesieniach uciekinierów powtarza się 300 dol. Jeśli to prawda, to ten jeden ośrodek w Si-



• Z lewej zdjęcie, którym posługuje się oszust. Obok zdjęcie modela z Hiszpanii skradzione z jego konta w serwisie społecznościowym FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

hanoukville może rocznie generować co najmniej 600 mln nielegalnie zdobytego przychodu.

Korupcja

Skoro zjawisko współczesnego niewolnictwa w Azji Południowo-Wschodniej jest tak dobrze przebadane, znane są nawet lokalizacje konkretnych obozów pracy, to dlaczego mogą wciąż działać bez większych zakłóceń? Powód często jest prozaiczny: korupcja.

– ONZ szacuje, że w samej Kambodży te biznesy oparte na oszukiwaniu ludzi przynoszą ok. 7,5 mld dol. rocznie – mówi Cezary Podkul. – A PKB Kambodży w 2022 r. wynosiło 29,5 mld dol. To wielka suma jak na taki kraj.

nomicznych zysków, które tylko czekają na giełdach krypto.

Sztuczna inteligencja

Eksperci od cyberbezpieczeństwa od dawna obawiają się, że rozwój AI sprawi, że jeszcze łatwiej będzie można oszukiwać ludzi.

– Ataki phishingowe, social engineering, oszustwa oparte na romansie – to będą ataki przeprowadzane przez komputer, nie przez człowieka – prognozował rok temu fiński ekspert cyberbezpieczeństwa Mikko Hypponen w rozmowie ze mną. – A przede wszystkim – i to martwi mnie najbardziej – zorganizowane gangi przestępcze zaczną wykorzystywać automatyzację w swoich atakach.

Chińskie grupy cyberprzestępcze zmuszają setki tysięcy porwanych ludzi do niewolniczej pracy polegającej na romansowaniu z ludźmi z Zachodu

Inna sytuacja jest w Mjanmie – tam toczy się wojna domowa, więc grupy przestępczości zorganizowanej nie przyciągają aż tyle uwagi. – Mało tego, w niektórych częściach kraju bojówki milicyjne same zapraszają Chińczyków do siebie i zapewniają im ochronę – dodaje Podkul. – Tam po prostu nie ma nikogo, kto mógłby lub chciałby zamknąć te obozy.

Podręcznik

Żeby ułatwić swoim „pracownikom” dotarcie do serc i portfeli ofiar, gangi przestępców tworzą nawet specjalne podręczniki. Trochę jak zestaw instrukcji dla pracownika help desku, tylko w tym wypadku celem jest nie naprawa komputera lub poczty, lecz wykradzenie pieniędzy.

Zestaw instrukcji obejmuje: stwórz atrakcyjną osobę; do wyboru są specjalnie kupione na chińskich stronach lub skradzione prawdziwym ludziom zestawy zdjęć kobiet i mężczyzn; nawiązuj kontakt na platformach typu Tinder albo pisz do ludzi na losowe numery na WhatsAppie; gdy nawiążesz kontakt, pierwszego dnia rozmawiaj o zainteresowaniach, hobby, tym, co was łączy; drugiego dnia podziel się prywatną historią, to może być historia związku; trzeciego dnia zacznij wprowadzać temat inwestowania w kryptowaluty; można np. zadać pytanie: „Czy kiedyś umknęła ci jakaś okazja?”, i wtedy nawiązać do astro-

Dziś do przeprowadzenia oszustwa zarzynania świń potrzebna jest armia ludzi, która zapewne nie ma stu-procentowej skuteczności. Ale co, gdyby ofiary mogły rozmawiać nie z ludźmi, lecz z algorytmami? W końcu rozwój generatywnej AI jest już na tyle zaawansowany, że może ona flirtować – także głosowo.

Hypponen zwracał uwagę OpenAI, firmie, która stworzyła ChatGPT, że ich czatbot może za chwilę być wykorzystywany w oszustwach romantycznych.

– Zapytałem ich, czemu nie usuną z ChatuGPT możliwości romansowania. I wiecie, co odpowiedzieli? Że nie mogą, bo ich klienci tworzą aplikacje „cyfrowych partnerów” wykorzystujących właśnie te możliwości – opowiadał dziennikarzom podczas konferencji Sphere 2024 w maju.

Czy to oznacza, że farmy niewolników w Azji Południowo-Wschodniej znikną tak szybko, jak się pojawiły? Niekoniecznie. Cezary Podkul jest przekonany, że narzędzia AI już wchodzą do repertuaru oszustów.

– Wiem, że korzystają z automatycznego tłumacza. Może zaczną korzystać z rozwiązań, które zmienia głos męczyzny na kobiecy, żeby móc rozmawiać z ofiarami przez telefon, ale nie spodziewam się, żeby AI całkiem ich zastąpiła – mówi.

Odpowiedzialność platform

Żadna część tego oszustwa nie mogłaby się odbyć, gdyby nie zaniechania plat-

form internetowych. W tym Tindera, na którym łowione są ofiary. WhatsAppa, na którym są one tuczone. Tethera, czyli kryptowaluty, w której najczęściej odbywają się oszustwa.

– Tether pomaga organom ścigania na zasadzie wolontariatu. To oni decydują, czy chcą pomagać, czy nie. Zwykle oferują ofierze odszkodowanie (tylko w przypadku obywateli spoza USA) na warunkach komercyjnych – mówi Raymond Hantho z Chainbriuma.

Bardziej krytyczny jest Zeke Faux, który pisze: „W niektórych przypadkach, np. włamań, Tether zamrażał konta i konfiskował pieniądze. Jednak gdy kontaktowano się z nim w sprawie oszustwa pig butchering, Tether ponownie udawał, że nie kontroluje blockchainu”.

Tinder nie odpisał na nasze pytania, w jaki sposób chroni swoich użytkowników przed oszustwami finansowymi.

Z kolei Meta, właściciel WhatsAppa, odpisała: „Aby egzekwować nasze zasady i zapobiegać nadużyciom, stosujemy szereg działań, w tym techniki uczenia maszynowego, w celu zwalczania fałszywych kont i nieuczciwych działań. Analizujemy zgłoszenia kont i blokujemy je, jeśli mamy dowody, że naruszyły one nasze warunki korzystania z usług”.

Czerwone flagi

Jakie znaki ostrzegawcze powinny nas uprzedzić, że rozmawiamy z naciągaczem finansowym?

- rozmówca lub rozmówczyni szybko porusza temat kryptowalut (może to być już pierwszego dnia jako jedno z hobby);
- rozmówca jest obcokrajowcem, nalega na komunikację pisaną;
- zdjęcie profilowe modelnie dobrze mogłoby należeć do modela/modelki;

- będzie się chwalić, jak dużo pieniędzy zarabia dzięki kryptowalutom – ma to sprawić, że ofiara sama zechce do niego dołączyć;
- w pewnym momencie rozmowy oszust poprosi o zainstalowanie aplikacji giełdy kryptowalutowej.

Co zrobić, jeśli straciło się pieniądze

Przed wszystkim sprawę należy zgłosić na policję. Można też próbować korzystać z pomocy firm specjalizujących się w odzyskiwaniu środków straconych w kryptoprzekrętach. A także samemu zgłosić się do giełdy kryptowalutowej, na której odbywały się transakcje.

Koniecznie należy zgłosić numery telefonów / nazwy profili oszustów na platformach, na których z nimi rozmawialiśmy. Pomoże to w ograniczeniu ich zasięgów.

Konfrontacja

Uświadamiam Claude’a, że na mnie nie zarobi. Wprowadzam go w to, co ustaliłam do tej pory: zdjęcia, które mi wysyłał, zostały skradzione Juanowi Franciscowi z Hiszpanii. Strona, na której miałam dokonać przelewu Tetherów, była fałszywa.

– O czym ty mówisz? – Claude chyba nie może uwierzyć w to, co się dzieje. Pytam go, kim naprawdę jest, czy jest uwięziony i potrzebuje pomocy.

Status wiadomości: nieodczytana. ●

PSYCHOTERAPIA W ŁONIE MATKI

Choroby serca, rak, obturacyjna choroba płuc... Naukowcy wykazali ewidentny związek pomiędzy traumami i nadmiernym stresem w życiu dziecka a stanem zdrowia dorosłego, którym się stało.

Maja Zagajewska

Bójki w szkole i dopalacze, ucieczki z domu i to najgorsze: rosnąca liczba prób samobójczych i samobójstw u coraz młodszych dzieci. Każdy z tych dramatów dotyka wielu osób – przede wszystkim rodziców i rodzeństwo, ale także lekarzy, ratowników, nauczycieli, kolegów ze szkoły, sąsiadów. I nas wszystkich – słuchających tych wiadomości, oglądających zdjęcia, nagrania wideo, wywiady z płaczącymi rodzicami. A reakcje obronne, które mogą się pojawić, to albo odcięcie się od naturalnych ludzkich uczuć, czyli tzw. znieczulica, albo skupienie się na działaniu. Działać! Przeciwdziałać złu.

Kiedy działamy, nasze dziecięce uczucia bezsilności, bezradności i strachu maleją. Dlatego w wypowiedziach ludzi troszczących się o zdrowie psychiczne dzieci i młodzieży leitmotivem staje się litania celów: trzeba więcej psychiatrów dziecięcych i psychologów w szkołach, więcej poradni dla dzieci i młodzieży, więcej łóżek na oddziałach psychiatrii.

Ale to „więcej” nie rozwiązuje problemu. Żeby zahamować wzrost czarnych statystyk, trzeba dążyć do „mniej”, mniej chorych dzieci dzięki fachowym działaniom profilaktycznym. Nie wtedy, kiedy u dziecka już wystąpią zaburzenia; chodzi o profilaktykę wczesną, zanim dojdzie do traumy, źródła tych zaburzeń.

„Trauma (z greki „rana”) zawsze jest przedwerbalna” – napisał psychiatra Bessel van der Kolk. Podobnie myślała francuska pediatra i psychoanalityczka Françoise Dolto. Według Dolto profilaktyka zaburzeń psychicznych dzieci powinna objąć początki życia, jeszcze w łonie matki. Cięża, szczególnie pierwsza, może uaktywnić u przyszłej matki, a także u przyszłego ojca, przemilczane sekrety i traumy rodzinne, które nieświadomie przekażą dzie-

ku. Przez fizyczną i psychiczną osmozę między ośeskiem i matką, potem między dzieckiem i jego otoczeniem, nieujawnione – mówiąc żargonowo: nieprzepracowane – traumy przodków zasiedlą psychikę dziecka.

Pozagenetyczne dziedziczenie jest obecnie przedmiotem intensywnych badań naukowców na całym świecie, w tym etologów. Ci ostatni próbują zrozumieć, jak to się dzieje, że potomstwo szczurów laboratoryjnych, które były rażone prądem, a jednocześnie do ich nozdrzy docierał zapach wiśni, reaguje panicznym lękiem przy najlżejszym powiewie tego zapachu, i to nawet w drugim pokoleniu, a sfera mózgu związana z węchem jest u nich wyraźnie powiększona.

Wydawałoby się, że w naszym kraju, gdzie spadek przyrostu naturalnego jest palącym problemem, kobieta w ciąży będzie traktowana jak skarb; przecież nosi w sobie nowego obywatela. Tymczasem kobieta w ciąży nadal nie może w Polsce liczyć na systematyczną, fachową opiekę psychologiczną, gdzie spotka się ze zrozumieniem swoich niepokojów i obaw. A przecież wiadomo, że emocje i stresy przeżywane podczas ciąży wpływają na kształtującą się psychikę dziecka. Polki w wieku rozrodczym (15-49 lat) decydują się coraz później na dziecko z różnych powodów, ale przede wszystkim ze strachu. Boją się ciąży patologicznej albo przypadkowej, niechcianej, której nie będą mogły przerwać. Boją się bó-

łów porodowych – znieczulenie nadal nie dla wszystkich rodzących jest dostępne. Najbardziej – jak wynika z corocznych raportów fundacji Rodzić Po Ludzku – Polki boją się cierpień psychicznych; upokorzenia, bezdusznego traktowania przez personel medyczny w okresie okołoporodowym i podczas porodu.

Wiele przyszłych matek nie wie, że najtrudniejsze chwile będą przeżywać już po wyjściu z dzieckiem ze szpitala, w okresie pogołu. Dzisiejsza młoda matka to najczęściej kobieta pracująca, chwilowo na urlopie macierzyńskim, która aktywne życie zawodowe zamieniła na izolację w domu z dzieckiem. Czasem jest z nią ojciec dziecka, ale najczęściej pozostaje sama z noworodkiem, którego niewerbalne przekazy są niezrozumiałe i niepokojące.

Młoda, niedoświadczona matka, niepewna swoich kompetencji rodzicielskich, niewyspana i zmęczona, przytłoczona ciężarem odpowiedzialności za zdrowie i życie małego człowieczka

może wtedy łatwo wpaść w depresję. Oficjalne statystyki podają, że depresja poporodowa dotyka między 10 a 22 proc. młodych matek, czyli dwie matki na dziesięć. Jednak z wypowiedzi doświadczonych psychiatrów wynika, że depresji poporodowych jest więcej, a w dodatku tylko połowa dotkniętych nią młodych matek szuka pomocy.

W „Martwej matce”, sławnym eseju z 1983 r., francuski psychoanalityk André Green zaszokował twierdzeniem, że matka w depresji to dla dziecka matka martwa; psychicznie jest nieobecna, jakby jej nie było. Nawet jeśli opiekuje się niemowlęciem – karmi i pielęgnuje – to raczej z obowiązku niż z potrzeby serca. A także ze strachu przed oceną otoczenia i pediatry. Ze strachu udaje, że jest szczęśliwa. Dziecko, psychiczny pól sierota, będzie się starać wszelkimi sposobami uleczyć matkę z depresji, ożywić ją, zmusić do zainteresowania sobą; bywa, że jedynym skutecznym antydepresantem dla matki jest choroba jej dziecka; budzi ją z odrętwienia, zmusza do działania, do wyjścia z domu i szukania pomocy.

Green twierdził, że dziecko matki zagrożonej w depresji, które nie zaznało jej bezwarunkowej miłości, radości i akceptacji, będzie rosnąć z poczuciem wewnętrznej pustki. Nie zapełnią jej nawet wybitne osiągnięcia i sukcesy intelektualne czy artystyczne. Bo dziecko, bezsilny słabeusz ukryty w dorosłym, czuje, że to nie ono, tylko jego ochronna, złota zbroja sukcesu jest darzona miłością. To wewnętrzne dziecko będzie niezmordowanie szukać bezwarunkowej, macierzyńskiej miłości u każdego napotkanego człowieka, a przede wszystkim u partnera w relacji miłosnej. Tragedią emocjonalnego sieroty jest fakt, że sam zwykle nie potrafi kochać.

Niewydolność służby zdrowia w dziedzinie psychiatrii i psychoterapii dzieci i młodzieży popycha rodziców do szukania pomocy w prywatnych gabinetach, w których opłaty – zgodnie z prawami rynku – sztybią w górę. Zaalarmowani donie-



FOT. GETTY IMAGES

sieniami z przedszkola czy szkoły są gotowi zrobić wszystko, żeby pomóc dziecku. A siebie uchronić przed poczuciem, że są niewystarczająco dobrymi rodzicami. Więc zapłacą, najwyżej wezmą dodatkową pracę. I w ten sposób będą coraz mniej czasu spędzać z dzieckiem – wyczerpani, niewyspani, nieszczęśliwi. Ale jaka to ulga oddać specjalistom przynajmniej część odpowiedzialności za stan psychiczny dziecka; „Pani (pan) ci pomoże, tu cię wyleczą”.

Chce mi się krzyczeć, kiedy czytam, że w poradniach psychologiczno-psychiatrycznych finansowanych przez NFZ, żeby dziecko „zasłużyło” na pomoc, musi być „zdiagnozowane” przez psychiatrę lub psychologa i od tego momentu będzie się nazywać pacjentem. Dopiero wtedy, po skomplikowanym obliczaniu punktów, po wypisaniu niezliczonych formułarzy, NFZ przekaże placówce środki. A potem pacjent zostaje zapisany do kolejki, co najmniej rocznej, na terapię indywidualną, czasem rodzinną. Rok czekania na pomoc w życiu małego dziecka, które będzie obciążone – być może na zawsze – stygmatem chorego psychicznie pacjenta?

Chciałabym wykonać znany wszystkim gest pukania się w głowę. Nie moją. Lepiej zapobiegać, niż leczyć – wiemy o tym wszyscy z wyjątkiem NFZ.

O wpływie traumatycznego dzieciństwa na pojawienie się zaburzeń psychicznych czy zaburzeń zachowania w późniejszym życiu człowieka nie trzeba już nikogo przekonywać. Już każdy chyba słyszał, że „rodzic, który bije dziecko, sam był maltre-

towany w dzieciństwie”, „dziecko alkoholi-ka będzie alkoholikiem”. Przeprowadzone przez naukowców badania wykazały, że traumy czy nadmierny stres wpływają nie tylko na psychikę, ale także na naszą fizjologię, zostawiając swój ślad w komórkach naszego ciała. Przeżywane przez niemowlę i małe dziecko powodują zmiany, często nieodwracalne, w strukturze mózgu, prowadząc do słabego rozwoju sieci mózgowych odpowiadających za panowanie nad lękiem i agresją. Dziecku będzie brakować odporności psychicznej i będzie podatne na zranienia psychiczne.

Mówiąc wprost: to dziecko częściej będzie nieszczęśliwe niż szczęśliwe, częściej będzie płakać, niż się śmiać, a życie i świat będą budzić nie jego ciekawość, tylko przerażenie. Wtedy czasem jedyną ucieczką ze zbyt trudnej sytuacji może się wydawać samobójstwo.

W 1984 r. ukazała się książka Françoise Dolto „Nieświadomy obraz ciała”. Pediatra i psychoanalityczka, przede wszystkim dziecięca, sprecyzowała w przełomowym dziele, że nieświadomy obraz ciała jest dynamicznym, wciąż aktualizującym się nośnikiem historii emocjonalnej człowieka, całkowicie indywidualnym zapisem w ciele przeżytych doświadczeń i relacji. Dolto już 40 lat temu wiedziała, że stan psychiczny zapisuje się na bieżąco w komórkach naszego ciała. A potem w podstępny sposób, bo poza naszą świadomością, psychika wpływa na nasze zdrowie somatyczne.

W 1998 r. w „American Jurnal of Preventativ Medicine” pojawił się artykuł „Zwią-

zek między dysfunkcyjnym otoczeniem dziecka a głównymi przyczynami śmierci dorosłych, czyli studium nad skutkami traumatycznych doświadczeń w dzieciństwie” – w skrócie ACE (Adverse Childhood Experience). Autorami byli dr Vincent Felitti i dr Robert Anda. Artykuł był owocem wieloletnich i idących w tysiące medycznych badań naukowych, do których impulsem stało się zwykłe przejęzyczenie doktora Felittiego.

W 1985 r., zamiast postawić 53-letniej uczestniczce programu leczenia otyłości standardowe pytanie, ile miała lat, kiedy zaczęła życie seksualne, zapytał – ile ważyła przy pierwszym stosunku seksualnym. Kiedy usłyszał odpowiedź, postawił pytanie jeszcze raz, ponieważ myślał, że się przesłyszał. Pacjentka powtórzyła: ważyłam 40 funtów (około 18 kg), a po chwili milczenia dodała: przy pierwszym stosunku z ojcem miałam 4 lata.

Felitti naklonił innych lekarzy do stawiania pacjentom pytań dotyczących traum z przeszłości. Przy pomocy stworzonego przez nich kwestionariusza ACE (Adverse Childhood Experiances), który w 10 pytaniach ujmuje najczęściej spotykane traumy, na które dziecko może być narażone – jak alkoholizm czy narkotyki w rodzinie, przemoc, molestowanie czy zaniedbanie – przebadano 17 421 pacjentów. Opierając się na statystycznych wynikach, naukowcy wykazali ewidentny związek pomiędzy traumami i nadmiernym stresem w życiu dziecka a stanem zdrowia dorosłego, którym się stało.

Im więcej odpowiedzi twierdzących na pytania z kwestionariusza ACE, tym większe prawdopodobieństwo wystąpienia

w życiu człowieka poważnej choroby somatycznej. Osoba, której wynik jest powyżej 4 punktów, czyli dała co najmniej cztery odpowiedzi „tak” na pytania kwestionariusza, jest narażona dwukrotnie częściej niż osoba, której wynik ACE jest zerowy, na wystąpienie choroby serca i raka. A trzy i pół razy częściej zachoruje na obturacyjną chorobę płuc (POChP).

Rzeczniczka praw dziecka Monika Horna-Cieślak opowiada w mediach, jak bardzo jest wstrząśnięta ujawnianą liczbą przypadków przemocy wobec dzieci. Najbardziej krzywdzone są najmłodsze. Zaniedbane, niedożywione, maltretowane bezkarnie, bo jeszcze nie umieją mówić i nic nikomu nie opowiedzą. Światowe statystyki pokazują, że najwięcej ofiar śmiertelnych jest wśród dzieci do drugiego roku życia. Sąsiedzi musieli słyszeć płacz małego dziecka za ścianą, czasem trwający godzinami, ale „to normalne, niemowlę często płacze, wyrabia sobie płuća”. I tylko trzeba zamykać okna, bo decybele ranią uszy. Dzwonią na policję dopiero wtedy, kiedy decybele puchną odgłosami awantury za ścianą; rozbijane szkło, krzyki dorosłych, pijackie śpiewy. ●

Maja Zagajewska

● psycholożka, psychoterapeutka, prezeska fundacji Promyk, która prowadzi w Krakowie Zielony Domek.

Jest jak schronisko w górach. Mama z dzieckiem złapią oddech, poznają fajnych ludzi

Zielony Domek niczego nie wymaga

Françoise Dolto przez 15 lat rozmyślała, jak można pomóc najmłodszym dzieciom i udzielić psychologicznego wsparcia rodzinom, które przeżywają rewolucję, ponieważ przyszło na świat ich dziecko. W styczniu 1979 r. z grupą specjalistów pracujących z najmłodszymi dziećmi otworzyła w Paryżu nowatorską placówkę nazwaną później Zielonym Domem. La Maison Verte działa do dziś, a w całej Francji powstało około 1200 podobnych. „Nowatorską”, bo nie można tego miejsca zaszerogować do już istniejących instytucji przyjmujących najmłodsze dzieci, jak żłobki, klubiki, bawialnie czy przedszkola.

Krakowski Zielony Domek w czerwcu obchodził dziewiąte urodziny. W tym czasie odnotowaliśmy w zeszytach obecności blisko 16 tysięcy wizyt. Zapraszamy dzieci do lat trzech w towarzystwie osoby dorosłej. Najczęściej przychodzą mamy i nianie, ale spotykamy także ojców, babcie, dziadków. Na dzieci czekają zabawki, a przede wszystkim rówieśnicy, zawsze zainteresowane dzwonkiem do drzwi i kolejnym dzieckiem, a na opiekunów kanapy, gdzie mogą odpocząć, porozmawiać, nawiązać znajomości. Do dyspozycji gości pozostaje trójka terapeutów przeszkolonych do pracy z małymi dziećmi i rodzinami.

Najważniejszym gościem w Zielonym Domku jest dziecko. Jego imię i wiek terapeuta notuje uroczyście na tablicy w sali zabaw. Dorosły pozostaje anonimowy, mówi nam o sobie tylko tyle, ile chce.

W Zielonym Domku nie prowadzimy terapii ani szkoleń, nie prze-

rowadzamy wywiadów z opiekunami. Może dlatego przychodzą do nas osoby, które – nawet jeśli przeżywają trudności w funkcjonowaniu rodziny – nie zdecydują się na wizytę u psychologa i na podjęcie psychoterapii, a ich dzieci są egzaminowane tylko na obowiązkowych wizytach u pediatry. Lekarze, w tym pediatrzy, nie są przygotowani do zwracania uwagi na psychologiczny aspekt rozwoju dziecka i jego relacji z członkami rodziny. A przede wszystkim nie dysponują czasem na spokojną rozmowę, która pozwoliłaby się zorientować, w jakich warunkach rozwija się dziecko. Często nie do końca zdają sobie sprawę, że źródłem różnych chorób dziecka może być nadmierny stres połączony z brakiem u matki zachowania określonego jako buforowanie, czyli odgradzające dziecko od zbyt silnych bodźców i przynoszące ukojenie.

Do Zielonego Domku można przyjść prosto z ulicy, bez umawiania się, bez skierowania i bez diagnozy medycznej czy psychologicznej dziecka, które jeszcze nie ukończyło czterech lat. Rodzice i dzieci mogą skorzystać – bezpłatnie – z pomocy terapeutów.

Czym jest Zielony Domek? Jest miejscem, gdzie toczy się codzienne życie – ze zwykłymi trudnościami i radościami, które są dziełone z obecnymi tego dnia osobami. Czasem to tu dzieci robią pierwsze chwytne kroczki, zawsze witane uśmiechami i brawami dorosłych, a trochę później pod okiem opiekuna wspinają się na drabinkę, żeby zobaczyć siebie, z triumfalnym uśmiechem na buzi, w umieszczonym na samej górze lustrze. Dzie-



FOOT DOMENA PUBLICZNA

Françoise Dolto:
*W podstępny sposób,
bo poza naszą
świadomością,
psychika wpływa
na nasze zdrowie
somatyczne*

ci się bawią, same wymyślają zabawy, wybierając zabawki, które natychmiast stają się obiektem pożądlivych spojrzeń innych dzieci.

Czasem spojrzenie to za mało, dziecko pragnie fizycznego kontaktu z zabawką i odważnie wyrwa ją kołdzie, dając okazję opiekunowi do ćwiczenia z dzieckiem empatii wobec innych i nauki zachowania w społeczności. Dzieci są karmione – piersią, butelką albo przy stoliku, gdzie mogą jeść podgrzany w mikrofalę posiłek. Czasem podbierają sobie ciastko, ka-

walek jabłka, cząstkę pomarańczy i zawsze wtedy są częstowane, zachęcane do jedzenia przez dorosłych pomimo niezadowolonych spojrzeń i protestu właściciela cennego pokarmu. W Zielonym Domku dzieci uczą się życia.

„Czym jest dla ciebie Zielony Domek?” – to pytanie umieściliśmy na skrzynce, do której można wrzucać karteczki z anonimowymi odpowiedziami. Oto najbardziej przemawiająca do wyobraźni: „Zielony Domek jest jak schronisko w górach”. Daje schronienie i odpoczynek zmęczonym wędrowcom – matkom, które mają pod górę, codziennie ucząc się wystarczająco dobrego matkowania. To miejsce zaprasza do niezakłóconego domowymi obowiązka- mi kontaktu z dzieckiem i do spontanicznej, beztrudnej zabawy. Ale także umożliwia nawiązywanie znajomości z innymi opiekunami, z innymi dziećmi i z terapeutami.

Na karteczkach wrzuconych do skrzynki można przeczytać, nie tylko po polsku, inne określenia Zielonego Domku: „Małe miejsce, duże serce”, „Zielony Domek – by nie zwariować”, „Uciecha dla maluchów, relaks dla mam”. Dzieci „starzej się” u nas, aż nadchodzi moment dalszej życiowej wędrówki. Od pań w żłobkach wiemy, że „nasze” szybko adaptują się do nowych okoliczności, nowych opiekunów. Mało płaczą, są zaciekawione wszystkim, co spotykają.

Trochę mniej wiemy o tym, jak upływa ich życie w przedszkolu; dowiadujemy się czasem od matek, które przychodzą z kolejnym dzieckiem, że starsze dobrze sobie radzi i że chciałoby jeszcze przyjść

do Zielonego Domku. I znów chce mi się krzyczeć, tym razem „więcej!”. Więcej Zielonych Domków! Żeby było mniej nieszczęśliwych i niepewnych siebie dzieci, mniej zagubionych i niepewnych siebie rodziców.

Na koniec dwa wspomnienia. Trzy lata temu mój pięcioletni wnuk otrzymał pocztą list od opiekunki grupy przedszkolaków, do której miał dołączyć następnego dnia po przeprowadzce rodziny do innego miasta. Na kopercie był napis: „Otworzyć, jak będziesz się kładł do łóżka”. Mama odczytała dziecku ten pierwszy list w jego życiu: „Kiedy ma się w perspektywie ważne wydarzenie, to z przejęcia można mieć trudności ze spokojnym snem. Dlatego przesyłam ci magiczne konfetti. Rozsyp konfetti pod poduszką i będziesz świetnie spał”. Co zostało uroczyste zrobione – z pozytywnym skutkiem. Dalej nauczycielka napisała: „Ja także rozsypię sobie konfetti pod poduszką, bo nie mogę się doczekać na spotkanie z tobą”. To się działo w publicznej plcówce - w Australii.

Drugie wspomnienie: wakacje, mam 15 lat, idę brzegiem kanału na Mazurach i słyszę coraz głośniejszy pisk małego psa. Na łodzi przy brzegu siedzi młody mężczyzna, który więzi między udami szczeniaka owczarka alzackiego. Lewą ręką trzyma go za obrozę, a prawą szarpie pod włos, coraz mocniej jego sierść pisk bólu zamienia się w skowyt. Krzyknęłam: „Co pan robi?!” Mężczyzna odpowiedział spokojnie, z uśmiechem: „Ten pies merda ogonem do każdego człowieka, a to musi być zły pies, który będzie pilnował łodzi”. ●

Z BRYTYJSKĄ DZIENNIKARKĄ NAUKOWĄ
ANGELĄ SAINI* ROZMAWIA **PATRYCJA
MACIEJEWICZ**

PATRYCJA MACIEJEWICZ: Wielu z nas myśli, że patriarchyat jest odwiecznym porządkiem świata, a próby zmiany w systemie podważają coś naturalnego, oczywistego.

ANGELA SAINI*: W zeszłym roku ikona feminizmu Taylor Swift powiedziała to samo magazynowi „Time”. Na pytanie „Co istniało od zarania dziejów?”, odpowiedziała: „Patriarchalne społeczeństwo”.

To nieprawda. Niesamowite, jak bardzo w literaturze już po Darwinie – i to nie tylko biologicznej, ale także feministycznej – można dostrzec tę ideę, że równość płci jest czymś, co musimy wymyślić, stworzyć od podstaw, ponieważ nie istnieje. Albo że czasami nawet musimy iść wbrew naszej naturze, aby stać się równymi, ponieważ działamy wbrew temu, kim jesteśmy biologicznie.

Czy możemy powiedzieć, jaki był ten prapoczątek?

– To podejście, że równość tworzymy od podstaw, miało ogromny wpływ na to, jak interpretujemy otaczający nas świat. Za każdym razem, gdy widzimy nowe przykłady nierównego traktowania kobiet, dochodzimy do tego tak, jakby to była część porządku, który „istniał od zawsze”. Naturalizujemy to.

Kiedy naukowcy przyjrzeni się innym gatunkom, zwłaszcza innym naczelnym, zaczęli się zastanawiać, czy mogą wyizolować korzenie tego nierównego traktowania, nierównych warunków u innych gatunków naczelnych.

Szympanś stał się doskonałym przykładem – to jeden z dwóch najbliższych nam genetycznie gatunków, który jest zdominowany przez samce.

Biorąc więc pod uwagę to, że ludzkie społeczeństwo lub wiele ludzkich społeczeństw jest obecnie zdominowanych przez mężczyzn, a i szympanse są zdominowane przez mężczyzn, naturalne stało się dla biologów założenie, że jest to w jakiś sposób porządek rzeczy, że być może to nasze pierwotne pochodzenie, że zawsze tak było.

A potem, kilkadziesiąt lat temu, kiedy badaliśmy bardziej szczegółowo inne gatunki równie bliskie nam genetycznie, okazało się, że małpy bonobo są matriarchalne. Prymatolodzy [naukowcy zajmujący się ssakami naczelnymi] potrzebowali zaskakująco dużo czasu, by to zaakceptować. Kiedy przeprowadzałam wywiad z Franssem de Waalem, powiedział, że gdy raz na wykładzie stwierdził dość jasno, że jest to gatunek zdominowany przez samice – i to zarówno na wolności, jak i w niewoli, nie mamy już co do tego wątpliwości – jeden ze słuchaczy wstał i zapytał: „Co jest nie tak z tymi samcami?”, ponieważ wydawało się mu to dziwne.

Jak pociągnąć linię od małp do ludzi?

– Pisząc książkę „The Patriarchs. How Men Came To Rule”, zadałam sobie pytanie, gdzie jest najstarsze na osi czasu miejsce, do którego możemy się udać, aby zbadać relacje między płciami. Jednym z pierwszych miejsc, które odwiedziłem, było Çatalhöyük. To stanowisko archeologiczne w południowej Anatolii, we współczesnej Turcji, w pobliżu granicy z Syrią. Çatalhöyük ma ponad 9 tysięcy lat. Było zamieszkałe przez tysiące ludzi 5 tysięcy lat przed powstaniem pierwszych piramid w Egipcie, ponad 4 tysiące lat przed budową Stonehenge.

W XX wieku archeolodzy opisali je jako pierwsze miasto na świecie. Była to osada, w której niektórzy ludzie byli łowcami-zbieraczami, niektórzy zajmowali się rolnictwem i udomawianiem zwierząt. Sposób, w jaki to miejsce zorganizowano, jest naprawdę wyrafinowany. Domośwa wyglądają prawie jak plaster miodu



KWESTIA TEŚC

– bez drzwi i okien, dostawano się do środka przez dziurę w dachu i po drabinie. Na ścianach można zobaczyć piękne malowidła, żywoczerwone, przedstawiające sępy rozszarpujące martwe ciała lub polujące na ofiary. Jest też wiele figurek kobiet.

Kiedy się posiada ludzkie szczątki i tego rodzaju dane, można wiele dowiedzieć się o relacjach między płciami, nawet bez pisemnych dowodów. Bo oczywiście nie wiemy, co ludzie myśleli, skoro nie mamy żadnych zapisów.

Z rozmów z archeologami z Çatalhöyük wynika, że było to społeczeństwo egalitarne. Mężczyźni i kobiety żyli prawie tak samo. Jedli ten sam rodzaj żywności. Wykonywali ten sam rodzaj pracy – to można wnioskować po stanie zachowanych kości.

Spędzali tyle samo czasu w pomieszczeniach i na zewnątrz. To możemy zmierzyć dzięki pewnym pozostałościom w ciałach. Dzieci niekoniecznie były grzebane ze swoimi biologicznymi rodzicami. Nawet różnica wzrostu między mężczyznami i kobietami w osadzie była minimalna, co moim zdaniem jest ważne, ponieważ często zakładamy, że biologiczne różnice płci są uniwersalne.

Jeden z archeologów powiedział mi, że nie była to osada, w której płeć miała duże znaczenie. Jedynym prawdziwym dowodem odnoszącym się do płci są figurki, takie jak siedząca kobieta z Çatalhöyük. Więc znowu wiemy, że kobiety nie były niewidzialne.

Gdy dyskutuje się o patriarchacie, najczęściej mówi się, że ten model organizacji społeczeństw zaczął się wraz z rewolucją neolityczną.

– Fridrich Engels w XIX wieku argumentował, że pojawienie się własności ziemi było punktem, w którym mężczyźni zaczęli przejmować kontrolę nad seksualnością kobiet. Chcieli mieć pewność, że ich dzieci będą dziedziczyć ziemię.

Ale rewolucja neolityczna rozpoczęła się 12 tysięcy lat temu. Dowody historyczne nie dają potwierdzenia, że wtedy zaczęło się różnicowanie traktowania płci. Nie widziemy tego również w dowodach sprzed 9 tysięcy lat. Archeolodzy wielokrotnie mówili mi, że te ramy czasowe się nie pokrywają. Minęło kilka tysięcy lat rolnictwa i udomowienia zwierząt, zanim zobaczyliśmy jakiegokolwiek oznaki różnego traktowania płci.

Co było zatem triggerem wyzwalamym zmianę?

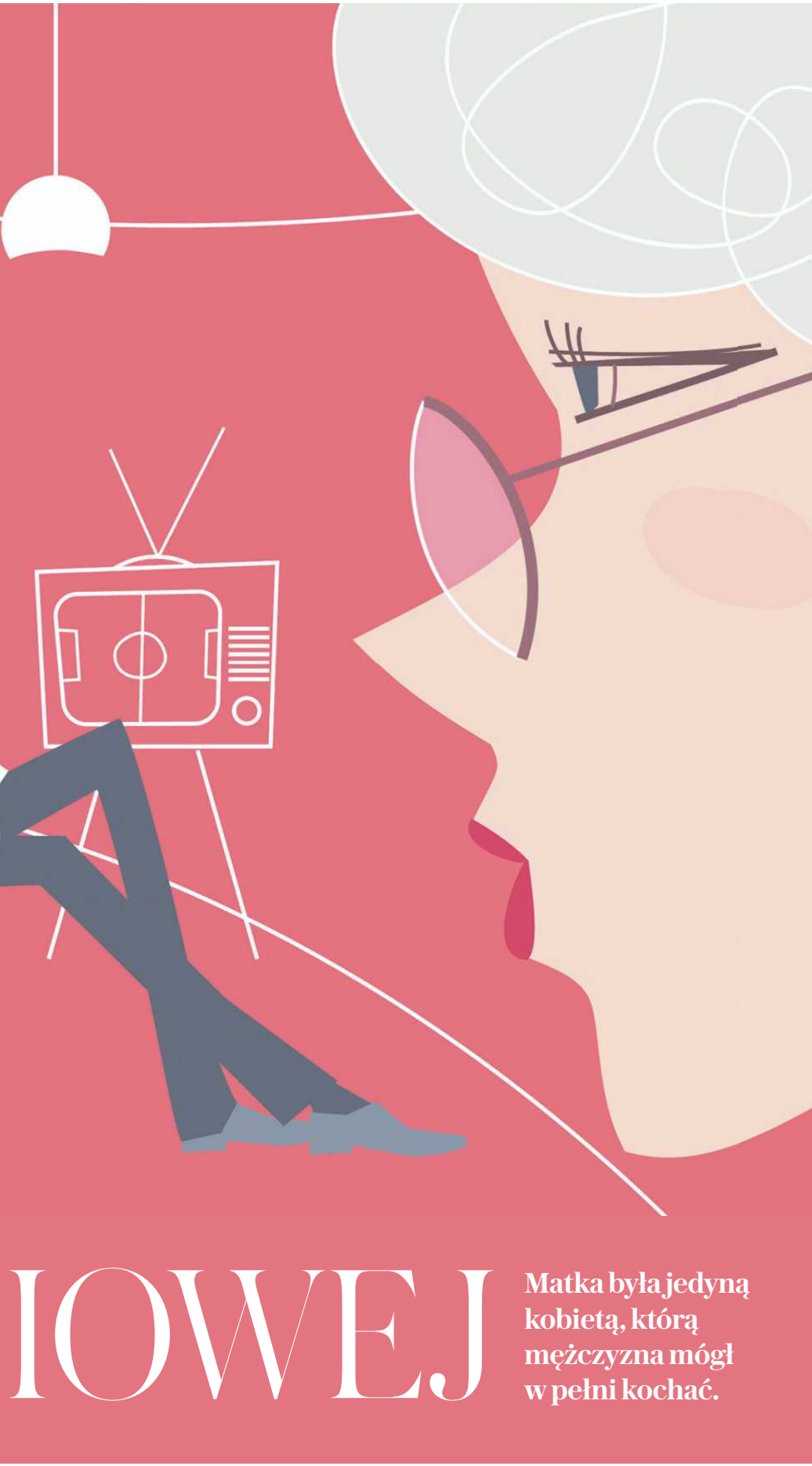
– Wielkim punktem zwrotnym jest powstanie załazków państw.

Wraz z pojawieniem się państw ludzie zaczęli organizować się w grupy. Zaczęli być kategoryzowani przez system i wtedy płeć stała się jedną z kategorii podziału. To właśnie wtedy pojawiły się pierwsze oznaki tego, co obecnie uważamy za patriarchyat, status kobiet zaczął się zmieniać.

W starożytnej Mezopotamii – więc nie tak daleko od Çatalhöyük – najpierw widać kobiety w zapisie historycznym, a potem stopniowo przez tysiące lat znikają... A powodem tego jest troska o populację.

Wyobraź sobie świat zupełnie niepodobny do tego, w którym żyjemy dzisiaj – że rodzisz się w jakimś miejscu i automatycznie stajesz się obywatelem – w którym możesz po prostu iść i żyć, gdzie chcesz, możesz robić, co chcesz, być myśliwym, zbieraczem, możesz udomawiać zwierzęta, możesz robić wszystko.

Największym zmartwieniem tych, którzy tworzyli pierwsze państwa, elit społecznych na szczycie tych państw, było to, jak skłonić ludzi do pozostania oraz do



FOT. SHUTTERSTOCK

produkowania większej liczby ludzi. I aby ci ludzie byli wobec nas tak lojalni, że będą nas bronić, jeśli to konieczne, nawet oddając życie za państwo.

A gdy już zainteresujesz się populacją, musisz zainteresować się rodziną, ponieważ rodzina jest podstawową jednostką populacji. To ona tworzy dla ciebie więcej ludzi, a także jest jednostką lojalności. Jeśli masz lojalność rodziny, to masz lojalność przez pokolenia.

I ta koncentracja państwa na populacji przełożyła się przez tysiące lat na dwa dążenia. Po pierwsze, aby kobiety miały jak najwięcej dzieci, więcej, niż miałyby w spo-

łeczeństwie myśliwych i zbieraczy. Po drugie, młodzi mężczyźni, jeśli nie mają dzieci, powinni być wykorzystani do walki i obro-ny państwa.

Widzimy więc, skąd biorą się nasze binarne stereotypy płciowe, współczesne stereotypy, że praca kobiety polega na macierzyństwie i opiece, a praca mężczyzny na byciu silnym, walczącym i odważnym. Chociaż każdy z nas wie, bo ma przykłady wokół, że nie każda kobieta chce być matką, nie każda jest dobrą matką i nie każdy może mieć dzieci. Wiemy też, że nie wszyscy mężczyźni chcą walczyć. Ale państwa to nie obchodzi. Zadaniem państwa jest

upewnienie się, że spełniasz te dwie podstawowe potrzeby.

Widzimy to nawet we współczesnych państwach, choć może nam się wydawać, że już od tego odeszliśmy, współczesne patriarchalne państwa, a nawet państwa niepatriarchalne, wciąż martwią się o populację, o wskaźniki urodzeń.

Ale zanim kobietom przypisano rolę matek jako podstawową...

– Na całym świecie, na różnych kontynentach mieliśmy kobiety wojowniczk, kobiety liderki. Traktujemy je jako wyjątki, jakby były dziwne nawet w swoich czasach. Kubaba [Ku-Baba lub Ku-bau, żyła około 4,5 tysiąca lat temu] została sumeryjską królową nie dlatego, że była żoną kogokolwiek lub córką kogokolwiek. To ona była praworządną władczynią, a poza tym przedsiębiorczynią i opiekunką talentów.

Historyczka wojskowości Pamela Toler napisała piękną książkę „Women Warriors” i zadaje ważne pytanie: dlaczego z jakiegoś powodu te kobiety tak płytko siedzą w naszej zbiorowej świadomości? A są ich miliony w całej historii, nie tylko przywódcynie wojskowe, ale i wojowniczk, które walczyły w wojnach. Mamy wiele przykładów kobiet dzielących władzę z mężczyznami w całej historii, na każdym kontynencie.

Niedawno Stany Zjednoczone otworzyły dla kobiet wszystkie funkcje wojskowe, w tym funkcje na pierwszej linii frontu. I nie ma w tym nic dziwnego, kobiety zawsze pełniły wszelkiego rodzaju role wojskowe.

Wróćmy jednak do tego, w jaki sposób patriarchat krępił.

– Jak mówiłam, w starożytnej Mezopotamii można było zaobserwować, jak kobiety znikaly z zapisów historycznych – początkowo zajmowały się wszystkimi dziedzinami życia, potem stawały się coraz bardziej zdegradowane do opieki i prac domowych.

W starożytnej Grecji i Rzymie mamy już ideał udomowionej gospodyni domowej. Po raz pierwszy pojawia się też oddzielne miejsce dla mężczyzn.

Literatura starożytnej Grecji jest głęboko mizoginistyczna. Jest pełna niechęci do kobiet, podejrzliwości i strachu, a my musimy zadać sobie pytanie: dlaczego społeczeństwa miałyby bać się połowy własnej populacji?

Starożytna Grecja uznawana jest za fundament zachodniej cywilizacji. Coś, co było na samym początku, od czego zaczęła się nasza świadoma obecność w świecie wartości.

– Tak, starożytną Grecję traktujemy jako miejsce narodzin demokracji, ale zapominamy, że była to demokracja, która świadomie wykluczała niewolników, ludzi z niektórych klas i kobiety. A kiedy później odtworzyliśmy demokrację w nowoczesnych państwach, zapożyczyliśmy ten wzorzec. Nie musieliśmy, ale to zrobiliśmy.

Dlaczego nie zapożyczyliśmy wzorca na przykład ze starożytnego Egiptu, współczesnego społeczeństwu starożytnych Aten, w którym kobiety miały dużą władzę, pracowały w wielu zawodach, były medyczkami, były bardzo dobrze wykształcone?

Tutaj mamy zaś odseparowanie kobiet. Oczywiście tylko kobiety z określonej klasy, ponieważ kobiety z klasy robotniczej nie miały takich „udogodnień”. Jeśli jesteś biedny, każdy musi robić wszystko. W ten sposób zapoczątkowana została mizogini-

styczna idea, że kobiety są własnością. A kiedy już to masz, kontrola nad kobietami staje się niezwykle ważna. Taki system nie mógłby przetrwać, jeśli nie byłby w pełni kontrolowany. W ten sposób za odosobnieniem kobiet, zamknięciem ich w specjalnych przestrzeniach poszło zasłanianie twarzy, włosów, czadory, krępowanie stóp – wszystkie te formy kontroli seksualnej.

Nie jest tak, że wszystkie rodziny spon-tanicznie mają ten sam pomysł na kontrolę. Normy nakłada państwo, które mówi, że takie są zasady dotyczące płci, według których musisz żyć. Następnie stopniowo przez wiele tysięcy lat przekłada się to na „to jest rola kobiety, to jest rola mężczyzny”. Ale aby kobieta mogła spełnić tę funkcję, muszą istnieć bardzo surowe zasady dotyczące funkcjonowania rodziny

I to jest moment, w którym powinniśmy powiedzieć o mechanizmie, który umożliwił wtłoczenie kobiet w ten rygor. Co to jest patrylokalność?

– Patrylokalność to praktyka, kiedy kobieta po ślubie przeprowadza się do domu męża. Jest to nadal praktykowane w wielu częściach świata – kobiety zaczynają mieszkać nie tylko ze swoimi mężami, ale też z całą rodziną męża.

Wyobraź sobie, że przenosisz się z własnej, znanej społeczności z dzieciństwa, gdzie jesteś chroniona, wychowywana przez ludzi, którzy cię kochają, otoczona przez tych, którzy troszczą się o ciebie, stawiają twoje interesy na pierwszym miejscu, do społeczności, w której jesteś po prostu obca. Jesteś bezbronna, nie masz żadnego wsparcia, zaufanej osoby. Dokładnie to dzieje się w aranżowanych małżeństwach, gdy kobiety, czasem jeszcze jako dzieci, zmuszane są do przeprowadzki. Ta forma przymusowego małżeństwa jest obecnie klasyfikowana przez Międzynarodową Organizację Pracy jako współczesne niewolnictwo.

Jeszcze jedno wyjaśnienie, w jaki sposób oczekiwania dotyczące czystości seksualnej przetrwały do dziś. Oczekiwania te nakładano na dziewczęta, począwszy od starożytnej Grecji. Ich rodziny wywierały presję, by wychodziły za mąż w bardzo młodym wieku (około 13 lub 14 lat). Często wydawano je za mąż za mężczyzn starszych o 10 lub 15 lat. Podsycało to stereotypy, wciąż obecne w czasach współczesnych, że mężczyźni są racjonalni i logiczni. Kobiety zaś postrzegano jako emocjonalne i głupie, zamiast uznać ogromną różnicę wieku i doświadczenia życiowego.

Model słabej kobiety i silnego mężczyzny.

– Kluczem do władzy nie jest siła fizyczna. To jej element, nie ma co do tego wątpliwości, ale kluczem do władzy jest wsparcie i sieci powiązań. Ludzie. Dzisiejsi przywódcy świata nie są sportowcami ani zapaśnikami – spojrzmy na Donalda Trumpa i Joe Bidena i dyskusję o ich wieku. Nie są tam, gdzie są, dlatego że są najsilniejszymi ludźmi w kraju. Są tam, ponieważ zapewnili sobie potężne wsparcie od ludzi wokół nich.

Tak działa to też wśród szympanсів. Frans de Waal powiedział mi, że często to nie najbardziej agresywny, największy samiec jest samcem alfa, tylko ten, który potrafi tworzyć sieci, potrafi łączyć się z innymi członkami grupy, a oni czują się komfortowo, gdy jest u władzy.

Małżeństwo patrylokalne pozbawia nas tego wszystkiego: nie możesz tworzyć sieci z innymi ludźmi, jeśli jesteś sama w rodzinie. Tymczasem mężczyźni w tej rodzinie są razem przez całe życie – ojcowie, synowie, wujowie, dziadkowie. Mogą tworzyć te braterskie sieci, ponieważ nigdzie się nie wybierają.

To powiedzmy o jeszcze jednej nieprzyjemnej sprawie: jaka jest rola kobiet w cementowaniu patriarchatu?

– Istnieje obszerna literatura na temat tego, że relacja teściowa – córka jest toksyczna i może być potężnym narzędziem patriar-

Dziewczyna otrzymuje komnatę w domu swojej matki, gdy osiąga pełnoletność, i może zaprosić do niej mężczyznę na noc

chatu. Zresztą ten powszechny schemat raz za razem powtarza się w operach mydlanych i filmach. W tych patrylokalnych społeczeństwach teściowa działa w interesie swojego syna, a nie w interesie synowej.

Powinam tutaj dodać – jak zawsze, gdy poruszam ten temat – moja teściowa jest naprawdę kochana, zawsze zatrzymuję się u niej, gdy przyjeżdżam do Wielkiej Brytanii.

Ale socjolog Deniz Kandiyoti pisała już na początku lat 80. o „patriarchalnym porozumieniu”, które ma miejsce w tych tradycyjnych domach, do których dołącza młoda kobieta i często jest wykorzystywana. Dlaczego kobiety w to wchodziły, znosiły to? Kandiyoti tłumaczy: wiedziały, że jeśli będą miały syna, a potem on przyprowadzi synową, to wówczas one będą mogły być królową tego domu.

Marokańska socjolog Fatema Mernisi podaje, że w tradycyjnej marokańskiej rodzinie matka była jedyną kobietą, którą mężczyzna mógł w pełni kochać. Oczekiwano, że synowe będą całować swoją teściową w rękę i nazywać ją „lala”, co oznacza „pani, mistrzyni”, jest to język niewolnictwa, podwładności. Teściowa w rzeczywistości podkopywała relację mąż – żona, ponieważ leżało to w jej interesie.

Nie winię kobiet za to, że to robią, Kandiyoti też ich za to nie wini. Po prostu staramy się jak najlepiej wykorzystać złą sytuację.

Kobiety dochowują zasad tradycji, nawet jeśli wiedzą, że jest okrutna. Tak kaleczone są dziewczynki podczas obrzezania – także w imię tradycji

– Tradycja jest bardzo potężnym mechanizmem. Matki i ciotki dążą do tego, by ich córki były obrzezane, robiły to przez pokolenia, wiedząc jak bardzo okrutna i bolesna to praktyka. W ten sposób dbały o to, by być uznane za osoby prawdziwie dochowujące tradycji. Wiedziały też, że dzięki temu łatwiej będzie wyjść za mąż – kobiety obrzezane pasują do społeczeństwa, służą mu.

Wiedzą, że to służy mężczyznom, ale muszą też żyć swoim życiem i jakoś sprawić, by zachować sprawczość tam, gdzie mogą, więc po prostu powielają te praktyki, ponieważ to wszystko, co mają – mogą jedynie wkupić się w system i sprawić, by działał na rzecz jednostki w jakikolwiek sposób. Nie potępiam więc kobiet, które znalazły się w takiej sytuacji, ponieważ często nie mają innego wyjścia.

Mówimy o rzeczach, które w świadomości osób z Zachodu mogą się wydawać niewiarygodne, jednak to nie znaczy, że w bogatych, zachodnich krajach pozycja kobiety nie podlega tym samym regulom.

– Rzeczywiście. Kiedy dochodzimy do późniejszych państw nowożytnych, prawa regulujące małżeństwo po prostu opierają się na tym modelu, w którym żona jest właściwie niewolnikiem we własnej rodzinie. To było usankcjonowane w wielu krajach.

W Anglii dopiero w 1839 r. kobiety uzyskały prawo do ubiegania się o opiekę nad własnymi dziećmi. We Francji do 1907 r. zamężna kobieta wiedziała, że jej wszelkie zarobki trafiają do jej męża, ponieważ jej praca była postrzegana jako należąca do niego. Jeszcze w 1965 r. francuski mąż mógł legalnie powstrzymać żonę od pracy.

Myślimy, że niewolnictwo jest czymś historycznym, ale mamy tak wiele podobieństw do tego pozbawiania tożsamości, nawet współczesna praktyka przyjmowania nazwiska męża podczas ślubu jest jego pozostałością. Dokładnie to samo działo się z jelicami, którzy trafiali do jakiejś społeczności. Czasami golono im głowy i przyjmowali nazwisko swojego pana, co było przeniesieniem ich tożsamości.

Kiedy wyszłam za mąż, moi teściowie – których absolutnie kocham i którzy są naprawdę wspaniałymi ludźmi, a wszystko, co powiedziałam o teściach, nie odnosi się do nich – bardzo chcieli, żebym zmieniła nazwisko. Miałam kilka dość napiętych

rozmów z moim teściem na ten temat. Powiedziała mu: jeśli jedno z nas ma zmienić nazwisko, dlaczego nie może to być on? Jediną odpowiedzią była „tradycja”.

Wciąż istnieje to powszechne nieporozumienie, że patriarchat jest uniwersalny, że wszyscy żyjemy w ten sposób.

– Podam tylko przykład: w 2018 r. archeolodzy znaleźli w Andach ludzkie szkielet należący do myśliwego, który żył około 9 tysięcy lat temu. Jest to więc mniej więcej ten sam czas co Çatalhöyük, ale zupełnie inna część świata. Uważa się, że zmarł, gdy miał 17-19 lat, co ważne – został pochowany z ponad 24 kamiennymi przedmiotami, pociskami i nożem, według archeologów był to zestaw narzędzi myśliwskich.

Gdy analiza wykazała, że szczątki należały do kobiety, stało się coś niezwykłego, archeolodzy zaczęli zadawać pytania, jak to możliwe. Czy te przedmioty znalazły się tam przez przypadek? Może to był jakiś obwód? Odmawiali zaakceptowania faktu, że ta osoba mogła używać tych przedmiotów. Jeden z archeologów powiedział magazynowi „National Geographic”: „Nie można tak po prostu zatrzymać się w środku polowania na jelenia, aby nakarmić płaczące dziecko” i to mówi nam wszystko – zakłada, że kobiety nigdy nie robiły nic poza pielęgnowaniem płaczących dzieci.

Jak wyglądałby świat urządzony inaczej? Mamy się do czego odwołać?

U ludzi i u sympansów często to nie najbardziej agresywny, największy samiec jest samcem alfa, tylko ten, który potrafi tworzyć sieci

– Istnieje wiele różnych sposobów organizacji społeczeństwa. Gdy jest to wzorzec matrylokalny, władza i autorytet są dzielone między mężczyzn i kobiety i często przebiegają wzdłuż kategorii wieku, a nie płci.

Jedyna ilustracja w mojej książce to mapa współczesnych społeczeństw matrylinearnych. Są to więc społeczeństwa, w których dziedziczenie przebiega po linii żeńskiej – z matek na córki. Jest ich wiele, przynajmniej 160 na całym świecie i wszystkie bardzo się od siebie różnią.

Niektóre z nich czczą boginie. Są też takie, które nie praktykują małżeństwa w sposób, w jaki rozumiemy je my. Na przykład wśród ludu Mosuo w zachodnich Chinach istnieje coś, co antropolodzy nazywają przechodnim małżeństwem. Dziewczyna otrzymuje komnatę w domu swojej matki, gdy osiąga pełnoletność, i może zaprosić do niej mężczyznę na noc, a on po prostu opuszcza ją następnego dnia. Ona wychowuje własne dzieci. On wychowuje swoje siostrzenice i siostrzeńców. Tak więc istniało ogromne różnicowanie społeczne i różnicowania powinniśmy się spodziewać i dziś. To byłoby normalne.

Walka o prawa kobiet wydaje nam się nowoczesnością

– Mieszkam w Nowym Jorku. Kilka godzin jazdy na północ znajduje się miasto Seneca Falls. Tam w kaplicy Wesleyan w 1848 r. była pierwsza konwencja praw kobiet w Stanach Zjednoczonych. Był to niezwykle ważny punkt w historii kobiet w Ameryce, ponieważ te chrześcijańskie kobiety, chrześcijańskie Amerykanki, zebrały się, aby domagać się prawa głosu i innych praw, aby nie były już traktowane jako własność przez prawo Stanów Zjednoczonych.

Jak na ironię w 1590 r., na długo przed założeniem Stanów Zjednoczonych, w tym

samym miejscu, gdzie dziś jest Seneca Falls, odbyło się spotkanie rdzennych Amerykanek Haudenosaunee [nazwa odnosząca się do sześciu rdzennych narodów – m.in. Mohawk i Seneca], które domagały się pokoju między narodami. Były w stanie to zrobić, bo kobiety miały dużą władzę w społeczeństwie Haudenosaunee, to nadal społeczeństwo matrylinearne. Kobiety zajmowały się rolnictwem, a matki były ostatecznym autorytetem. W 1848 r. w tym samym miejscu kobiety Haudenosaunee miały większy autorytet i prawa, o które amerykańskie chrześcijanki się dopominały.

Żeby to wytłumaczyć, trzeba było zrobić kwadraturę koła. Przekaz była taki: wszystkie społeczeństwa były kiedyś matriarchalne, ale ci ludzie są prymitywni, a my jesteśmy cywilizowani, więc cywilizowane społeczeństwa są patriarchalne, a prymitywne społeczeństwa są matriarchalne. I niszczycielską konsekwencją tego była próba ucywilizowania rdzennych Amerykanów do patriarchatu. Dzieci zabierano do szkół z internetem, w których wiele z nich zmarło, młode dziewczęta były uczone, jak być gospodyniami domowymi, czasami przez te same chrześcijanki, kobiety, które walczyły o głosowanie, a młodzi mężczyźni byli uczeni, jak wykonywać prace rolne, ponieważ Europejcy osadnicy nie chcieli już handlować z kobietami. Rdzenne kobiety straciły więc źródło dochodu.

Tak właśnie zachodzą zmiany społeczne. Nie dzieje się to jak uderzenie pioruna, przez

Jesteśmy ludźmi. Jako gatunek jesteśmy niesamowicie plastyczni, możemy żyć na biliard różnych sposobów. Nie ma też jednego patriarchatu, jest wiele patriarchatów specyficznych dla kontekstu i czasu, które są stale przekształcane i o wiele bardziej kruche, niż można sobie wyobrazić. Nie są monolityczne. Nie są konspiracyjne. Zostały po prostu zbudowane warstwami i warstwami wprowadzone do naszych innych systemów: prawa, wiedzy, nauki i religii, aż wydają się monolityczne.

Matriarchat miałby być alternatywą?

– Powinniśmy uznać, że różnicowanie społeczne jest normalne. Nawet w Çatalhöyük widać, że ludzie próbowali nowych rzeczy. Eksplorowali jedną opcję organizacji, a następnie zmieniali zdanie i wybierali coś innego.

Staliśmy się tak skostniali w obecnych sposobach organizowania się, instytucje stały się tak nienaruszalne, że nawet niewielkie zmiany legislacyjne mogą zająć lata. Obecnie w Stanach Zjednoczonych, jeśli chcemy przywrócić prawo do aborcji dla kobiet we wszystkich stanach, zajęmie to prawdopodobnie dekadę, a może więcej.

Mieliśmy pewien okres entuzjazmu wobec państw, które były kierowane przez kobiety, takich jak Nowa Zelandia, Finlandia. Okazało się, że były to bardzo tymczasowe rządy, które nie przetrwały

długo. Dlaczego?

– Myślę, że świat stał się bardzo homogeniczny, i to nie tylko pod względem patriarchatu, ale także kapitalizmu i nierówności społecznych. Instytucje rządowe na całym świecie wyglądają bardzo podobnie, sądy, biurokracja. W pewnym sensie musiało się tak stać.

Nadal istnieją różnice kulturowe i różnice lokalne, ale staliśmy się bardzo podobni na całym świecie i myślę, że to był wróg zmian społecznych, że bardzo trudno jest nam nawet wyobrazić sobie życie inaczej, zupełnie inaczej.

Ale nie sądzę, by istniało jedno idealne społeczeństwo. ●

Redagował Sebastian Ogórek



FOT. HENRIETTA GARDEN

*Angela Saini

• jest brytyjską dziennikarką naukową, autorką książek i prezydentką radiową. Ukończyła inżynierię na Uniwersytecie Oksfordzkim, a następnie dziennikarstwo na Uniwersytecie w Cardiff. Wykłada dziennikarstwo naukowe na Massachusetts Institute of Technology. W 2023 roku została wydana jej najnowsza książka „The Patriarchs. How Men Came To Rule”. W Polsce ukazała się jedna z jej poprzednich książek, „Gorsze. Jak nauka pomyliła się co do kobiet” (wyd. Czarne)

Ach, ten tyłeczek mojego wykładowcy

Nie pozwolę siostrzyczkom postfeministkom odebrać sobie elementarnej godności dojrzałej osoby, która sama odpowiada za swoje relacje z mężczyznami. Nawet wtedy, gdy była bardzo młoda.

Magdalena Czyż

Na pierwszym roku studiów zajęcia z ekonomii prowadził na mojej uczelni doktor jakiś tam, nazwiska już nie pamiętam, imienia tym bardziej. Grunt, że strasznie mi się podobał. Siadywałam na jego zajęciach w pierwszym rzędzie i wpatrywałam w niego, gdy rozprawiał na temat podaży, popytu, rynków wschodzących, zachodzących... Nic mnie to nie obchodziło, bo jedynym, czym się zajmowałam na jego zajęciach, było fantazjowanie na temat jego zgrabnego tyłeczka przy moim zgrabnym tyłeczku. Zwłaszcza gdy odwracał się tyłem, żeby narysować jakieś wykresy na tablicy. Licząc, że mnie zaprosi na jakiegoś drinka chociaż raz, na wykładach kiwałam ze zrozumieniem głową, by go przekonać, że żywo interesują mnie jego poglądy na temat planu Balcerowicza.

Nie zaprosił ani razu. Egzamin z ekonomii zdałam na żalosną tróję.

Kiedy przyszedł do jego gabinetu po wpis do indeksu, zapytał, jak to możliwe, że najaktywniejsza jego studentka zdaje tylko na trójkę. Siedziałam na krześle zrezygnowana, a w głowie miałam tylko jedną odpowiedź: „Bo, ty skończony idioto, nic kompletnie nie skumałeś!”. Wyszedł z tróją w indeksie i do dziś żałuję, że nie udało mi się go poderwać, że może jednak mogłam być bardziej... aktywna.

Z profesorem filozofii na kolejnym roku poszło mi już znacznie lepiej (nazwisko pamiętam, ale nie powiem, bo go wszyscy znają, może z wyjątkiem jego byłej żony). Zapytał któregoś razu na zajęciach, czy ktoś go może podwieźć na dworzec. Pierwsza się zgłosiłam. Potem był wspólny obiad, kolacja, drinki i tak dalej. Zaliczyliśmy biurko w jego gabinecie na uniwersytecie, parapet w letni wieczór (bardzo polecam) i najmilej wspominany przeze mnie stos jakiś filozoficznych periodyków i książek, też w jego gabinecie (i też gorąco polecam).

A w moim indeksie przy przedmiocie filozofia znalazła się piątka! Żeby nie było, nie – albo nie tylko – z powodu biurka, parapetu i stosu książek. Trudno nie dostać piątki, gdy się dostaje na egzaminie pytanie: dlaczego Friedrich Nietzsche nie lubił Kościoła.

Przytaczam te dwa wspomnienia z wesołych studenckich czasów, żeby uzmysłowić niektórym siostrzyczkom feministkom, że istnieją dwa typy mentalności studentek i w ogóle kobiet, które raczej nigdy się ze sobą nie zgodzą. Jeden to typ o zdystansowanym i – nie bójmy się tego słowa: zdrowym – podejściu do swojej kobiecości, ciała i seksu. Są świadome zalet swojej płci i świadomie z niej korzystają. I drugi, o mentalności bliskiej zakonnic. Okazuje się, że ten drugi dotyczy kobiet zarówno o konserwatywnych, jak i lewicowych, teoretycznie postępowych poglądach.

Do pierwszego zalicza się nieskromna autorka tekstu i jeszcze mniej skromna Maria Anna Potocka, autorka niedużej, lecz bardzo przenikliwej książeczki: „Kobieta postfeministyczna. Dyktatura kobiet”. Drugi reprezentują bohaterki tekstu Renaty Kim w „Newsweeku” „Uznałyśmy,

że mamy dość” i Marty Danielewicz w poznańskiej „Wyborczej”. Ich autorki zapewne również. Gdyby było inaczej, nie rozkręciłyby tej całej bezsensownej hysterii w Poznaniu.

Rzecz dotyczy grupy studentek, studentów i artystów wykładowców na poznańskiej uczelni artystycznej. Razem imprezowali, pili, palili, razem flirtowali, wdawali w przelotne romanse, a kilka lat później dziewczyny doszły do wniosku, że zostały wykorzystane przez starszych wykładowców, bo oni zakochali się w innych dziewczynach. Ot i cały dramat.

Te dwa typy kobiet to oczywiście daleko idące uproszczenie problemu, bo ten jest znacznie bardziej skomplikowany, a dotyczy zjawiska nazwanego przez Maszę Potocką postfeminizmem.

Postfeminizm „zapanował w świecie, w którym kobiety wywalczyły już pełnię praw. Nie poszedł jednak w kierunku zachwytu nad wolnością ani w stronę uniwersalnych ambicji, tylko wybrał pole odwetu, atakując nie do końca fair to, co w mężczyźnie pachniało przeszłością. W wielu sprawach pretensje kobiet są zasadne. Niestety posiadanie racji ma dwie twarze. Musi wyrażać się zarówno w treści, jak i w formie. Przeglądając się praktykom postfeminizmu, trudno się zachwycić formą”.



*Razem imprezowali, pili, palili, razem flirtowali,
wdawali się w przelotne romanse,
a kilka lat później dziewczyny doszły do wniosku,
że zostały wykorzystane przez starszych wykładowców*

Głównym napędem postfeministycznych wojowniczek jest zaprawione ekspresją, rozpaczą, uniesieniem lub egzaltacją wypominanie krzywd – pisze dalej Potocka. „Ta waleczność postfeminizmu znalazła najsilniejszy wyraz w ruchu MeToo, opartym na silnych osobowościach przywódczyni natchnionych niemal religijną energią i pasją. Dołączenie do grupy, którą przenika poczucie wspólnej krzywdy, dodaje odwagi i radykalizuje pamięć, dzięki czemu opisy nabierają drastyczności. Nie szkodzi, że często stoją za nimi jedynie odległe wspomnienia sytuacji erotycznych. Skuteczność tych historii zależy od sprawności narracyjnej »ofiary«. Intencją MeToo jest skłonienie kobiet do świadectwa przeciwko mężczyznom i eksponowanie ich zepsucia. Ruch ten zapewne spowoduje rozległe spustoszenia. Kobiety nakręcą swoje krzywdy do poziomu bolesnej egzaltacji i staną się przeczulone na punkcie wszystkiego, co kojarzy się z seksem. Przecież mężczyźni w ich wizjach i opowieściach to przestępcy uzbrojeni w rękę, penis, słowo i spojrzenie. Kobiety w tej walce nabawiają się egzystencjalnej hysterii wobec mężczyzn, a mężczyźni fizycznego i werbalnego lęku przed kobietami”.

Oba te efekty już obserwujemy w Polsce.

Zastanawiam się razem z Maszą, jak to możliwe, że współczesne kobiety o liberalno-lewicowych poglądach zapędzają same siebie w kozi róg.

Przez wieki wmawiano nam, że naszych miejsc intymnych należy chronić i bronić jak niepodległości, bo od ich nietkniętości zależał nasz honor. „Dzisiaj – odpowiada w swoim eseju Potocka – kiedy kobiety nie muszą już być niewinne, intymne miejsca stały się zapalnikami obrazy. Nie tylko nie można dotknąć piersi czy klepnąć w pupę, nie wolno również tych miejsc wskazywać i nazywać. Poziom i ekspresja oburzenia, z jakimi spotykają się te gesty, sugerują niemal gwałt. Za molestowanie może być uznane dłuższe i czulsze wzięcie za rękę, podtrzymanie łokcia czy klepnięcie w kolano. Kobieta stała się niedotykalska. Niewątpliwie za moment, o ile już tak nie jest – sam sposób patrzenia na kobiety będzie uznawany za molestowanie”.

Po dwóch raptem latach od napisania przez Maszę Potocką jej trzech krótkich esejów okazuje się, że w Poznaniu nawet postawienie dziewczynie drinka w knajpie po kilku latach może zostać uznane za zbrodnię. Nie wspominając mówienia komplementów czy, o zgrozo, strzelania w plecy ze stanika. Gdy przeczytałam o tej ostatniej zbrodni któregoś z poznańskich artystów, pomyślałam, że jeśli to ma

być przestępstwo, to z mojego liceum w zasadzie wszystkich chłopców z klasy powinienam wsadzić za to do pierdla! To samo powinienam uczynić za komplementy usłyszone od wykładowców na uniwersytecie, za ich uśmiechy do mnie i puszczenie oczka na uczelnianym korytarzu.

Smutno mi, gdy myślę, że tego typu zwyczajnie sympatyczne gesty ze strony mężczyzn u dzisiejszych studentek wzbudzają trwogę, histerię i niemal traumę. Same siebie tego rodzaju podejściem pozbawiają tego, co w studenckich latach najfajniejsze.

Ale problem nie leży tylko w niezbyt mądrych czy przewrażliwionych studentkach. Masza Potocka, pisząc o MeToo, wskazała również na problem amerykańskich prawników, którzy niezwykle emocjonalnie, wręcz z ojcowskim zapalem angażowali się w zachęcanie kobiet do występowania przed sądem. W Polsce nie mamy jeszcze tego typu aktorów i spektakli w sądach, ale mamy ambitnych dziennikarzy i dziennikarki. W eseju Potockiej wystarczy podstawić pod „prawników” „dziennikarzy”:

„Sprawiają wrażenie, jakby cudzymi rękoma kompensowali sobie własne intymne problemy. Wewnętrzzną niemoc przekładają na cudzą odwetowość w dużym stop-

niu ofiarom zasugerowaną. Dlatego w odniesieniu do nich kusi użycie terminu »impotent mentalny«. To określenie nie oznacza fizycznej impotencji, a jedynie sugeruje, że świat reagujący na seks tak histerycznym lękiem, a nawet wstrętem, jest skazany na impotencję mentalną. Ludzie, których ona dotyka, niemal w każdym pozamałżeńskim akcie płciowym dostrzegają ślad wykorzystywania seksualnego. Najłatwiej mogą je wykazać, kiedy uda im się odpowiednio wpłynąć na ofiarę i wmówić jej traumę, przy okazji krzywdząc ją na całe życie. Istota zainspirowana traumą łatwo staje się współnikiem cudzego oburzenia i podkręca pamięć, równocześnie wypierając wszystko, co było jej zgodą lub głupotą”.

Wypiera również to, co było jej przyjemnością. Wykorzystują to inkwizytorzy i inkwizytorzy seksu, wmawiając kobietom, że seks jest wyłącznie interesem mężczyzn. Kobiety z tego żadnej przyjemności nigdy nie mają.

Same przychodziły do knajpek, same opowiadały na SMS-y, same flirtowały i piły drinki fundowane przez kolegów. W każdej chwili mogły pójść do domu i to prze-rwać. A co do strachu o zawalony egzamin, zawsze mogły pójść do dziekana i poprosić o innego egzaminatora. Z jakiegoś powodu nie zrobiły tego. Może dlatego, że nie było takiego strachu, bo nie było zależności. Teraz mówią, że miały po 20 lat i nie wiedziały, co robią. Jeśli w wieku 20 lat kobiety pozostają nieświadome swoich działań i to ma być ich usprawiedliwieniem, to może nie powinny mieć wtedy jeszcze praw wyborczych? Może wiek dojrzałości kobiet należałoby, zgodnie z narracją postfeministek, przesunąć do trzydziestki? Jeśli dopiero koło trzydziestki dociera do nich prosty fakt, że ich działania mają również konsekwencje.

To typowa narracja inkwizytorów i inkwizytoerek seksu. Kobieta jest zawsze dziecinna, nieświadoma tego, co się dzieje, zagubiona i zmanipulowana przez przebiegłego samca ofiarą. Dla prawdziwej feministki traktowanie kobiety jak wiecznie zamulonej, głupiej gęsi powinno być – i dla mnie jest – oburzające. Ale to, co mnie najbardziej martwi w tego typu działaniach tych nierozsądnych kobiet, to niszczenie wiarygodności prawdziwych ofiar gwałtów. Ofiar rzeczywistej agresji wobec kobiet.

Nie wiem, czy te kobiety z Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu same się nakręciły, czy ktoś im w tym pomaga. Nie wiem, czy kieruje nimi faktyczne poczucie mniej lub bardziej urojonej krzywdy, czy zawiść o sukcesy artystyczne starszych kolegów i o to, że układają sobie życie z innymi kobietami. Z tekstu Renaty Kim wynika, że po trochu jedno i drugie.

Wiem natomiast, że nie chcę i nie pozwolę sobie odbierać inkwizytorom i inkwizytorom seksu przyjemnych wspomnień przygód z czasów studenckich tylko dlatego, że nie zakończyły się one tak, jak chciałam. Wiem też, że nie pozwolę na to pseudofeministkom, siostrzyczkom, które niby to gotowe są rzucić się do gardła każdemu samcowi w mojej obronie, a w rzeczywistości chcą podbudować swoje ego i zemścić się moimi rękami na innym facecie, skoro na swoim już nie mogą.

I nie pozwolę im odebrać sobie elementarnej godności dojrzałej osoby, która sama odpowiada za swoje relacje z mężczyznami. Nawet wtedy, gdy była bardzo młoda. ●

ROSÓŁ Z PERLICZKI TO ZAMIAŁO

Oto polski występ na EURO 2024 od kuchni.

Katarzyna Staszak

Polska reprezentacja w czasie mistrzostw Europy mieszkała w hotelu Sheraton Pelikan w Hanowerze. Nazwa nawiązuje do działającej tu kiedyś fabryki piór wiecznych.

Jednak to nie hotel decyduje, jak wygląda menu naszych piłkarzy – mają swojego szefa kuchni i dietetyka.

Od 18 lat dla polskiej reprezentacji gotuje Tomasz Leśniak, właściciel dwóch restauracji w Krakowie – Nota Resto i Bistrot Bene. Jego zastępcą jest Radosław Marcińczyk, także na co dzień pracujący w Krakowie.

A dietetyk Wojciech Zep od trzech lat pilnuje, by w diecie polskich piłkarzy była odpowiednia ilość białka, węglowodanów, zdrowych tłuszczów.

Szef kucharz i dietetyk reprezentacji zdradzili nam, jak wyglądają piłkarskie posiłki, co zawodnicy jedzą w dni meczowe i treningowe i co dostali w szatni po pierwszym meczu EURO 2024. Wiemy nawet, jak często piłkarze stają na wadze.

Przed każdym meczem: rosół z perliczki

Perliczka w smaku przypomina kurę rosółową, ale jej mięso jest chudsze. – Gotuję rosół, który smakiem przywołuje wspomnienia z dzieciństwa. To od kilkunastu lat nasze tradycyjne danie przedmeczowe – mówi Leśniak.

Nasi piłkarze jedzą więc rosół przed każdym meczem. Na drugie danie w dni meczowe do wyboru jest makaron, czarny ryż lub bataty, do tego gotowane udka z perliczki, grillowana pierś z kurczaka, polędwica z dorsza. Makaron można zjeść z sosem pomidorowym, bolognese lub pesto. Na obiad jest też bar salatkowy i gotowane warzywa.

– Przed meczem ograniczamy ilość tłuszczu, bo może zwiększać lepkość krwi. Serce musi się wówczas mocniej napracować, żeby pompować krew do całego organizmu – tłumaczy Zep.

Gromadzenie paliwa, czyli więcej węglowodanów

Dzień przed meczem zaczyna się ładowanie węglowodanowe. Zawodnicy zjadają wtedy więcej makaronów, ryżu, kasz, dań mącznych czy z czerwonymi ziemniakami, żeby podnieść zapasy glikogenu w mięśniach. To paliwo, które organizm zużywa w czasie wysiłku.

– Na śniadanie w dniu meczu są placuszki, naleśniki, owsianki, gryczanki czy

jaglanki z owocami. Każda osoba uprawiająca sport wie, że przed intensywnym wysiłkiem nie powinna eksperymentować z jedzeniem, trzeba jeść to, po czym najlepiej się czujemy. Układ pokarmowy powinien sobie poradzić z lekkim posiłkiem zjedzonym trzy, trzy i pół godziny przed meczem, ale reakcja organizmu na wysiłek to kwestia indywidualna. Układ nerwowy spowalnia lub przyspiesza pracę jelit. Są zawodnicy, którzy przed meczem jedzą nieco mniej, bo wtedy czują się lepiej. W szatni, przed występem i w czasie przerwy, piłkarze mają do dyspozycji żele i batoniki energetyczne oraz owoce – mówi Zep.

Dietetyk pilnuje, żeby piłkarze zjedli przed meczem więcej węglowodanów: – Stoję przy bufecie i doradzam: proszę dołożyć sobie więcej owoców i placuszki; proszę to jeszcze polać miodem albo syropem z agawy.

Po meczu dostawa do szatni

Jedzenie po intensywnym wysiłku służy regeneracji. Po meczu z Holandią przejazd do hotelu zajął naszym piłkarzom ponad dwie godziny, dlatego dostali jedzenie już w szatni. Każdy zabrał swoją porcję na drogę. – Nie wszyscy mają ochotę na jedzenie po meczu, a nam zależy, żeby jednak zjedli posiłek regeneracyjny. Pomyśleliśmy z Tomkiem, że możemy podać sushi. Zawodnicy dawno tego dania nie widzieli, to mogło ich zachęcić do jedzenia – zdradza Zep.

Więcej białka

Piłkarze, jak my wszyscy, powinni mieć zbilansowaną dietę, pełną warzyw, owoców, naturalnych produktów. – Podstawowa różnica między dietą zawodowego sportowca a dietą rekomendowaną dla wszystkich polega na ilości białka. Chodzi o zabezpieczenie mięśni przed kontuzjami, o które w pilce nożnej łatwo, bo gra wymaga hamowań i przyspieszeń. Białka jest więc w diecie zawodników trochę więcej: od 1,6 do 2 g białka na kilogram masy ciała – opisuje Zep.

Jedząc arbuza, nie warto
wypluwać pestek, bo to
dietetyczne złoto

• 14 czerwca, Hanower, trening reprezentacji Polski w ramach Euro 2024 FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI /

AGENCJA WYBORCZA.PL

Białko musi być w każdym posiłku, bo nasz organizm nie może zrobić z niego pasów. – Na śniadanie mamy jajka w różnej formie i placuszki proteinowe. Na obiad i kolację ryby oraz białe mięso – wymienia Leśniak.

Zawsze w formie bufetu

Każdy posiłek na zgrupowaniach i w czasie EURO 2024 piłkarze komponują samodzielnie, z dań serwowanych w formie bufetu. – Piłkarze to profesjonalści, wiedzą, co zjeść, żeby dobrze się czuć. Chcemy dać im wybór, bo każdy ma swoje preferencje. Część zawodników nie je glutenu, dlatego makarony podajemy także w wersji bezglutenowej – mówi Zep.

Oprócz śniadań, obiadów i kolacji, kucharz reprezentacji szykuje jeszcze bufet na przerwy kawowe i snacki wieczorne. – Przygotowane przekąski mają też wymiar społeczny, zawodnicy wiedzą, że mogą się tu spotkać, usiąść i porozmawiać

przy napojach, coś razem przegryźć. To czas na zacieśnianie relacji – tłumaczy dietetyk reprezentacji.

Jako przekąski czekają na zawodników owoce, poza tym np. kasza gryczana gotowana na mleku ryżowym z dodatkiem agawy, ryż na mleku migdałowym, galaretki na naturalnym musie z agawą, jogurty proteinowe.

Nowe i tradycyjne

– Jedzenie w sporcie ma kluczowe znaczenie, ale przede wszystkim ma być smaczne. Dbam o element zaskoczenia i różnorodność. W menu są więc dania z kuchni azjatyckiej, ale także tradycyjne polskie smaki jak pulpety drobiowe i groszek z marchewką – mówi Leśniak.

Piłkarze stają na wadze

– Staramy się kontrolować wagę zawodników wyródkowo, a raz w tygodniu jest zaplanowana kontrola dla wszystkich. Gdy masa ciała jest standardowa, zawodnik nie ma specjalnych zaleceń. Jeśli zawodnik zaczyna ważyć więcej albo mniej trenuje, bo bardziej skupia się na pracy z fizjoterapeutą, to na bieżąco podpowiadam, co powinien nałożyć na talerz. Staję przy bufecie i pomagam przy wybieraniu dań – opowiada Zep.

Na początku zgrupowania wszyscy zawodnicy mają mierzone poziom tkanki tłuszczowej. Tradycyjnie, nie z pomocą nowoczesnych elektronicznych urządzeń określających procentowy skład ciała. – Wolę mierzyć fałdy skórno-tłuszczowe. Trudno jest tu o błąd. Urządzenia elektro-





niczne bazujące na bioimpedancji, które określają skład ciała, często błędnie reagują na odwodnienie organizmu. Gdy mięśnie są trochę odwodnione, to procentowa zawartość tkanki tłuszczowej okaże się wyższa. Dlatego w kolejnych pomiarach można zauważyć duże różnice. Trudno to wytłumaczyć zawodnikom i przestają wierzyć takim pomiarom – wyjaśnia Zep.

W Katarze była mięta

W Niemczech warunki pogodowe nie były ekstremalne, jak np. podczas EURO 2020 na meczu w Sankt Petersburgu, gdzie wysoka temperatura łączyła się z wysoką wilgotnością. W Katarze było gorąco, więc dietetyk reprezentacji dodawał do napojów miętę. – Zawarty w mięcie mentol ułatwia oddychanie, zmniejsza odczuwanie ciepła, poprawia termoregulację. Robiłem zawodnikom soczki, które zawierały bardzo dużo mięty – wspomina Zep.

Dietetyk reprezentacji śledzi doniesienia naukowe i trendy w dietetyce sportowej. Na topie jest sok z wiśni, arbuza i borówek oraz jedzenie kiwi, bo te owoce mają silne właściwości regeneracyjne. – Powtarzam, że jedząc arbuza, nie warto wypłukać pestek, bo to dietetyczne złoto – mówi Zep.

To porada, z której łatwo możemy skorzystać wszyscy.

Można też zrobić ryżankę lub orkiszankę według przepisów szefa kuchni reprezentacji Polski ●

Ryżanka z mlekiem kokosowym, nasionami, siemieniem lnianym, orzeszkami pini i owocami

4 PORCJE
Czas przygotowania: 15 minut

- SKŁADNIKI:
- 2 szklanki płatków ryżowych błyskawicznych
 - 1 szklanka mleka kokosowego
 - 1 szklanka wody
 - miód do smaku
 - 1 łyżka siemienia lnianego
 - 2 łyżki prażonych orzeszków pini
 - 1 łyżka płatków migdałowych
 - 1 łyżka pestek dyni
 - 1 łyżka sezamu
 - 1 łyżka ziaren słonecznika
 - 2 łyżki suszonej żurawiny
 - świeże owoce sezonowe: borówki, maliny, jeżyny, porzeczki lub truskawki

W rondlu gotujemy wodę. Na wrzącą wodę

wysypujemy płatki ryżowe i gotujemy na wolnym ogniu, cały czas mieszając. Gdy płatki wchłoną całą wodę, dolewamy mleka kokosowego i dodajemy wszystkie sypkie składniki. Całość mieszamy, doprowadzamy do smaku miodem i gotujemy na wolnym ogniu przez kilka minut do miękkości płatków. Tak przygotowaną ryżankę podajemy ze świeżymi sezonowymi owocami. ●

Więcej o diecie piłkarzy można przeczytać w książkach dietetyka i kucharza reprezentacji: „Foodball. Żywienie i suplementacja piłkarzy” oraz „Biało-czerwoni na talerzu”.

Aromatyczna orkiszanka

4 PORCJE
Czas przygotowania: 30 minut
Czas oczekiwania: 2 godziny

- SKŁADNIKI:
- 2 szklanki płatków orkiszowych
 - 2-3 szklanki wody
 - 1 cały cynamon (kora)
 - 1 gwiazdka anyżu
 - 1 kardamon cały
 - miód do smaku
 - 1 garść suszonej żurawiny
 - 1 łyżka suszonych jagód goi

- 1 łyżka pokrojonych w kostkę suszonych jabłek
- 1 łyżka pokrojonych w kostkę suszonych moreli

Do rondla wlewamy dwie szklanki wody, dodajemy cynamon, anyż, kardamon i łyżkę miodu. Gotujemy na wolnym ogniu przez 15 minut. Na wrzącą wodę wysypujemy płatki orkiszowe, doprowadzamy do zagotowania i odstawiamy na bok by zmiękły (Tomasz Leśniak: – Szykuję płat-

ki wieczorem, by dobrze namokły i przeszły do rana aromatycznym smakiem). Można użyć płatków w wersji błyskawicznej lub gotować płatki do miękkości. Przed podaniem płatki ponownie gotujemy na wolnym ogniu, dodajemy wszystkie owoce i miód, dolewamy wody i gotujemy przez około 10-15 minut. Wyciągamy cynamon, anyż i kardamon. Podajemy orkiszankę samą lub z dodatkiem świeżych owoców sezonowych. ●

wyborcza
magazyn wyborczej

WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.

Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl

REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA:
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA:
PŁ: Roman Imielski;

ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielitński;
MAGAZYN-KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Igor Rakowski-Kłos
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebioda, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Marta Błażejowska, Dominik Gajda (Ale Historia)
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11

DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU:
Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

Bliżej

Z MALARZEM
ŁUKASZEM STOKŁOSĄ*
ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**



Oglądając filmy porno, wybierałem kadry ze scenami, które kojarzyły mi się z malarstwem barokowym czy rokokowym.

WOJCIECH SZOT: Z czego żyje malarz? ŁUKASZ STOKŁOSA: Ze sprzedaży obrazów.

Malując, myślisz o tym, czy obraz się sprzeda?

– Staram się tego unikać. To niebezpieczne, może wręcz paraliżować. Najważniejsze, by obraz był wysokiej jakości, by tworzył jakąś wartość. W końcu sygnuję go swoim nazwiskiem. Zawsze muszę być przekonany, że bez wyrzutów sumienia mogę się pod nim podpisać.

Mam szczęście, że niemal od początku współpracuję z galerią: pierwsza była galeria Zderzak, a od kilku lat współpracuję z Krupa Gallery. To galeria dba, by obrazy trafiały do nabywców, ale ważne jest też osobiste zaangażowanie – spotkanie się z ludźmi, budowanie kontaktów.

Dyplom obroniłeś w 2010 r. W tym samym roku twoje obrazy pokazano na wystawie „Ars Homo Erotica” w Muzeum Narodowym w Warszawie. Po raz pierwszy publiczność mogła zobaczyć taki zestaw dzieł. Nie bałeś się, że pokazywanie dzieł w „gejowskim” kontekście utrudni ci start?

– Nie. Wystawę pokazywało Muzeum Narodowe. To, że taka placówka angażuje się w prezentowanie sztuki osób nienormatywnych, dawało nadzieję na duże zmiany. Byłem trochę naiwny, myślałem, że teraz to już tylko do przodu, za kilka lat wszystko się zmieni na dobre. Tak się nie stało.

Oczywiście pytano mnie, czy nie boję się zaszukania jako artysta gejowski, bo

wtedy jeszcze nie mówiło się często o sztuce queerowej. Nie miałem takich obaw.

To był ważny moment? Obrazy nagle zaczęły się lepiej sprzedawać?

– Ważny ideowo, ale w praktyce okazało się, że to tak nie działa.

A jak działa?

– Po prostu trzeba pracować. Rzadko zdarza się artystom, że z dnia na dzień zmienia się ich pozycja na rynku.

Co pokazałeś na „Ars Homo Erotica”?

– Obrazy przedstawiające sceny grupowe z filmów pornograficznych. Olej na płótnie, tradycyjna technika. W małych formatach.

Po co malować sceny pornograficzne?

– Oglądając filmy porno, wybierałem kadry ze scenami, które kojarzyły mi się z malarstwem barokowym czy rokokowym, na przykład z obrazami François Bouchera. To przewrotne, campowe spojrzenie – nagle okazuje się, że nie oglądasz już pornografii, ale obrazy, które mają wartość estetyczną. Ich kompozycja i barwa przywołuje inny porządek.

Na uczelni pozwalali ci malować „takie” rzeczy?

– Nigdy nie było z tym problemu. Nie dano mi do zrozumienia, że w moich wyborach jest coś nie tak. Mój dyplom dotyczył św. Sebastiana w kulturze i sztuce, czyli klasycznego motywu wykorzystywanego od wieków przez sztukę zahaczającą o motywy homoerotyczne.

Jakie masz oczekiwania wobec przyszłości? Podbijesz świat, będziesz wystawiał w największych galeriach?

– Nie projektowałem przyszłości. Może to było naiwne, ale działałem na zasadzie „jakoś to będzie”. Będę robił swoje i zobaczmy, czy mi się uda.

Jak zmieniała się sztuka, którą tworzysz?

– Jeśli weźmiesz moje najnowsze obrazy i zestawisz je z tymi z 2010 r., to oczywiście różnica jest spora, ale dla mnie to płynny proces. Nie było wielkich rewolucji. Pojawiały się nowe tematy, inspiracje. Z historii znamy twórców, którzy radykalnie zmieniali to, jak malują, ale są też tacy, jak na przykład Paul Cézanne, których sztuka była ciągłą ewolucją.

Co było ważne w tym procesie?

– Wiele zawdzięczam filmom Viscontiego. Po raz pierwszy oglądałem je w liceum. Kilka lat później wróciłem do nich i namalowałem portret księcia Ottona z filmu „Ludwig”. To zapoczątkowało serię portretów, a właściwie portretów podwójnych, na których widzimy zarówno aktora, jak i postać, w którą się wciela. Ważne było odwiedzenie Wersalu. Uświadomiłem sobie, że pod dekoracją, złotem, dziełami sztuki kryją się historie. Taki budynek jest nie tylko połączoną szkatułą, ale też miejscem, w którym żyli ludzie o dość mrocznych biografiiach. Dzisiaj Wersal jest miejscem jak z bajki Disneya. A przecież to, co się w nim działo, żadną bajką nie jest.

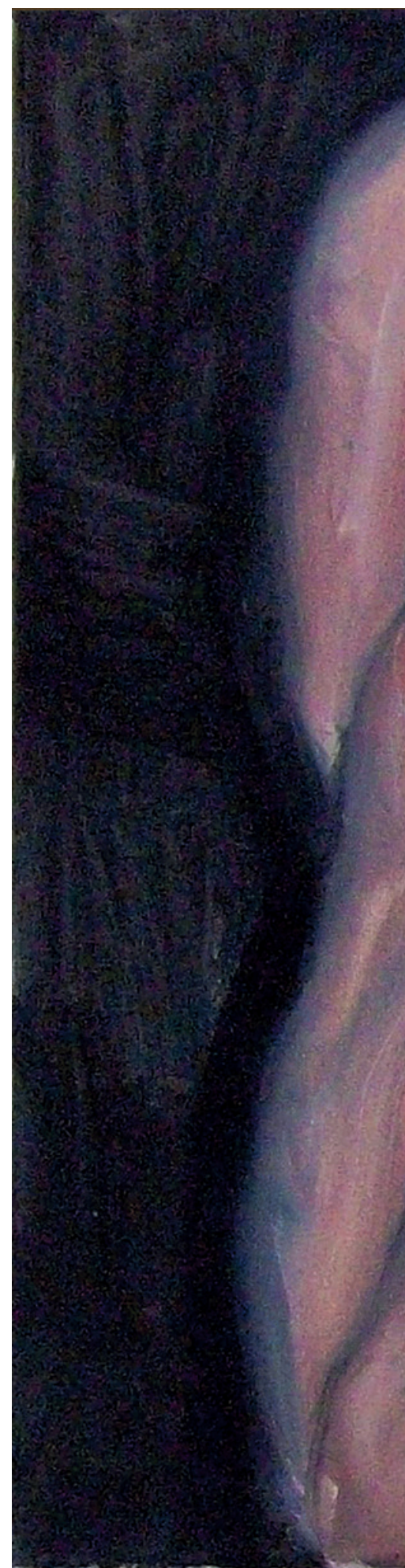
W sztuce szukam odpowiedzi na pytanie o to, jaki wpływ na nas dzisiaj mają historyczne dekoracje. Po co nam odbudowa Pałacu Saskiego? Co chcemy tym samym opowiedzieć sobie o naszej przeszłości?

Podoba ci się pomysł odbudowy Pałacu?

– Nie. To wydmuszka pozbawiona sensu.

Które wystawy były dla ciebie szczególnie ważne?

– Na pewno pierwsza indywidualna wystawa w galerii Zderzak, „Zimowa opowieść” w 2011 r. W 2023 r. miałem wystawę w Nowym Jorku. Zorganizowała ją inicjatywa Amity prowadzona przez Jeda Mocha. Przewidywałem, że tegoroczny „Sol victus”, pokaz dwóch moich obrazów w Sali pod Pta-



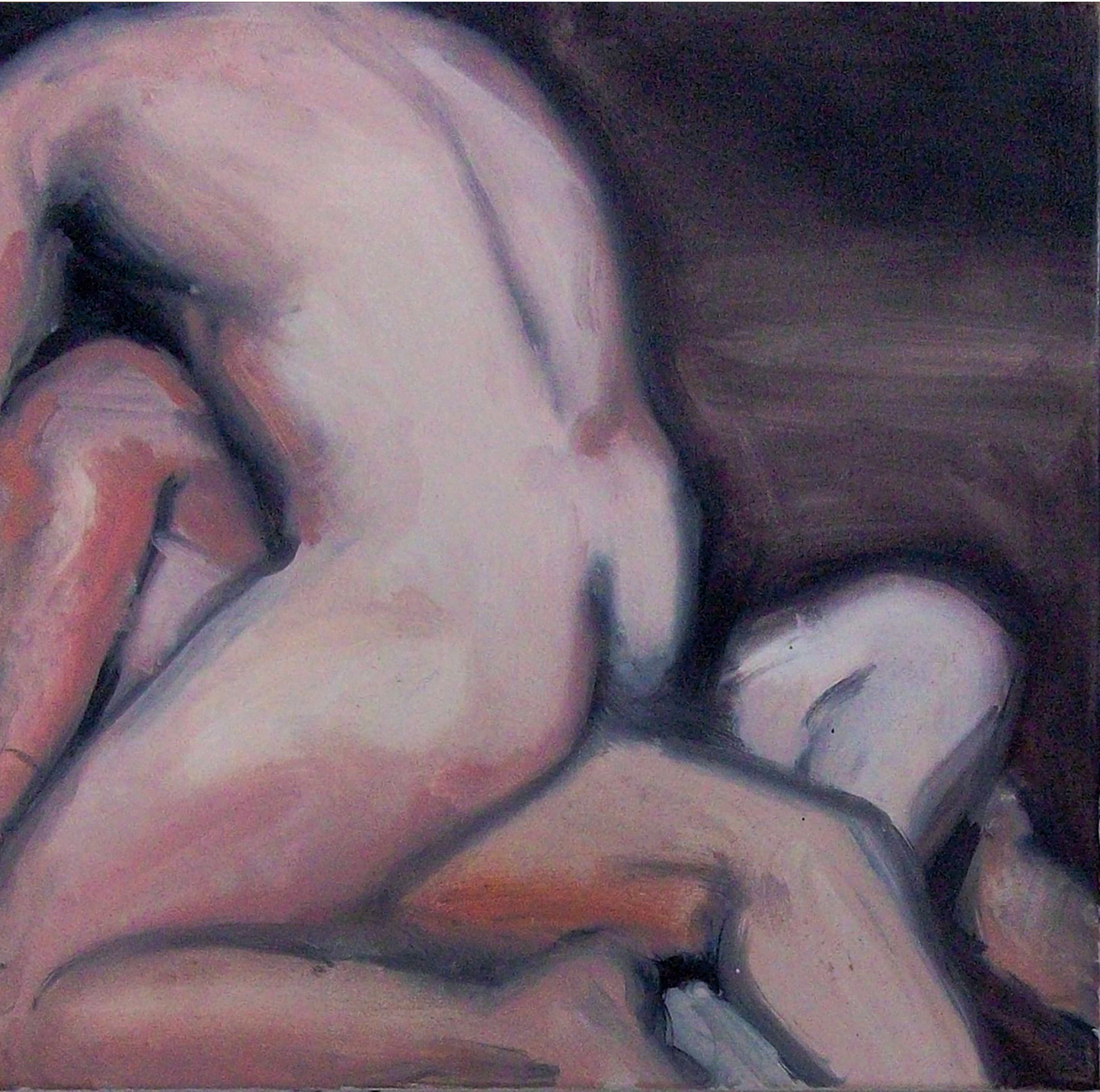
- „Steven Carrington, Al Corley”, 2020
- „Sarah, Meryl Streep”
- „Rutger Hauer, Roy Batty”, 2022
- bez tytułu, 2010

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE (4)

kami na Wawelu. Ciekawe było również zobaczyć swoje prace na wystawie „Niepokój przychodzi o zmierzchu” w Zachęcie.

Wystawa, która miała pokazać sztukę młodego pokolenia. Nie da się ukryć, że byłeś jednym ze starszych jej uczestników.

– Te dzieła łączyła zmiana perspektywy. Zamiast skupiać się na społeczeństwie, skupiamy się na jednostkach, doceniamy indywidualność. Pozornie to sztuka, która nie jest polityczna. Nie mamy wspólnych celów, nie musimy razem walczyć o to samo. Walczymy o siebie. Jednocześnie to



Gdybym wiedział, że mój obraz ma trafić do kolekcji osoby, z której etyką diametralnie się nie zgadzam, **sprzeciwiłbym się**

wszystko pozbawione jest egoizmu, wynika raczej z empatii i troski. Troska wobec siebie i najbliższych sprawia, że troszczę się o to, co mnie otacza. W efekcie też chcę doprowadzić do zmiany.

Dużo się mówi o wpływie mediów społecznościowych na rynek sztuki, tym, że maluje się „pod insta”. Niektórzy artyści chętnie pokazują swój proces artystyczny, to, jak – i w czym – malują. Czujesz presję na taką autopromocję?

– Nie każdy na szczęście potrzebuje 100 tysięcy followersów. W tym, czym się zajmuję, nie muszę być celebrytą. Ta-

kie podejście daje mi spokój. Zajmuję się pracą i oczywiście zapraszam odbiorców i odbiorczynie do zapoznania się z jej efektami, ale chciałbym, żeby to oni przyszli do mnie. To jest zaproszenie publiczności do mojego świata, na moich zasadach.

Gdzie pracujesz?

– W pracowni, która jest też moim mieszkaniem.

Godziny pracy?

– Właściwie cały czas. Malowanie jest efektem doświadczania świata. Na płótnie maluję

ję przepuszczoną przez sito rzeczywistość. Samo malowanie nie zajmuje dużo czasu.

Ile obrazów malujesz rocznie?

– Około 30. Wybieram raczej małe formaty, bo zależy mi na kameralności.

Wyjaśnij.

– Mniejszy format pozwala odbiorcy być bliżej obiektu. Lubię, gdy dystans między dziełem a odbiorcą jest jak najmniejszy. Nawet gdy dzieje się to w galerii.

Ile kosztują twoje obrazy?

– To pytanie do galerii.

A ile na pewno nie kosztują?

– Obrazy olejne poniżej 10 tys. zł.

Każdy może je kupić?

– Nie. Gdybym wiedział, że mój obraz ma trafić do kolekcji osoby, z której etyką diametralnie się nie zgadzam, sprzeciwiłbym się. To dla mnie ważne, choć wiadomo, że nie jest łatwo śledzić takie sprawy.

Jakie są koszty materiału?

– Podobrazie kosztuje około 100 zł. Farby olejne nie są drogie. Tuba kosztuje ok. 40 zł. Ostatnio w sklepie plastycznym wydałem około 1000 zł.



Malarz musi czytać, chodzić i widzieć

Ile farby zużywasz na obraz?

– Moja technika jest dość laserunkowa, więc jedna półlitrowa tuba farby może wystarczyć mi nawet na rok. Paleta kolorów, którą się posługuję, jest dosyć wąska. Korzystam z bieli ołowiowej, czerni słoniowej, żółcienia, cynobru ciemnego i błękitu pruskiego, to zestaw bazowy.

To mogą być naprawdę niewielkie koszty, ale żeby malować, muszę żyć. Potrzebuję podróży, czyli w praktyce wyjazdów studyjnych – jeśli chcę o czymś opowiedzieć, muszę to zobaczyć. Czasem jest też w drugiej stronie – muszę zobaczyć coś, co może stanie się inspiracją do obrazu. Potrzebuję też książek.

Malarz musi czytać, chodzić i widzieć.

Dużym kosztem w budżecie jest ubezpieczenie. Wciąż nie udało się stworzyć systemu ubezpieczeń dostosowanego do potrzeb osób zajmujących się sztukami wizualnymi. Były jakieś próby uregulowania tej kwestii, ale finalnie nic się nie wydarzyło. To na pewno zadanie dla obecnego rządu.

Ile ze sprzedanego obrazu zabiera galeria?

– Połowę. Od razu chciałbym zaznaczyć, że koszt prowadzenia galerii jest ogromny. To nie tylko robienie wystaw, udział w targach sztuki, promowanie artystów, ale też magazynowanie ich prac. Dzieła, zwłaszcza obrazy czy rysunki, potrzebują odpowiednich warunków.

Robisz coś jeszcze poza malarstwem?

– Kolaże filmowe, tzw. found footage. Od wielu lat pracuję na serialu „Dynastia”.

Co to znaczy: „pracuję na serialu”?

– Serial „Dynastia” jest jedną z pierwszych rzeczy, jakie pamiętam z telewizji. To była taka disnejowska opowieść o kapitalizmie. W Polsce oglądaliśmy ją jako zapowiedź tego, jak nasze życie może wyglądać. Z wielkimi nadziejami na to, że będziemy Carringtono-



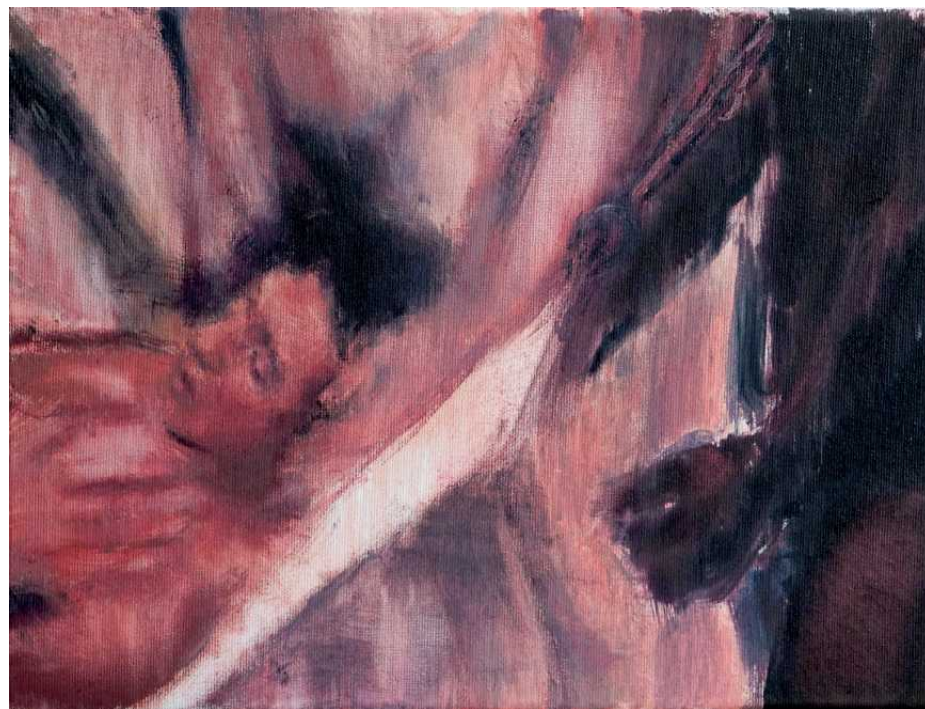
• Łukasz Stokłosa w swojej pracowni malarskiej w Krakowie

FOT. KONRAD KOZŁOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

• „Wersal”, 2018

• bez tytułu, 2021

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE (2)



nami, będziemy jeść kawior i pić szampan. Szybko się okazało, że nie dla wszystkich kapitalizm tak wygląda.

Oglądanie „Dynastii” było czymś magicznym. Krystle rzucająca talerzami, Alexis, kostiumy, scenografie... Do tego Steven, jedna z pierwszych w telewizji pozytywnych gejowskich postaci. Właściwie bardziej queerowa niż gejowska, bo jego tożsamość jest raczej płynna.

W 2011 r. postanowiłem wrócić do serialu. To zainspirowało serię wideo, „found footage” wykorzystujących kadry z niego. W 2019 r. pokazałem je po raz pierwszy, w 2021 z Krupa Gallery zrobiłem wystawę „Cliffhanger”. Kontynuuję pracę nad tym cyklem.

Na czym polega „found footage”?

– To montowanie na nowo scen z filmów. Przykładowo: w lutym pokazywałem w Dallas na dwóch ekranach scenę ze Stevenem jadącym na koniu. Zapętlilem ją i dodałem – na jednym ekranie – lekkie opóźnienie. W efekcie widz ma wrażenie, że Steven ściga sam siebie. To instalacja o tym, że poszukiwanie własnej tożsamości jest też czymś w rodzaju polowania na siebie.

Ile razy widziałeś „Dynastię”?

– Trzy razy, teraz oglądam po raz czwarty.

Nie nudzi ci się?

– „Dynastia” nigdy się nie nudzi. ●

Łukasz Stokłosa

• Jest jednym z najciekawszych polskich malarzy pokolenia urodzonego w latach 80. XX w. Ukończył krakowską ASP w pracowni prof. Jacka Waltosia. W 2017 r. „The Huffington Post” umieścił go – obok m.in. Ewy Juszkiewicz – na liście „10 malarzy, którzy odnawiają malarstwo w XXI wieku”.

Eury

„Reprezentacja z podniesioną głową liże rany” – oświadczył komentator. Jest to szalenie trudna figura choreo-graficzna.



Michał Rusinek

W ostatnich dniach zewsząd dobiegają nas odgłosy Euro, czyli mistrzostw Europy w piłce nożnej. A właściwie nie tyle samych mistrzostw, ile ich komentarzy. Zawsze podziwiam komentatorów sportowych, bo zwykle mają oni do sportu stosunek wysoce emocjonalny, a emocje powodują, że nasze zmagania z językiem stają się szczególnym wyzwaniem: najchętniej ograniczalibyśmy się do okrzyków lub inwektyw. Komentatorowi – nie wypada. Komentator musi emocje powściągnąć. A to niełatwe.

Sporym wyzwaniem w takim stanie są wyrazy nieodmienne, obcego pochodzenia, które polski podekscytowany komentator ma ochotę odmienić, żeby je udomowić. Mogliśmy więc usłyszeć, że pewnemu zawodnikowi „kontuzje uniemożliwiły [...] występ w poprzednich Eurach”. W nurcie polonizacji sportowego słownictwa, zazwyczaj zapożyczonego, pozostaje komentator, który postanowił posłużyć się rodzimym zgrubieniem słowa „mecz”: „No, to zrobiło się nam takie małe meczycho”. Mimo że wyraz ten pochodzi z języka angielskiego („match”), to przecież żaden Anglik nie byłby w stanie go zgrubić, mamy więc – przynajmniej – językową wyższość nad Anglikami.

Emocje wygrywają też z elementarną logiką, zwłaszcza jeśli komentator próbuje zracjonalizować fakt porażki drużyny, której sam kibicuje: „Styl nie jest ważny, ważne są wyniki. Tych nie mamy. Ale za to mamy styl, a to jest najważniejsze”. Chyba że w ostatnim zdaniu chodziło o garderobę

naszego selekcjonera. „Mam takie przesłanie do naszych zawodników: dajcie z siebie minimum, które będzie maksimum”; nie wiem, czy to przesłanie dotarło do odbiorców, ale obawiam się, że nawet gdyby dotarło, to nie wiedzieliby, o co w nim chodzi. W języku komentatorów stopniowalne stają się czynności i stany, które zwykle stopniowaniu nie podlegają: „Sané ze zbyt dużą premedytacją szuka piłki” lub: „To jest bramkarz, który trochę zastyga”. Można też się zagubić w meandrach metonimii: „Gwizdek jest – zginął tutaj w tłumie dopingu”. Nie chodzi przecież o zgubienie gwizdka, ale o zagłuszenie jego dźwięku wrzaskami kibiców.

Z porażki, jak się okazało, również można być dumnym („To nie jest porażka, której powinniśmy się wstydić”), co nie powinno dziwić w kraju, w którym do niedawna na liście lektur obowiązkowych figurowała nowela Elizy Orzeszkowej „Gloria victis”: „Reprezentacja z podniesioną głową liże rany” – oświadczył komentator. Jest to szalenie trudna figura choreograficzna, co także należy docenić. Komentatorzy powinni uważać nie tylko na zestawienia niekompatybilnych metafor, ale i na metafory pojedyncze, na przykład: „Nie widać w tej drużynie żadnych zarysowań”. Pomijając nieudany przyimek (powinno być raczej „na”), zauważyć należy, że komentator ten postrzega piłkarskie drużyny jako – zapewne ścigające się ze sobą – sportowe samochody. Poniekąd słusznie, ale każdy zawodnik ma własny. „To jest niewdzięczny kawałek chleba” – to kontaminacja dwóch frazeologizmów, bo kawałek chleba zwykle bywa „ciężki”, a „niewdzięczna” bywa praca. W przypadku piłkarzy przynajmniej nieźle płatna (zob.

samochody). „Myślałem, że to będzie zawodnik, który da wyraz twarzy drużynie” – to chyba także podobna kontaminacja fraz: „dać czemuś wyraz” i „być twarzą czegoś”. Nie ma się zatem co dziwić, że rzeczonemu zawodnikowi tajemnicza sztuka dawania twarzy się nie powiodła. „Gol czasami bardzo często zmienia [coś] w głowach piłkarzy”; w głowach kibiców i komentatorów również.

Skoro jesteśmy przy twarzy, to nie może zabraknąć ust: „Mają okazję, żeby wszystkim zamknąć usta jakąś końcówką”; mam nadzieję, że chodziło tu o końcówkę meczu, a nie jakąś część ciała. Przy okazji zwróćmy uwagę na metaforę stomatologiczną, na przykład: „Cud, że Gruzini przegryźli początek meczu” (może chodziło o „rozgryzienie”), lub: „Widać taką bezradność, nie widać takiego zęba”. Wydaje się, że chodziło o „pazu”, który pod pewnymi względami przypomina ząb, musiała więc tu się wmieszać podświadomość komentatora. Ryzykownie zabrzmiało zdanie, a ściślej pierwsza połowa zdania: „Hiszpania obnażyła Włochów w każdym elemencie piłkarskiego rzemiosła”. Podobnie jak okrzyk: „Jak ciężko jest przenieść ciężar gry na połowę rywala!”, czy fraza: „Widzimy ten zimny finisz kapitana reprezentacji Anglii”, przynosząca na myśl stereotypy dotyczące życia intymnego mieszkańców Wielkiej Brytanii.

Najważniejszą częścią ciała piłkarza są nogi (w przypadku bramkarza – także ręce). Jest ich na boisku sporo, bo (nie licząc bramkarzy) aż 20 w każdej drużynie. Nie ma się więc co dziwić komentatorowi, który powiedział, że „piłka ugrzęzła w gąszczu nóg obrońców”. Dobry komentator potrafi po nodze rozpoznać zawodnika: „Twarzy

nie zobaczyłem, ale zobaczyłem nogę i już wiedziałem, o kogo chodzi”, a także komentuje piłkarskie nogi, bywa, że stylem archaicznym, nieomal biblijnym: „A lewa jego noga – niesamowita!”, a bywa, że zwyczajnym: „Dla Nicoli, dla zawodnika z lewą nogą, idealnie”. Choć rodzi się pytanie, czy byłoby równie idealnie, gdyby Nicola był zawodnikiem z prawą nogą. Trudno zgadnąć, co znaczy zdanie: „Budimir jest bardziej żywotny na boisku”? Czy to, że jego żywotność poza boiskiem spada? Może to i dobrze, ale trzeba by zapytać rodzinę.

Ukojenie zszarganych nerwów znajdują komentatorzy w literaturze i historii, na przykład: „Umówmy się, [Gruzja] jest to jeszcze totalny Kopciuszek” (czy chodzi o gubienie obuwiu sportowego na murawie?), lub: „Chiesa po zakończeniu kariery chce być naukowcem, a w zasadzie astronomem. Na całe szczęście od czasów Giordana Bruna we Włoszech astronomów traktuje się łagodniej”. Czyli – nie pali się na stosie. Żart żartem, ale oddychamy z ulgą.

Nie wiem, czy wciąż są radiowe relacje z rozgrywek piłkarskich, ale zapewne takich wyłącznie radiowych jest niewiele, bo przecież teraz nawet radio korzysta z kamery. Współcześni kibice mają już więc małe szanse usłyszeć frazę, którą ratowali się radiowi komentatorzy, kiedy emocje nie pozwalały im na chłodno komentować tego, co działo się na boisku: „Szkoda, że państwo tego nie widzą!”. No, szkoda.

(Jako że nie jestem kibicem, przy pisaniu tego felietonu korzystałem ze zbiorów prof. Aleksandra Madydy oraz innych znanych z mediów społecznościowych, którym dziękuję za uprzejmość i gratuluję wytrwałości). ●

Styl nie jest ważny, ważne są wyniki.

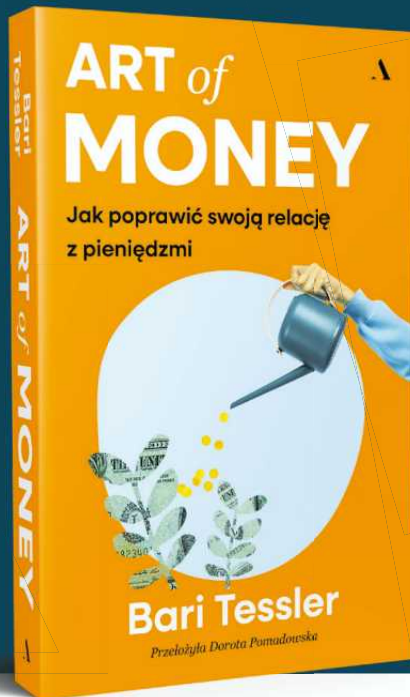
Tych nie mamy. Ale za to mamy styl, a to jest najważniejsze

Kraj/34321460

INSPIRUJĄCE NARZĘDZIA
I PRAKTYKI,
KTÓRE ODMIENIAJĄ

*twoją relację
z pieniędzmi*

Czy jedną z najtrudniejszych relacji w twoim życiu jest ta, którą masz z pieniędzmi? Czy rozmawiasz o wszystkim, poza pieniędzmi? Czy podejmujesz decyzje zakupowe kierując się emocjami, a nie swoim budżetem albo długoterminowymi celami? Bari Tessler przybywa Ci z pomocą. „Art of money” to niezwykle przewodnik, który łączy edukację finansową z terapeutycznym podejściem.



TŁUM. DOROTA POMADOWSKA

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYSZ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA



Wydawnictwo
Agora

WIERSZ POLECA
ANDRZEJ
ZAGOZDA
LAUREAT
NAGRODY
HERBERTA 2024

Wiersz ten jest odpowie-
dzią na dwa wydarzenia,
które wstrząsnęły opinią
publiczną wiosną 2022 r.

Pierwszym była woj-
na Rosji z Ukrainą, dru-
gim chińska „kobie-
ta w łańcuchach”. Mo-
wa o kobiecie, która zo-
stała porwana i sprzeda-
na w powiecie Shifeng,
należącym do prefektu-
ry Xuzhou w prowincji
Jiangsu, jako niewolnica
seksualna. Kiedy ją zna-
lezione, miała odcięty ję-
zyk, powyrywane zęby,
a jej szyję oplatał żelazny
łańcuch. Jej zdolności
intelektualne i języko-
we były mocno upośle-
dzone. Dodatkowo oka-
zało się, że urodziła swo-
jemu oprawcy ośmioro
dzieci, aby „przedłużyć
ród” chłopca, który ją na-
był. Tak oto słowo „mat-
ka” stało się najwulgarniej-
szym słowem w języ-
ku chińskim.

Gdy o sprawie tej po-
informowano na jed-
nej z internetowych
platform dziennikar-
stwa obywatelskiego,
wśród ludzi zawrza-
ło. Przez społeczni-
stwo przetoczyła się fa-
la wściekłości. Wiado-
mość w mgnieniu oka
rozeszła się za pośred-
nictwem mediów spo-
łecznościowych i portali
informacyjnych, w któ-
rych generowała mi-
liony kliknięć i komen-
tarzy. Bezlitośnie kry-
tykowano w nich ofi-
cjalne media oraz sys-
tem prawny, który daje
przyzwolenie na tego ty-
pu zbrodnie.

Było to pierwsze ta-
kie przebudzenie w Chi-
nach od czasów masa-
kry na placu Tian’an-
men w 1989 r. Ukulem
sobie na to określenie:
„Tian’anmen bez wycho-
dzenia z domu”.

• **Yang Lian** – ur.
w 1955 r., chiński poeta,
działacz na rzecz wolności
słowa, mieszka w Berlinie.
Jeden z najważniejszych
reprezentantów tzw. Mgli-
stych Poetów, twórców,
którzy od lat 70. przemy-
cali w twórczości to, co
oficjalnie było zakazane
po „rewolucji kulturalnej”.
Wychowany w Pekinie, ja-
ko młody człowiek musiał
przerwać naukę, wysłany
na reedukację poprzez
pracę fizyczną na provin-
cji. Po krwawym stłumie-
niu protestów na placu
Tian’anmen w czerwcu
1989 r. wyemigrował.
23 maja w Teatrze Pol-
skim w Warszawie ode-
brał Międzynarodową
Nagrodę Literacką im.
Zbigniewa Herberta.

Yang Lian*
Studium zła

Biały śnieg też może być szatańskim mózdzierzem
który rozciera w proch tyle umierań w jednym życiu
tyle duchów oddanych w każdym z tych umierań
Łzy Puszkina
Łzy Cwietajewej
piętrzą się na ramionach miedzianych posągów nietopliwy metal
tłamsi rymy nicości hulające
w sercach wydętych jak próżne skorupy
Wiersz może być (jedyńie) zbiorową mogiłą poezji
skrywającą Łzy zastygłe w podwieszanych kanalikach łzowych
Ta sama wczesna wiosna tysiące mil stąd
przebita kością obojczykową klęska
na klęsce ciało i krew z odzysku
przetwarzane ponownie w niepamięć ile duchów
wypelza wciąż z obrabowanych do cna mogił
ze strzępami nieruchomego spustoszenia w zębach
na ich widok ulegamy złudnemu wrażeniu
że desperacka epoka nie ma precedensu w dziejach

Dlaczego ta błotnista grząska droga nie ma końca
ten ciemnozielony las iglasty ten chłód spojrzeń
dlaczego ich sensory gniją jak zbielełe słońce
Katia Natasza ze szrapnelami przyściśniętymi
do piersi jak świeżo zebrane krwawe grzyby
Czy to ten powrót na któryście tak czekali
czy ten ptak przepłoszony z nie waszej ojczyzny
ma glejł by dostarczyć wiadomość w granice waszych snów
Czaszka wielkimi oczodołami wwierca się w roztrzaskane ulice
z jednym jedynym pytaniem po co było niszczyć to wszystko
jak nisko trzeba zejść po tej drabinie by dotrzeć do otchłani
przerażenia dzieci próżni stojącej w rozjątrzonych płomieniach
zawieszonej w głębinach serca czy to możliwe że światu dawno wypaliło oczy

Tunel w ciele matki
wiedzie przez łańcuchy ku kłamstwu
bezkresny fortepian dzień w dzień roztrzaskiwany w pył
fale biją o brzeg ludzkie trzciny drżą na wietrze
matka najpodlejsze z słów najbrudniejsze
prowadzi w splamione krwią podziemia
ku kolejnym oniemiałym świtom
wpatrującym się w nią uwięzioną w macierzystym języku
wpatrującym się w nas uwięzionych w schronach hańby
tak samo pełzamy po ziemi w rozchełstanych koszulach zdmuchując ludzkie bańki
przez kanał pepowiny oglądamy przemieszczający się konwój
wykopane z naszych ciał zwłoki układają się w stosy
wieczna pustka nastaw ucha zawodzący wiatr nie ma przeszłości
gatunek który nie jest zdolny ocalić matek nie zasługuje nawet na dzień sądu

A jednak to właśnie jest sądny dzień
pluskwa odziana we wszystkie odcienie szarości pokurczone imiona
na każdym kamieniu hordy skulonych duchów zmuszonych do ucieczki
oto wiosna skrwawione wieści wyrzynają się szybciej niż liście
plama na plamie a wszystkie krwawe nasze wyschnięte powierzchnie
to prawie fikcja unicestwienie na oczach tłumów
widma domów rozpraszają się szybciej niż oczy nabiegłe łzami
zużyta wagina matki musi być zużywana dalej
kreśląc orbitę planety skracając dystans między śmiercią a śmiercią do zera
nieprzemijający marzec pyta czy naprawdę jest droga odwrotu?
Zagłaskiwana do czysta twarz wiosny z ocalałą resztką piękna
jak fałszywa etykieta

Zbrodnia nie zna początku zna tylko ciężar cieni
nie wypełnia szeregów skazańców a jedynie wyrwy o ludzkich konturach
zatrzymuje się przy kształcie kapcia porzuconego na poboczu
brudna dłoń na czerwonym przycisku obraca w palcach pręcik zagłady
obraca tematy rozmów przy nakrytych stołach pobrzękują talerze i szklanki
języki jak zwłoki liżą dziecioletnie płomienie
tchórzostwo smakuje wybornie pozostaje ciało
a kiedy to spokojnie się rozkłada pozostaje twoje milczenie
które rozsadza ci płuca pozostaje wyciekające kropla po kropli życie
Nie jest niczym innym jak zbrodnią
wpatrując się w obłęd kwitnącej gałązki brzoskwini jak w obłęd
który wyszedł spod palców marzec się załamuje marzec ocieka potem
na widok nas uwiązanych na łożu martwych dusz zapadających się w niggdzie
jeszcze głębiej niż zmarli nie ma słowa bardziej bezwstydne niż niewinność
nie ma rączki wychylającej się spod ziemi która nie chwytalaby się mojego zapachu
nie ma żelaznego pępka z którego nie ciągnęłaby się rzeka koloru prochów
Nie zna innej przyszłości jak tylko znikanie
znika w oniemiałym niedowierzaniu kwiatów brzoskwini
wielowarstwowe piękno pożegnalne okna pociągów oklejone dłońmi
gwizd zdmuchuje wszystko

To jest wiersz nie do napisania niemożliwy wiersz
w tym wierszu nie ma ludzi zostali tylko wszyscy
przed zwierciadłem zbrodni zwierciadłem zła
Łzy Li Shangyina płyną bez związku z nami
kto tu imituje kogo przeklinające w lustrze widmo
rozumie już że prawdziwe jest tylko pęknięcie roztrzaskane o kamień
zasklepione w mgle wątle echo
wymazywane coraz doszczętniej od śniegu do kwiatów brzoskwini słuchaj
wydrążonego zaśpiewu poezji historia powstaje z pustych powłok
bez bólu wychodzi z siebie

od zawsze tak żyjemy



Egoizm, cynizm, żądza zysku.
Świat jest jak zepsuty samo-
chód, który nieuchronnie
zmierza w stronę przepaści.

Yang Lian

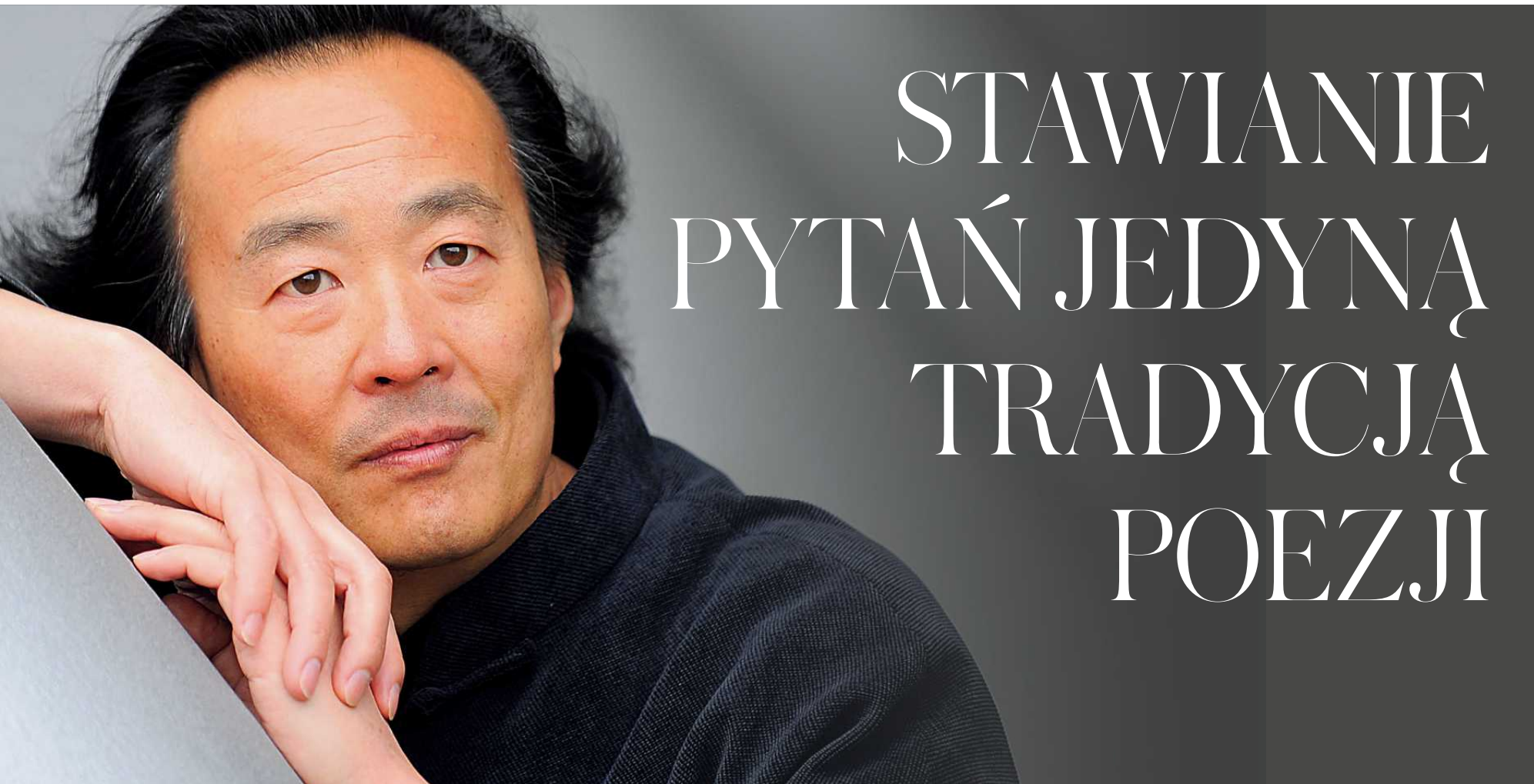
W 2017 r. zostałem zaproszony na Międzynarodowy Festiwal Poetycki w Moskwie. Czytałem tam swoje wiersze podczas spotkań autorskich w muzeach poświęconych Puszkiniowi i Cwietajewej. Ten pierwszy stał się nowym źródłem, które zasiliło wspaniałą kulturę XIX-wiecznej Rosji. Ta druga była emigrantką i ofiarą wielkiej zagłady tejsze kultury w kolejnym stuleciu. Oboje wywarli ogromny wpływ na literaturę chińską.

W 2022 r., kiedy Rosja zaatakowała Ukrainę, zadałem sobie pytanie: kto płakał na wieść o tej inwazji? Z pewnością Ukraińcy, a wraz z nimi i my tu zgromadzeni. Ale płakali z nami także Puszkini i Cwietajewa, którzy po raz kolejny stali się świadkami upadku swojej kultury, kompromitacji tego wszystkiego, o czym marzyli. Wielkiej tragedii totalitaryzmu, od którego nie ma ucieczki, który powrócił, przywdziewszy nową maskę.

W żartach nazwałem kiedyś dawne państwa wschodnioeuropejskie, w tym Rosję, „milczącą dziurą”. W 1989 r., po zakończeniu zimnej wojny, nagle przestały one być w centrum uwagi świata, odsunięte na margines ekonomiczny, polityczny, ale i ideowy, stając się wyrzutkami historii. W jedną noc znaczenie straciły doświadczenie historyczne, ideologia, zimnowojenny dyskurs.

Pośród ich duchowych ruin, na ogromnym pobojuwisku, pojawili się liczni obserwatorzy, którzy chłodno przyglądali się przemianom zachodzącym w świecie, który ich odrzucił, zadając sobie pytanie: czy to możliwe, by odnalazł on lepszy kierunek?

Wojna rosyjsko-ukraińska jest ogromnym dramatem. Dramatem, który jed-



FOT. TORSTEN SILZ/DDP/AFP

STAWIANIE PYTAŃ JEDYNĄ TRADYCJĄ POEZJI

nak czegoś nas uczy, odsłania coś na poziomie idei. Oto bowiem w jednej chwili na naszych oczach ułożyły się koszmarny puzzle.

Sytuacja w Chinach powraca do nieuniknionej „normy”, to jest totalitaryzmu z czasów rewolucji kulturalnej, rozwiewając wątpliwość iluzję wolności i otwartości. W Europie odradza się widmo okrucieństwa i rozlewu krwi niczym w wiekach średnich, poczynania Putina spotykają się na Zachodzie z niejednoznaczna reakcją. Na świecie szerzą się nacjonalizm i fundamentalizm religijny.

Portret współczesności można by nazwać kreskami: egoizm, cynizm, żądza zysku. Jesteśmy w samym centrum tego dramatu. Patrzmy na świat jak na zepsuty samochód, który nieuchronnie zmierza w stronę przepaści. Przerazenie, mdłości, bezradność.

Koszmary powracają. Zostajemy wrzuceni w świat, który wydaje się jednocześnie znajomy i obcy. Co możemy zrobić? Co może zrobić poezja? Czy istnieje odpowiedź na te wielkie pytania? A jeśli nie ma odpowiedzi, to dokąd nas one prowadzą?

W tym miejscu moje myśli wędrują wstecz, do Qu Yuana, żyjącego 2300 lat temu, pierwszego poety znanego z imienia w całej tradycji poezji chińskiej, i jego poematu „Pytam niebios”. Utwór ten składa się z blisko dwustu pytań, dotyczących mitów, historii, rzeczywistości, a także samego poety. Dążą coraz głębiej. Ale wszystkie pozostają bez odpowiedzi. W pierwszych wersach czytamy:

„Pytam [dosł. mówię]: Początek dawnych wieków/ Kto mi potrafi opowiedzieć? Gdy bezkształt w górę, bezkształt w dół –/ Kto to wybada i wysledzi?” (przeł. Janusz Chmielewski)

W języku chińskim pierwsze słowo tego wiersza to „mówię”: „yue”. Wpisuje ono historię bezpośrednio w człowieka i język. Początek czasu, refleksja nad przestrzenią przestają opierać się na wierze w bóstwa. Zamiast tego zaczyna się krytyczny namysł nad kulturą. Każde kolejne pytanie jest w istocie odpowiedzią na pytanie wcześniejsze.

Qu Yuan, który różnił się od pozostałych chińskich poetów tym, że nie bał się pytać, zapisał się w historii jako „pytający”, a „Pytam niebios” zainicjowało tradycję stawiania pytań, tradycję „poezji myślą-

cej”, która dziś nabiera szczególnego znaczenia.

Jestem przekonany, że twórca cyklu wierszy o Panu Cogito, słysząc te pytania do niebios, i tę myślącą poezję, uśmiechnąłby się ze zrozumieniem. Zadawanie pytań jest początkiem myślenia. Pytań o świat, o siebie. Te drugie są tak naprawdą pogłębieniem tych pierwszych.

To właśnie energia pochodząca z myślenia stanowi esencję poezji. Pan Cogito zgodziłby się ze stwierdzeniem, że pytanie jest nie tylko początkiem myślenia, ale samo w sobie jest myśleniem. „Myślę, więc jestem” można by z powodzeniem zastąpić bardziej klarownym „pytam, więc jestem”.

Istnieją różne języki i style poezji, ale zawsze musi ona być zakorzeniona w rzeczywistym doświadczeniu. To prawda uniwersalna. Podejmowane i pogłębiane nieustrudzenie „studium zła” – ciemnej strony ludzkiej natury – nadaje wielkiej poezji zaangażowanego i świadomego charakteru.

Specyfikę mojej twórczości można by ująć jedną formułą: „przebudzenie poezji”. Tragedia rewolucji kulturalnej domagała się odpowiedzi na pytanie o winnych, które wybrzmiewało w Chinach przez całe lata 80. Winne były polityka, historia, tradycja, ale również każdy z nas... Od grupy do jednostki, warstwa po warstwie pogłębia się „studium zła”. Wraz z nawarstwianiem się pytań zmieniamy się w swoich własnych „Innych”, a poetyckość nabiera głębszego wymiaru.

Stąd też tytuł mojego wystąpienia: „Stawianie pytań jedyną tradycją poezji”. Wobec bezprecedensowego kryzysu duchowego potrzeba „poezji myślącej” staje się tym bardziej paląca. Czy istnieje jakiś punkt wspólny, miejsce spotkania wzajemnie skonfliktowanych i przeczących sobie kultur? Jeśli tak, to co nim jest? Moja odpowiedź brzmi:

Miedzy prawdziwymi kulturami nie ma walki, jest tylko współzawodnictwo. Konkurencja w autorefleksji i kwestionowaniu samych siebie

istnieje! A miejscem tym jest słowo „pytanie”. „Pytam, więc jestem”.

Miedzy prawdziwymi kulturami nie ma walki, jest jedynie współzawodnictwo. Konkurencja w autorefleksji i kwestionowaniu samych siebie. Szlachetne koło polega na tym, że podejmując studium własnego zła, dostrzegają kryjący się w nich samych mrok, nie wypierają go, lecz poddają refleksji, by go przezwyciężyć.

W genach każdej współczesnej kultury zakodowana jest zdolność do samoaktualizacji. Nie świadczy ona o słabości, lecz przeciwnie – o pewności siebie i sile. Jeśli zamiast skupić się na tym, ucieknie się do krwawych metod zagłady wroga, wpręgnięta zostanie w niepowstrzymaną machinę zniszczenia.

Zbigniew Herbert w wystąpieniu „Poeta wobec współczesności” uszczypliwie wypowiadał się o „poezji, której zadaniem jest zaangażowanie po jedynie słusznej stronie tak zwanej barykady”, kierując naszą uwagę na kluczowy problem: nie ma czegoś takiego jak słuszność bądź niesłuszność, a za tak zwanych barykad ludzkie w istocie patrzą w kierunku jednego celu: głębi swojego człowieczeństwa.

Poezja, której uda się uchwycić ten „korzeń”, przetrwa w obliczu wyzwań stawianych jej przez świat i służyć będzie temu celowi. Poezja nigdy nie odrywa się od rzeczywistości, ale też nigdy nie upraszcza jej do pospolitych sloganów. Zamiast tego zapuszcza się coraz głębiej w refleksję nad nią, uciekając się do coraz to nowych, niczym niezastępowalnych technik twórczych. Dlatego też wiersze wszystkich epok i zakątków Ziemi są tak świeże i niepowtarzalne.

Uznanie stawiania pytań za „jedyną tradycję poezji” wiąże się z położeniem nacisku na „poezję myślącą”, a zarazem ustanowieniem pewnego kryterium oceny, obowiązującego w odniesieniu do poezji chińskiej i światowej. Uważam, że jesteśmy w głębokim kryzysie. W obliczu niebywałego kryzysu duchowego ludzkości poezja wydaje się bezsilna, popada w afazję. Z przyzwyczajenia odtwarza stare pustosłowne scenariusze zwieńczone krwawymi jatkami.

Gdzie się podziła wrażliwość poetów na egoizm, cynizm i żądze zysku? Gdzie ten nieustrudzony duch Qu Yuanowego poematu? Gdzie uważność i kamienny spokój Pana Cogito? W chwili, w której ludzkość naj-

bardziej potrzebuje pogłębionej myśli, my nie zdaliśmy egzaminu.

Cykl o Panu Cogito jest przykładem tego, jak zadawanie pytań stymuluje „poezję myślącą”, weryfikując wartość utworów poprzez ich konfrontację z żywym doświadczeniem. Każda jego linijka wyrasta prosto z życia.

Tej zasady staram się trzymać w swojej twórczości. Przy całej konceptualnej złożoności, pośród najdalej idących eksperymentów językowych nigdy nie może ona zapomnieć o fundamencie, jakim jest wierność doświadczeniu i dążenie do oddania go w sposób odczuwalny, widzialny, wręcz namacalny. Poezja nie polega na surrealistycznej zabawie, ale na odkrywaniu poprzez poetyckość „głębokiej rzeczywistości”.

Odrzucając słowa i obrazy tak niejasne, że aż prymitywne, jestem wyznawcą „poezji posiadającej korzeń”. Autentyczne doświadczenie weryfikuje współczesną twórczość, recepcję, a nawet przekład. Pozwala docenić oryginalność i zdemaskować fałsz i frazes.

To szczególnie istotne w epoce globalizacji, kiedy to w wymianie i ocenie uczestniczą wszystkie kultury. Niestety, oryginały są coraz bardziej puste, a „tłumaczenia” tym samym coraz łatwiejsze. Ignorując doświadczenie, możemy oczywiście całe życie uprawiać szarlatańskie zgadywanki.

Na koniec pozwolę sobie zadać kilka pytań: „Zmieszanie ciemni ze światłością/ Któż zdoła zgłębić to do sedna?/ W bezkształtnym kształtów prapodłożu/ Jakąż drogą się rozeznac?” (Qu Yuan, „Pytam niebios”, przeł. Janusz Chmielewski)

„Czy naprawdę istnieje głębia?/ Jak daleko może sięgnąć ten upadek?” (Yang Lian, „Wieża zbudowana do góry nogami”)

„Zaświaty są nieskończenie przepastne ale czy dusze mogą odnaleźć tu odpocznienie? (...) Bracie gdzie utknęły najmniejsze z słów wypowiedzianych przedśmiertnie” (Yang Lian, „Anty-requiem”)

„Ach któreż piękno nie jest krwawe?/ Ileż słońc jest zawieszonych w ciemnościach nazywania?/ Czy twarze ludzi i bestii dały się posłusznie zapędzić w dym?/ Czy nie my język zakończył już ceremonię ofiar?” (Yang Lian, „Pytania maski Taotie”). ●

przeł. (tekst i wiersz) Joanna Krenz

• Mowa, którą Yang Lian wygłosił 23 maja podczas uroczystości wręczenia mu Międzynarodowej Nagrody Literackiej im. Zbigniewa Herberta

BIAŁY ZBAWCA EKSPONUJE POŚLADKI

Kevin Costner tęskni za Dzikim Zachodem, ale czy Dzikie Zachód tęskni za nim?



Marta Górna

Latowy odtwórca ról szlachetnych typów, piewca i obrońca amerykańskiego stylu życia, patron mitu Dzikiego Zachodu. Samozwańczy wizjoner. W rolach komediowych bywa sztywny i zbolący, w dramatycznych niepotrzebnie nadęty.

Kiedy w 1991 r. najpierw dostał Oscara za najlepszą reżyserię, a chwilę później za najlepszy film, był w szczytowym momencie swojej kariery. „Tańczącym z wilkami” pokonał Martina Scorsese i jego „Chłopców z ferajny”, pobili też Stephen Frearsa i „Naciągaczy” oraz Francis Ford Coppola z „Ojcem chrzestnym III”.

Śmiertelnie poważny Costner sprawiał wrażenie, jakby odbierał nie hollywoodzką nagrodę, ale pokojowego Nobla. Oczywiście za naprawę stosunków USA z rdzennymi Amerykanami. I to w pojedynkę.

Być może dlatego mówił zupełnie serio o swoich „rdzennych braciach i siostrach”, choć przecież jest chłopakiem z Kalifornii, w dodatku baptystą, w drzewie genealogicznym nie ma „rdzennych braci i siostr”, co najwyżej Niemców i Brytyjczyków, a więc przybyszy, którzy prawowitym mieszkańcom Ameryki Północnej zabrali ziemię.

Kevinocentryczność

W młodości lubił na ekranie eksponować pośladki. Nieważne, czy w roli porucznika Unii steranego wojną secesyjną, czy zafrasowanego losami Anglii Robin Hooda. Na oskarżenia, że w filmie o legendarnym banicie są już nieco sflaczale, odparł, że to pośladki nie jego, ale dublera. Na planie „Robin Hooda: Księcia złodziei” cierpiał zresztą na większe deficyty dystansu do samego siebie. Zażądał od producentów przemontowania filmu tak, by jego Robin wypadł lepiej od brawurowo granego przez Alana Rickmana szeryfa Nottingham, postaci paskudnej, ale budzącej większą sympatię widzów.

Kiedy reżyserował dętego „Wysłannika przyszłości” – był w nim tajemniczym, ale oczywiście szlachetnym przybyszem znikąd, który wlewa w serca Amerykanów nadzieję po apokalipsie – zabraniał statystom nazywać film „Błotnym światem”. Nie podobał mu się żart z jego poprzedniej roli w „Wodnym świecie”, który zaliczył w kinach klępkę.

Moment, w którym Costner jako adopcyjny ojciec Supermana wyciąga dłoń na znak protestu i wybiera śmierć od podmuchów tornado, to jedna z najbardziej napuszonych scen w historii kina. Podobnych Costner ma w swoim portfolio bardzo dużo.

Większość jego filmów jest nieznośnie kevinocentryczna. Costner sporo w nich przemawia, korzystnie wypada na zbliżeniach kamery i w scenach akcji. Świadczy to o rozbuchanym ego i wierze w swój potencjał marketingowy. Do pewnego momentu było to uzasadnione, dziś już traci megalomanią.

W swoim najnowszym filmie, pierwszej, trzygodzinnej, części westernowej epopei „Horyzont: Amerykańska saga” (w polskich kinach od 28 czerwca) napisał sobie scenę erotyczną. Jakby chciał rozwiać wątpliwości widzów, powiedzieć im, że nadal jest nie tylko czcicielem mitu Dzikiego Zachodu i prawdziwym Amerykaninem, ale też Amerykaninem wciąż w wieku 69 lat jurnym.

Costner „Horyzont” wyprodukował, wyreżyserował, jest współautorem scenariusza i największą gwiazdą w obsadzie. To często kończy się porażką, o czym gwiazdor powinien już wiedzieć. Zrobiony według takiego przepisu „Wysłannik przyszłości” przyniósł wytwórni Warner Bros 50 mln dol. strat, a po tej porażce producenci przez wiele lat nie dawali się już uwieść chłopięcemu entuzjazmowi Costnera.

Na „Horyzont” gwiazdor wyłożył z własnej kiesy 40 mln dol., a więc niemal połowę budżetu, i podjął ryzyko, co oznacza jedynie, że musi w swój najnowszy projekt ślepo wierzyć.



Czy słusznie? „Horyzont” to film głównie dla takich jak on – białych facetów w średnim wieku. Widzów, którzy nie będą w czasie seansu liczli czarnych aktorów w prominentnych rolach, bo ich w pierwszej odsłonie sagi nie ma, a do kina pójda napawać się niespieszną narracją, pięknymi plenerami i światem, który już dawno ku rozpaczcy Costnera odszedł.

Bo że Costner za nim tęskni, to oczywiście.

Radość w szarpaninie

W „Tańczącym z wilkami” grany przez Costnera John Dunbar deklaruje, że wyrusza na pogranicze, aby je obejrzeć, nim zostanie zapomniane. Sam „Tańczący z wilkami” to filmowy knot. Kiepsko się zestarzał, a i 30 lat temu był trwającym trzy godziny snujem, miejscami pompatycznym, miejscami po pensjonarsku sentymentalnym.

Dunbar Costnera to porucznik armii Unii. Poznajemy go, kiedy z cierpiętniczo wykrzywioną twarzą schodzi ze stołu ope-

racyjnego i zakłada but na ranioną stopę. W ciągu kilku następnych minut dokonuje heroicznych czynów: z rozłożonymi ramionami stawia np. czoła konfederatom w pełnym galopie.

Potem jedzie do opuszczonego fortu w Colorado, pisze pełen frazesów pamiętnik, broni fortu przed nieprzyjacielem i zaprzyjaźnia się z okolicznymi Siukami. Jest przy tym najsłynniejszym ekranowym uosobieniem mitu białego zbawcy, który objaśnia „szlachetnym dzikim” świat i staje się patronem ich stylu życia. Wąsaty, uzbrojony w strzelbę i dobre intencje podbija „dzikich” swoją prostolinijnością.

Miłość Costnera do westernów zaczęła się we wczesnym dzieciństwie. Mówi, że po pierwszym kinowym seansie trwającej trzy godziny sagi „Jak zdobywano Dzikie Zachód” siedł przed siebie i „kierował się na Zachód”.

Kierował się nań później przez całą karierę. W swoim pierwszym westernie, nie-

docenianym dziś „Silverado”, wystąpił w 1985 r.

Film wyreżyserował Lawrence Kasdan, który dekadę później ponownie zaprosił Costnera do współpracy, do roli legendy Dzikiego Zachodu, rewolwerowca Wyatta Earpa. Michael Madsen, który dla roli brata Wyatta Virgila zrezygnował z występu w „Pulp Fiction”, powiedział po latach: – To film głupi, długi i nudny, jedno wielkie, pieprzone trzygodzinne zbliżenie na twarz Kevina. Wystąpiłem w nim, bo chciałem się przejść tą cholerną ulicą do OK Corral, gdzie rozegrała się słynna strzelanina. Gdybym wiedział, że efekt będzie tak bezdennie głupi, wziąłbym pieprzoną taksówkę.

Film z Costnerem nie zarobił w kinach nawet na swój budżet i przyniósł gwiazdorowi drugą z licznych Złotych Malin dla najgorszego aktora. Pierwszą dostał za „Robin Hooda: Księcia złodziei”, trzecią za „Wysłannika przyszłości”, a w 2000 r. nominowany był nawet jako najgorszy aktor stulecia.

– Jest jakaś radość w szarpaninie. Większość ludzi myśli o celu, ja zawsze bardziej doceniałem wędrówkę – mówił w 2014 r. Z każdym kolejnym rokiem grono widzów i filmowców, którzy chcieli się z nim na nią zabrać, malało.

Kiedy wypuszcza w zwolnionym tempie finałową strzałę, a za nim wybuchają beczki z prochem, czuję, że to jest właśnie magia kina

Kłeska „Wyatta Earpa” nie osłabiła miłości Costnera do westernów. W 2003 r. wyreżyserował, wyprodukował i rzecz jasna uświetnił swą ekranową obecnością oszczędny film „Bezprawie”.

Efekt był zaskakująco dobry.

Costner podtrzymuje też legendę Dzikiego Zachodu w swoim zespole country Kevin Costner & Modern West, z którym śpiewa i koncertuje od prawie 20 lat.

Najładniejsza prostytutka w mieście

Najlepsze kowbojskie role grał jednak u innych. Mam na to dowody. W serialu „Hatfields & McCoys: Wojna klanów” był pamiętnym sukinsynem, „Diabłem” Anse Hatfieldem, który wraca do domu po wojnie secesyjnej i zaczyna prowadzić swoją: z głową wrogiego klanu wchodzi w krwawą, ciągnącą się dekadami rodzinną wendetę.

Za występ w tym serialu dostał statuetki Emmy i Złotego Globa, to ostatnie trofeum zgarnął też za rolę Johna Duttona w 5. sezonie „Yellowstone”, ulubionego w ostatnich latach serialu Ameryki.

Jest w nim ranczerem, strażnikiem majątku, który w rodzinie jest od siedmiu pokoleń. Dutton pewnie głosowałby na Trumpa, jest typem makiawelistycznym, który dąży do celu po stercie trupów. Swego rancza w Montanie broni przed najeźdźcami reprezentującymi postęp. Zdarza mu się łamać dziesięcioro przykazań, zwłaszcza piąte, ojcem jest raczej średnim i przemocowym. To nietypowa dla Costnera rola człowieka skomplikowanego, praworządnego we własnym mniemaniu, ale według standardów etycznych zdeprawowanego.

Costner „Yellowstone” nie wyreżyserował, nie napisał też scenariusza. Zrobił to Taylor Sheridan, w ostatnich latach nowa nadszja ekranowego westernu, facet w stetsonie, który bez zadyszki i specjalne-

go wysiłku opowiada o Dzikim Zachodzie tak, jakby się na nim urodził. Ta łatwość musiała Costnera zabołec.

Zresztą, ogłosił właśnie, że rezygnuje z „Yellowstone” i nie wróci do roli Duttona ani w drugiej połowie 5. sezonu, ani w kolejnych.

Trudno nie odbierać odejścia Costnera jako złośliwości. „Yellowstone” pozwoliło mu o sobie przypomnieć szerokiej widowni, pokazać, że jest dobrym aktorem, a nie tylko cierpiętnikiem z powołania. Jego John Dutton to symbol odchodzącej epoki, gość w spranych dżinsach i z równie sprawnymi zasadami. Nie prawy kowboj, którym Costner próbuje być od ponad 40 lat, ale relik minionych czasów, które powinny odejść. Być może stąd właśnie „Horyzont”, opowieść wybitnie costnerowska, tradycyjna w formie i przekazie. Prawi są tu prawi do mdłości, żli zasługują na strzał między oczy. Nie ma miejsca na odcienie szarości.

Amerykański sen istnieje i działa

Czy Kevin Costner jest dobrym aktorem? Mam słabość do jego filmów. Uwielbiam „Robin Hooda: Księcia złodziei”. Kiedy Costner wypuszcza w zwolnionym tempie finałową strzałę, a za nim wybuchają spektakularnie beczki z prochem, czuję, że to jest właśnie magia kina. Gdy w „Wodnym świecie” filtru-

je i wypija swój moc z krypie, którą opływa świat po apokalipsie, jestem kupiona.

Lubię go w „Doskonałym świecie” Clint Eastwooda, niezły był też w kameralnej „Wojnie”, podobał mi się jako podstarzały pies gończy w „The Highwaymen”, filmie o policjantach ścigających Bonnie i Clyde’a.

Ale nie wiem, czy zagrał w tych filmach dobrze, czy może jego naturalna posępnosć i skłonność do nadęcia zostały przez reżyserów sprawnie wykorzystane.

Costner jest gwiazdą od 40 lat. Może dla Amerykanów stanowi ucieleśnienie kilku mitów. Po pierwsze: celebrytuje wspomniane już tradycje, przypomina im stale, że ujarzмили dziki kraj uzbrojeni w rewolwery i silną wolę. Po drugie: urodę ma typowo amerykańską.

Po trzecie: jest żywym dowodem na to, że amerykański sen istnieje i działa. Urodził się w Kalifornii, ale z dala od Hollywood. Jego ojciec był elektrykiem, a matka pracownicą społeczną. W szkole nie był orłem, pisał jednak wiersze i grał na pianinie. Aktorstwo wymyślił sobie już w dorosłości i konsekwentnie parł do tego, by występować. Jest dwukrotnym rozwodnikiem, z różnymi partnerkami ma siedmioro dzieci. Ot, swój chłop, któremu w życiu prywatnym też powinęła się noga. – Robię filmy, którymi nie chcę widzów nudzić. Dać im za to coś innego, niż się dziś produkuje. Pewnie dlatego trudno mi jest te pomysły realizować – powiedział ostatnio CNN.

Po seansie „Horyzontu” wiem, że ma rację. To projekt ambitny, opus magnum Costnera. Film, którym jako twórca ignoruje 20 ostatnich lat rewizjonistycznych westernów, poprawność polityczną i kolejną falę feminizmu. List miłosny do Dzikiego Zachodu, na który Costner może nie dostać odpowiedzi. Możliwe jednak, że wcale jej nie oczekuje, bo pisze go przede wszystkim dla siebie. ●

**Dotacje dla
ojca dyrektora
z państwowej kasy
to nic w porównaniu
z pieniędzmi, po
jakie sięgał trzy i pół
wieku temu biskup
wileński Ignacy
Jakub Massalski.**



• Obraz „Wieszanie zdrajców” Jana Piotra Norblina przedstawia symboliczne egzekucje przywódców konfederacji targowickiej

FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM NARODOWEGO
W WARSZAWIE

RYDZYK

EPOKI STANISŁAWOWSKIEJ

**Marta Panas-Goworska
Andrzej Goworski**

Warszawski lud” 28 czerwca 1794 roku zawlekt pod szubienicę przy nieistniejącym dziś Pałacu Brühla biskupa Ignacego Jakuba Massalskiego i „bez dekretu i mistrza”, tj. kata, powieszono go na „lejcu konopnym, chłopu przejeżdżającemu porwanym”.

Mija właśnie 330 lat od tych wydarzeń i historia Massalskiego obrosła interpretacjami. Jedni go potępiają, inni relatywizują, a jeszcze inni widzą w nim świetnego menedżera edukacji i kościelnego zarządcę. Na tę polifonię głosów w pierwszym zdaniu monografii „Ignacy Massalski. Biskup wileński” wskazywał ks. Tadeusz Kasabula:

„Na przestrzeni dziejów Kościoła katolickiego w Rzeczypospolitej Obojga Narodów niełatwo znaleźć postać rządcy diecezji, który w historiografii byłby przedstawiany i oceniany w sposób tak kontrowersyjny i do tego niejednoznaczny [...]”.

Książka zaskakuje. Wydana w 1998 roku jest jedyną krajową biografią poświęconą tej postaci. Spis literatury i aparat krytyczny na znakomitym poziomie, ale o zdradach ojczyzny nie więcej niż pół strony, o malwersacjach finansowych i przekrętach – nic. Na dodatek Kasabula co rusz tytułuje Massalskiego „księciem-pasterzem”, a to w publikacji naukowej zgrzyta. W poszukiwaniu przeciwwagi zaglądamy do najwcześniejszych materiałów. W numerze „Gazety Wolnej Warszawskiej”, który ukazał się ledwie trzy dni po egzekucji, czytamy:

„[Część mieszkańców Warszawy] z okropnej wiadomości o zdradzie Winiawskiego i z przewłoki kary zdrajców, uniesiona zapalem, rzuciła się na różne więzienia, i z tych wzięwszy osoby, które winniejszymi być mniemała, to jest: Boscampa Lasopolskiego, Roguskiego Instygatora Kor: utworzonego od Igielstroma przeciw Powstaniu Narodowemu, Grabowskiego i Piętkę o szpiegostwo obwinionych, Massalskiego Biskupa wileńskiego, Czetwertyńskiego Kasztl: Przemyskiego i Wulfersa, na wystawionych szubienicach, powiesiła”.

To wymaga komentarza.



• Biskup Ignacy Massalski (1727-94), pierwszy prezes Komisji Edukacji Narodowej, targowiczanie

FOT. ZE ZBIORÓW LITEWSKIEGO MUZEUM SZTUKI

WIESZANIE

Insurekcja kościuszkowska rozpoczęła się 24 marca w Krakowie. Warszawiacy dołączyli 17 kwietnia i dowodzeni przez Stanisława Mokronowskiego pokonali Rosjan. Sukces nie był pełen, bo Osip Igelström, carski dyplomata i faktyczny zarządca Polski, oszukał wszystkich i zbiegł. Za to w pozostawionych przez niego dokumentach odnaleziono listę jurgieltników, zdrajców, którym Rosjanie płacili za usługi.

Figurowały na niej nazwiska m.in. Massalskiego oraz hetmana wielkiego koronnego Piotra Ożarowskiego, hetmana polnego litewskiego Józefa Zabielly, marszałka Rady Nieustającej Józefa Ankwicza i biskupa Józefa Kazimierza Kossakowskiego. Czterech

ostatnich powieszono 9 maja, Massalskiego zaś – jak czytamy u Jędrzeja Kitowicza – „zatrzymano w więzieniu, [bo] się odwołał odkryć więcej wiadomości do zdrady Ojczyzny należących”; innymi słowy, sypał.

Losy Polski rozstrzygały się poza Warszawą i po wyniszczających i, jak pod Szczekocinami, przegranych bitwach, Kościuszko rozważał poddanie Krakowa. Uprzedził go wspomniany w „Gazecie Wolnej Warszawskiej” komendant miasta Ignacy Wieniawski. Dogał się z Austriakami i 15 czerwca uciekł, zostawiając otwarte bramy.

Informacja dotarła do stolicy, ludzie żądali głów. Ale tym razem władze miasta nie chciały działać pochopnie, chociażby dlatego, że same obawiały się warszawiaków. Coś z tej atmosfery przebija z cytatu, gdzie nie wskazuje się jednoznacznie, kto jest zdrajcą, i mówi tylko o „winniejszych”.

Lud dopiął swego i doszło do wieszania. Kitowicz i szewc Jan Kiliński wspominali, że stało się to za sprawą „murarza”, „przekupniarza”, „handlarza sianem” czy „zaganacza znanego jako pijak”, ludzi prostych, niemających kompetencji, aby spojrzeć na wydarzenia szerzej. Byli też osobnicy liczący na szybki zysk, więc Wojciech Józef Skarszewski, targowiczanie i, jak Massalski, biskup katolicki, „ocalał [...] za marną dwuzłotówkę wetkniętą w rękę jednemu z tych oprawców”.

Pozostali nie mieli tyle szczęścia, choć – zauważa Kitowicz – między zgładzonymi byli winni i winniejsi, a trzydziestoletni adwokat Michał Wulfers padł ofiarą pomówienia. Jego przewinę wobec ojczyzny zakwestionowano już po egzekucji i pochowano go na cmentarzu, a pozostałych pod szubienicami.

KURA W NOCNIKU

Nie minął rok, insurekcja upadła, państwa ościenne finalizowały trzeci rozbiór Polski i nie było przeszkód, aby zwłoki Massalskiego ekshumować i złożyć w wileńskiej katedrze w krypcie pod kaplicą biskupią. Miejsce pochówku nie dziwi – po pierwsze dlatego, że Ignacy Massalski przez 28 lat pełnił funkcję biskupa wileńskiego. Po drugie, tamtejsza świątynia obecny kształt zawdzięcza właśnie jemu; choć faktem jest, że długo ignorował apele o ratowanie budynku.

Ważniejsze, jak się zdaje, będzie tu pytanie, dlaczego zdrajcę, jurgieltnika pochowano z honorami. Odpowiedź wydaje się prosta. Kraj, którego był obywatelem, przestał istnieć i zgodę na pochówek wydała caryca Katarzyna II, a więc monarchini, na rzecz której Massalski działał od dekad.

Przeciwnicy takiej tezy mogliby przywołać konkretne passusy z listów czy kazań, w których nakłaniał do wsparcia Rzeczypospolitej, ale fakty są miażdżące. Massalskiego, jeszcze jako kandydata na biskupa, wspierała Rosja. Później jako purpurat wielokrotnie występował z poparciem dla carskich inicjatyw, a nawet jeśli próbował wykazać się własną inicjatywą, wystarczyło, że „ambasador rosyjski Stackelberg [Otto Magnus von Stackelberg] odezwał się, »żeby to odłożyć«,” biskup postępował zgodnie z jego wolą.

Wypominano Massalskiemu, że był uczestnikiem konfederacji barskiej, ale wybitny historyk Tadeusz Korzon, autor „Wewnętrznych dziejów Polski”, przypominał, że przez lata działał ręką w rękę z ruskim zdrajcą, wyjątkową szują Adamem Ponińskim i wspólnie zrobili wiele, aby ugruntować carskie wpływy. W swojej prorosyjskości był konsekwentny i jeszcze w przededniu uchwalenia Konstytucji 3 maja, jak pisał XIX-wieczny historyk Henryk Schmitt, współorganizował spotkanie, podczas którego radzono, co zrobić, aby storpedować „Ustawę Rządową”.

Symboliczną pointą obywatelskich aktywności Massalskiego niech będzie anegdota znaleziona na stronach Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie. Przeczytamy tam, że pewnego razu zagubił się w litewskich kniejach i „trafił na odludne domostwo, gdzie gościny gospodarz podał mu kurę w rosole w okazałym, na modę angielską białym nocniku, zakupionym w Wilnie jako obiadowa waza”.

Dziwnym byłoby, gdyby Rosjanie takiego usługowego człowieka pozostawili pogrzebanego pod szafotem.

IGNOTUS IGNOTAS

Łacińskie słowo „ignotus” tłumaczymy jako nieznany, a litewskie „Ignotas” to po prostu Ignacy. „Ignotus Ignotas” – taki tytuł nosi opublikowana w 2010 na Litwie biografia Massalskiego. Książkę mającą w podtytule „Biskup wileński Ignacy Jakub Massalski” napisał jeden z tamtejszych czołowych badaczy XVIII wieku Eligijus Raila. Jak dotąd nie ukazała się w polskim tłumaczeniu, nie ma też polskich omówień.

Pozostają więc anglojęzyczne recenzje, z których wynika, że jako przykład „naukowej biografii historycznej” jest „próbą opisania litewskiego oświecenia” z perspektywy działań ważnej dla tego okresu osoby, biskupa Massalskiego właśnie. Jeden z recenzentów, Darius Žiemelis, konstatuje, że w „Ignotus Ignotas” postać biskupa była pretekstem do postawienia tezy, jakoby kultura Rzeczypospolitej już w XVIII wieku była skazana na „dyskontynuację” i zastąpienie jej inną.

Oprócz tego Raila pokazuje, że „tożsamość nie jest dana wprost, [wymaga] zrekonstruowania” i właśnie na przykładzie wileńskiego biskupa odtwarza inną, niepolonocentryczną tożsamość Wielkiego Księstwa. Žiemelis w tym m.in. widzi mielizny książki i podaje w wątpliwość niektóre z postawionych tam tez. Jedna z nich zachęca do spojrzenia na Massalskiego nie jako na zdrajcę, ale dyplomatę nowej epoki, dla którego zabieg o „pieniądze, prezenty i przekupstwa [są] integralną częścią gry politycznej”. W „Ignotus Ignotas” dużo jest też rozważań ekonomicznych i autor proponuje, żeby na Massalskiego spojrzeć jak na wytwór „apogeum feudalizmu”.

JAK ODBUDOWAĆ KATEDRĘ?

Nasi sąsiedzi nie ograniczają się do takiej perspektywy. W 2000 roku znany dysydent Viktoras Petkus opublikował książkę, gdzie Massalski również objawia się jako ważna postać litewskiej kultury. Na tym nie koniec – wileński biskup jest bohaterem „Katedry”. Nietłumaczony na język polski utwór dramatyczny Justinasa Marcinkevičiausa powstał w 1971 roku, od razu zyskał popularność i m.in. dwa lata później ukazał się jako audiobook na płytach winylowych Melodija. Kluczowe były adaptacje teatralne. Po premierze w 2013 roku filolog Vilius Bartninkas wskazywał na główny temat utworu – ścieranie się dwóch wizji odbudowy tytułowej katedry. Pierwsza Massalskiego, naznaczona pracą organiczną, druga utożsamiana z buntem i rewolucją oraz powiązana z Wawrzyńcem Gucewiczem, architektem zatrudnionym przez biskupa. Gucewicz to postać dla Polaków mało znana, za to na Litwie osobistość.

Na te antynomie nanizane są dzieje literackiego Massalskiego. W dramacie był karciarzem, pił i miał kochankę. Potwierdzał to w odniesieniu do postaci historycznej Tomasz Venclova w książce „Wilno. Przewodnik biograficzny”:

„ [Prawdziwy] Massalski był znany jako człowiek mający skłonność do karcianego hazardu i lekkomyślny w sprawach finansowych [...] zarzuca mu się, że w polityce działał na rzecz Rosji, licząc na uzyskanie przy pomocy Rosjan godności prymasa i kanclerza Litwy”.

W dramacie nie czyni go to antybohaterem, przeciwnie, staje się „kontrowersyjny i do tego niejednoznaczny”, by użyć słów Kasabuły zarezerwowanych dla historycznej postaci. Oprócz tego „Katedra” zdaniem Bartninkasa dowodzi, że „Litwa jest narodem, wyrażającym się poprzez język”. Wsluchajmy się więc we fragment „Katedry” przełożony na polski:

„Synaczku mój, jedynaczku,/ A czy ci tu dobrze leżeć?/ Z jednego boku leżą królowie,/ Zaś u drugiego – księżęta./ Ale czy

Pozycja rodu była więc wsparta rublami, a rodzice chcieli jeszcze wyżej wysforować syna. Miał się stać księdzem, ale przed przyjęciem święceń, w wieku 22 lat, wysłano go do Rzymu, gdzie studiował prawo, żeby – wedle słów Hugona Kollątaja – „stać się bogatym i konsydrowanym”, czyli poważanym. Wrócił do Polski i jako 35-latek po szeregu intryg i zakulisowych działań w 1762 roku objął największe biskupstwo Rzeczypospolitej – wileńskie.

Nie był złym zarządcą, można go przyrównać do władcy, który troszczy się o poddanych oraz ich dobra, bo i tak wszystko z ludźmi, rogacizną i domostwami należy do niego. Massalski wykazał się innowacjami i m.in. przeprowadzał ankiety, żeby badać podległe mu duchowieństwo. Chciał znać liczbę przyjmujących sakrament oraz odległość parafii od Wilna. Pytał o szkoły parafialne, programy nauczania i uczniów, choć najwięcej punktów dotyczyło – jak to zgrabnie ujął Kasabuła – uposażenia, a więc pieniędzy.

Miały go interesować również kwestie odzieżowe i złościł się, kiedy podwładni nie ubierali się jak księża, bo duchowni w owych czasach lubili świecką garderobę. Był człowiekiem pobłażliwym i nie karał, a raczej pouczał, choć z prac białoruskiej niezależnej historyczki Natalli Sliż wiemy, że stan duchowny na Litwie nie tylko pił ponad miarę, ale i czerpał radość ze swojej seksualności. Trudno nazwać więc Massalskiego reformatorem moralnym, a i przykład cnotliwości, który sam dawał, nie był wart naśladowania.

Za to dbał, by duchowni posługujący wśród ludu znali litewski. Dzięki ankietom udało mu się wyznaczyć parafie, w których polskojęzyczni byli w mniejszości, i tam słał reprimendy. Do księdza Dohniewicza – cytujemy za Kasabułą – pisał:

„Przykro mi jest, że W.P. nie umiając sam litewskiego języka, mówiących tylko tym językiem do innych odleglejszych odsyłasz kościołów, a co gorsza konających, nie rozumiejąc, co mówią, na śmierć dysponujesz”.

Mechanizm malwersacji przez wieki nie zmienił się i wysoko postawiony duchowny zarówno wtedy, jak i dziś najszybciej obłowi się, działając w systemie oświaty

umiesz ich zadowolić/ Bujna? głowęńkę nisko pochylić?/ Czy ty tym królom i tym książętom/ Wiernie, syneczku, będziesz im służyć?” (tłum. Beata Kalęba).

WIELKIE AMBICJE I ZŁE TRADYCJE

Trudno nie przyznać Litwinom choć częściowo racji. Massalski może być dla nich nie tym samym Massalskim, którym jest dla nas.

Na pewno urodzonemu w 1727 roku Ignacemu Jakubowi przewidziano niebanalną rolę. Jego ród od początku miał wielkie ambicje, ale i nie najlepsze tradycje. Część przodków w XVI wieku zdradziła Rzeczpospolitą i oddała hołd Moskwie. A w 1764 roku ojciec Ignacego Michał Józef jako hetman wielki litewski za olbrzymią łapówkę wpuścił carskie wojska do kraju.

PIERWSZY AFERZYSTA I RP

„Księcia-pasterza” można nazwać pierwszym nowoczesnym aferzystą Rzeczypospolitej. Znamienne, że mechanizm jego malwersacji przez wieki nie zmienił się i wysoko postawiony duchowny zarówno wtedy, jak i dziś najszybciej i najpewniej obłowi się, jeśli będzie działał w systemie oświaty.

Ofiarą Massalskiego padła nasza narodowa duma, pierwsze w Polsce i pewnie na świecie ministerstwo edukacji, czyli Komisja Edukacji Narodowej. I to biskupa, a nie Kollątaja, za sprawą rosyjskiego posła Stackelberga powołano na pierwszego prezesa tej instytucji. Funkcję sprawował do 1776 roku, kiedy został wyrzucony za malwersacje; w Warszawie mówiono o tym jak o „aferze roku”. Co się stało, wyjaśnia cytowany już Korzon:

„Za rządów komisyi wynikła gorsząca sprawa pieniężna Massalskiego, biskupa wileńskiego, który »ściągał rękę do kasy edukacyjnej na potrzeby domowe« i ściągnął blisko 300 000 złp. Gdy powstał »skwierk« nieplaconych profesorów, Komisya wydelegowała z Warszawy znanego Wybickiego; ten z polecenia wywiązał się sumiennie i, powróciwszy z Litwy; zdał szczerzy raport na posiedzeniu Komisyi w obecności samego Massalskiego. Strata nie była odzyskaną, jak zapewnia Łukasze-wicz, aż do r. 1794, ale podobne przygody nie ponowiły się już później”.

Mówiąc wprost, Massalski ukradł pieniądze przeznaczone na wynagrodzenia dla nauczycieli; potwierdzają to również inni historycy. Do czego tę kwotę można porównać? W tym czasie pas słucki kosztował ok. 50 złotych polskich, wół – 30 złotych, rzemieślnik cyruliczny chwalił się, że „uzbierał sporo gotówek”, gdy miał 90 złotych, zaś zysk w folwarku Widzew z „gospodarstwa kmiecia dworskiego [...]” sięgał 72 złote czystego dochodu rocznego”.

To nie koniec działalności pierwszego prezesa. Zgodnie z uchwałą z 14 października 1773 roku o Ustanowieniu Komisji nad edukacją młodzi narodowej dozór mającej, KEN przekazywano zarząd nad rozwiązanymi wcześniej kolegiami jezuickimi po to, aby w oparciu o tę bazę, stworzyła nowy system szkolnictwa w całej Rzeczypospolitej. Mienia po skasowanych zakonach jezuitów było znacznie więcej, według różnych danych wartość tych dóbr wynosiła od 30 do 50 mln złotych polskich i ich podziałem i sprzedażą zajęły się komisje rozdawnicze. Dziewiętnastowieczny popularyzator wiedzy i pedagog Ignacy Karpiński w wydanej w 1887 roku książce „Krótki rys ustroju dawnej Polski i poglądy na przeszłość” podjął się wyjaśnienia:

„ [...] w skład Kommissyi Rozdawniczych wcisnęli się ludzie złej wiary, co bez skrupułu fundusze na tak szlachetny cel przeznaczone, szarpać się i grabić ośmieli-li. Sejmy [...] nie mogły złemu ich kierunkowi zapobiedz – sam bowiem Prezydujący w Kommisssyy Rozdawniczej Massalski najgorszy dawał przykład bo i sam je szarpał, i innym Członkom tego nie bronił i uposażał niemi rodzinę swoje i kolligatów”.

Jeszcze większy zysk mogło przynieść coś, co byśmy dziś nazwali uwłaszczeniem pojezuickich ziem. Padają nawet wartości milionowe, ale nie znaleźliśmy prac, które by to jednoznacznie potwierdzały. Pozostaje mieć nadzieję, że przy okazji wyjaśniania uwłaszczenia gruntów kościelnych dokonanych już w naszych czasach pod Wrocławiem i odsprzedaania ich po zaniżonej wartości przez kardynała Henryka Gulbinowicza małżeństwu Morawieckich uda się i tę sprawę naświetlić. Mechanizm taki sam.

POINTA KSIĘDZA DOKTORA KASABUŁY

A mimo to czuliśmy niedosyt i napisaliśmy maila do księdza doktora Kasabuły z pytaniami:

„Co sądzi Pan o ewentualnej zdradzie Massalskiego, czy faktycznie zdefraudował pieniądze KEN oraz dlaczego uznaje Pan Massalskiego za postać pozytywną, ważną?”.

Obiecaliśmy, że „in extenso zmieścimy [...] odpowiedź bez komentarza z naszej strony, nie będzie żadnych ironicznych otoczek”. No i odpowiedź od księdza Kasabuły przyszła następnego dnia:

„Proszę sięgnąć do doskonale udokumentowanego, opartego na źródłach archiwalnych opracowania autorstwa księdza Tadeusza Kasabuły, »Ignacy Massalski biskup wileński«, Lublin 1998, ss. 626. Pan Kasabuła, przygotowując rzeczoną publikację, na gromadzeniu i analizie materiału pozyskiwanego z zasobów archiwów polskich, a zwłaszcza zagranicznych spędził trzy lata, prowadząc intensywną i wnikliwą kwerendę. Jej owocem jest ww. opracowanie. Do jego lektury zachęcam”. ●

„Lulu”

Być może autor jednej z pierwszych relacji z powstania w getcie warszawskim, w rzeczywistości walkę Żydów oglądał zza niemieckich pleców.

Michał Wójcik

Najpierw modlitwa przy grobie św. Piotra, rodzaj wyciszenia. Potem przez Bramę Spiżową na dziedziniec San Damaso. Następnie windą na drugie piętro. W Sali Clementina czeka już gwardia szwajcarska. Następnie, w nabożnym skupieniu, powolny marsz do sali z gobelinami. Tu kapitan gwardii – tym razem palatynskiej – odbiera zaproszenie i każe czekać. Po chwili rycerze w pelerynach i z mieczami prowadzą do bocznej sali. Krótka pogawędka z Maestro de Cámara. Jeszcze chwila i drzwi do biblioteki papieskiej się otwierają.

I oto jest. Jego Świątobliwość Pius XII. Wielka, lysa głowa, druciane okulary. Należy klęknąć, pocałować pierścień. Wtedy papież pomaga wstać i odzywa się jako pierwszy. A potem wszystko już w rękach gościa. Ma dokładnie dwie minuty.

Jest 18 marca 1946 r. Ignacy Lubraniecki wie, że to najważniejsze dwie minuty w jego życiu. Przekazuje papieżowi dar: skromną książeczkę wydaną po angielsku. Nosi tytuł: „Życie i śmierć getta warszawskiego”. Jest to pierwsze świadectwo o żydowskim oporze z pierwszej ręki, z którym mogli się zapoznać czytelnicy na Zachodzie.

Jego Świątobliwość już wie, że gość to postać niezwykła. Żołnierz polskiego podziemia, bohater dwóch warszawskich powstań, kronikarz zamordowanej cywilizacji.

Dwie minuty. Może nawet więcej. A potem już nikt, nigdy i nigdzie nie poważy się napisać, kim tak naprawdę jest Ignacy Lubraniecki, dla przyjaciół „Lulu”.

GWIAZDY NIE NOSIŁ

Na początku 1974 r. polskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zwróciło się do bratniej Stasi o pomoc. Chodziło o zbrodnie wojenne specjalnej ekipy Heinricha Himmlera – Sonderkommando IV AS. Od 1942 r. grupa ta działała w Warszawie i zajmowała się rozbijaniem polskiego podziemia.

Na jej czele stał kpt. Alfred Spilker i z tego, co polscy śledczy ustalili na przełomie lat 40. i 50., wynikało, że był to oficer ge-



SUPERAGENT GH

nialny. Choćby dla Jana Zborowskiego, wysokiego funkcjonariusza wywiadu politycznego Delegatury Rządu na Kraj. W trakcie stalinowskiego śledztwa (nie wiadomo, czy był torturowany) przyznał się koledze w celi, że Spilker przerażał o głowę nawet szefa Gestapo Ludwiga Hahna:

„Spilker to całkiem co innego, to nie szkopska głowa, to poziom światowy. On nawiązał kontakt z najbardziej czułymi punktami polskiej organizacji i robił robotę z dużym rozmachem. (...) Miał więcej rozumu w palcu niż cała bezpieka we łbie”.

Trzeba przyznać, że to mocne słowa. Zwłaszcza dla kogoś, kto spodziewał się wyroku śmierci.

Sukces Spilkera polegał na sposobie działania. Nie niszczył polskiego podziemia, nie mordował jego członków w kaza-matach Szucha. Konspirację starał się kontrolować i skłaniać Polaków do działania zgodnie z interesem III Rzeszy. W tym celu zorganizował wielką siatkę agentów. Jego szpiedzy ulokowani byli we wszystkich

partiach i organizacjach podziemia, przede wszystkim w Delegaturze i Armii Krajowej. Spilker bardzo o nich dbał i chronił, jak długo się dało. W zasadzie tylko trzech z kilkunastu jego znanych dziś agentów wpadło, zlikwidowało ich podziemie. Reszta przeżyła i po wojnie rozplynęła się we mgle. Aż do 1974 r. To wtedy służba bezpieczeństwa NRD aresztowała Ericha Mauthego, ważnego funkcjonariusza Gestapo w Krakowie, Nowym Sączu i Warszawie. W stolicy okupowanej Polski – Mauthe współpracował ze Spilkerem i znał jego ludzi.

Przyciśnięty wymienił Stasi ośmiu, a enerdowncy przekazali materiały SB. I tak się okazało, że agentami Spilkera byli m.in.: Edith Müller, czyli Wanda Kronenberg, córka przedwojennego warszawskiego filantropa i milionera, słynny Lolek Skokowski, działający w getcie, jakaś niezidentyfikowana baronowa von Hohenstein lub Hohenberg, a także volksdeutsch z Drezna o pseudonimie „Stefan”.

Dwóm najważniejszym Mauthe poświęcił więcej uwagi. Podkreślił, że Spilker prowadził ich dyskretnie, ich dane znało tylko kilku funkcjonariuszy Gestapo czy Abwehry. Byli zbyt cenni.

Pierwszy to Alfreda Łaszowski, przedwojenny katolicki dziennikarz i członek ONR-u. Gdy w 2017 r. szefowa berlińskiej filii Instytutu im. Pileckiego Hanna Radziejowska ujawniła jego nazwisko, to była sensacja. Katolicki dziennikarz wtyką Gestapo?! Człowiek, który w PRL-u zrobił karierę jako człowiek PAX-u, bezkarnie donosił na polskie podziemie?!

Drugi, o pseudonimie „Lulu”, działał w środowisku komunistów. Nie udało nam się zdobyć jego zdjęcia, ale Erich Mauthe opisał go tak: „Okolo 25 lat, wzrost 170 cm, czarne, kędzierzawe włosy, nos zadarty, postać krępa. Mówił po niemiecku, był samotny. »Lulu« był pochodzenia żydowskiego, uwolniony z getta, nie nosił gwiazdy. Ten tajny współpracownik działał w PPR”.

Mauthe nie zdradził jego nazwiska. Ujawnił je w swoich zeznaniach Zborowski, ale w czasach stalinowskich nikt się nie zorientował, kim tak naprawdę był ten agent. Aż do teraz.

AS I WSPANIAŁY KOLEGA

„Polski przemysł rowerowy – motocyklowy jest obecnie w okresie dobrej koniunktury (...) sezon 1939 r. będzie z pewnością okresem wielkich tryumfów roweryzacji i motoryzacji” – taką opinią Ignacy Lubraniecki zakończył swoją dziennikarską karierę tuż przed wojną. Drugi numer „Informatora Branży Rowerowej”, którego był założycielem i wydawcą, okazał się wydaniem ostatnim.



Gdzie zastał go wybuch wojny i czy brał udział w kampanii wrześniowej – nie wiadomo. Wiadomo, że gdy w Warszawie powstało getto, przeniósł się tam z żoną i dzieckiem. A potem, zresztą jak kilku innych dziennikarzy – został w getcie policjantem. Właśnie w ten sposób szukał ratunku i być może wtedy dał się zwerbować Gestapo.

Zdradził to stalinowski śledczym jego przyjaciel Jan Zborowski. „»Ignacy« – Żyd, ale głowa!” – przyznał wtedy i ujawnił, że to właśnie „Lulu” stał się jego pośrednikiem z kpt. Spilkerem. Ale to później.

Bo wcześniej była Wielka Akcja, czyli wywózka 300 tysięcy warszawskich Żydów do Treblinki i Zagłady, która wymyka się jakimukolwiek opisowi. Lubraniecki uniknął najgorszego, przedostał się na aryjską stronę i kontynuował pracę dla Gestapo. Dlaczego to robił, Zborowski nie umiał wyjaśnić. Przecież nie miał powodu, by zauroczyć się nazizmem jak Łaszowski. Ten był tak zafascynowany Führerem, że pisał nawet powieść-pean na jego cześć.

Lubraniecki tymczasem stracił w getcie żonę i dziecko. Zborowski: „Raz siedzieliśmy w knajpie, bo »Ignacy« był moim człowiekiem, było nas czterech. »Ignacy« powiada – chłopcy, przypomniałem

sobie moje dziecko [które zginęło w getcie] i tłucze mnie chandra. Pojedziemy do Boernerowa do mojej pani [bo tam miał kochankę]. Zadzwonił, za chwilę przyjechała wspaniała limuzyna i pojechaliliśmy do Boernerowa”.

Limuzyna była niemiecka, a „Lulu” u kpt. Spilkera pracował na odcinku lewicy. Miał doskonałe kontakty, znał się choćby z doktorem Alfredem Fiderkiewiczem, przyjacielem Władysława Gomułki. Jeśli rzeczywiście były to kontakty bliskie (z Fiderkiewiczem znała się również narzeczona „Lulu” Halina Kwiecińska – to zapewne ta z Boernerowa), mógł znać kulisy politycznego zbliżenia PPR z podziemiem londyńskim na początku 1943 r. To przecież Fiderkiewicz inicjował tę próbę. Jak wiadomo, do tej polsko-polskiej współpracy ostatecznie nie doszło, negocjacje zostały zerwane po ujawnieniu przez Niemców zbrodni katyńskiej.

◀ Żydzi wyciągnięci z kryjówek podczas powstania w getcie warszawskim. Zdjęcie z raportu dowodzącego akcją Jurgena Stroopa

FOT. ZE ZBIORÓW IPN



Oprócz pracy w środowisku komuny „Lulu” przyjaźnił się z Zofią i Stefanem Korbońskimi. Małżeństwo było w podziemiu instytucją wręcz legendarną. On – szef Kierownictwa Walki Cywilnej, miał kontakty z większością liderów konspiracji. Zorganizował łączność radiową z Londynem i przekazywał tą drogą wiadomości, które po kilku godzinach wracały – jako głos z Warszawy – nadawane przez radiostację „Świt”. Ona z kolei pisała teksty i komentarze do Londynu.

Po wojnie pani Zofia w liście do Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku napisała, że Lubraniecki oddał tajnej łączności wielkie zasługi. „Ostrzegał o zamierzonych przez Niemców łapankach oraz wyłączaniu prądu elektrycznego w pewnych dzielnicach Warszawy, gdzie mieliśmy swoje lokale dla radiostacji” – napisała.

Nie przypuszczała, że ograniczanie czasu nadawania do Londynu z dwóch godzin do 15 minut w obawie przed złapaniem przez Gestapo mogło być jego sprawką.

Wiadomo również, że „Lulu” współpracował z Ludwikiem Szpinakiem vel Lisockim, innym agentem Gestapo.

I to właśnie z nim, już po wyzwoleniu, pojawił się w Krakowie. Szpinak wstąpił wtedy do Milicji Obywatelskiej i pracował w komendzie wojewódzkiej. Został kierownikiem referatu śledczego. A Lubraniecki zaczął się szykować do wyjazdu za granicę. Czy chciał uciekać przed komunistami, czy może wręcz przeciwnie...

„W ogóle Ignacy to był as i wspaniały kolega” – twierdził Zborowski. „Po wejściu bolszewików chciał, bym wraz z żoną i dziećmi wyjechał za granicę, ale odmówiłem. Stale mi gadał – ty stąd nie wyjedziesz, ty z nimi się nie dogadasz. Ja, gdybym został, to łapię kontakt z NKGB, ale ty od nich żywy nie wyjdziesz”.

Co w tym kontekście znaczy deklaracja: „łapię kontakt z NKGB”? Czyżby na serio szukał kontaktu z Sowietami? Jeśli tak, jego wyjazd do Rzymu należy traktować inaczej niż zwykłą ucieczkę.

JAKO OCALEŃCY Z ZAGŁADY

Na początku 1945 r. było już wiadomo, że Niemcy przegrały wojnę. Ktoś, kto miał coś na sumieniu, musiał uciekać na Zachód. Albo postarać się o alibi. „Lulu” jako agent Gestapo nie miał co liczyć na po-błażliwość.

W tym czasie poznaje Tadeusza Myślińskiego, przed wojną działacza ONR-u, prawnika i dziennikarza, podczas okupacji szefa wywiadu i kontrwywiadu Delegatury. Dziwne, że wcześniej na siebie nie wpadli, przecież obaj pracowali dla Spilkera, ale – była już o tym mowa – kapitan dbał o dyskrecję, nie ułatwiał swoim ludziom kontaktów.

Myśliński jest ważny dla tej opowieści, bo miał doskonałą pamięć i talent do opowiadania. Właśnie to jego gadulstwo pozwoli wkrótce stworzyć stalinowskim śledczym wielki akt oskarżenia liderów Państwa Podziemnego jako slugusów III Rzeszy.

Sprawa Myślińskiego, czyli jego zeznania i materiał procesowy, to dziś 30 teczek zgromadzonych w IPN. Wylania się z nich sfabrykowany na potrzeby śledztwa obraz AK jako kolaborantów III Rzeszy, ale i... zdumiewający (bo przecież bliski prawdy) ciąg dalszy losów „Lulu”.

Uciekać z kraju postanowili razem. Zawarli niepisany pakt: jeden będzie pomagał drugiemu. Ochraniał i dawał alibi. Wyjaśnił to Myśliński: „(...) do Lubranieckiego należy przygotowanie całej technicznej strony ucieczki i zapewnienie nam swobodnego dotarcia do takiego punktu, gdzie będą ambasady alianckie, a do mnie wyjednanie pomocy z ich strony oraz zaręczenie wobec emigracyjnych władz polskich, że nie był on agentem Gestapo, a tylko »delegacką wtyczką«, za której pośrednictwem rozpracowywaliśmy Niemców”.

Myśliński blefował. Tak naprawdę nie cieszył się wówczas zaufaniem podziemia. Jeszcze przed powstaniem warszawskim komendant Armii Krajowej odsunął go od obowiązków za zbytne zbliżenie z Gestapo. Myśliński liczył jednak, że nikt tego na Zachodzie nie wie.

Ich plan był następujący: Lubraniecki miał już dokumenty na nazwisko Izaaka Danzigers. Wystarczyło wyrobić wszystkim pozostałym, czyli swojej partnerce Halinie Kwiecińskiej oraz Tadeuszowi Myślińskiemu, jego żonie i jej córce, podobne dokumenty (również na nazwisko Danziger) i w drogę. Pikanterii dodawał fakt, że dokumenty Lubranieckiego pochodziły jeszcze z czasów jego pracy dla Gestapo. Było to zaświadczenie przyznające Danzigerowi obywatelstwo paragwajskie. Pochodziło z czasów akcji „Hotel Polski”.

W 1943 r. to była głośna sprawa. Funkcjonariusze warszawskiego Gestapo, w tym żydowscy agenci niemieckich służb, zaczęli sprzedawać ukrywającym się Żydom promesy wiz do państw Ameryki Łacińskiej. Upoważniały do bezpiecznego wyjazdu za granicę. Mimo że cała akcja odbyła się już po likwidacji getta, zatem niemiecki plan Zagłady był Żydom znany, wielu z nich uwierzyło w dobre intencje katów i wyszło z ukrycia. Dziś historycy oceniają, że w Hotelu Polskim na ul. Długiej w Warszawie na ocalenie czekało ok. 2500 Żydów. Tylko 300 z nich udało się przeżyć, reszta została zamordowana.

Lubraniecki „wyrobił” stosowne papiery i zaplanował wyjazd na Wielkanoc 1945 r. Rodzina Danzigerów, jako pracownicy organizacji YMCA, chciała dojechać do Krynicy, a stamtąd przedostać się na Węgry, potem do Jugosławii i Grecji. „Lulu” był perfekcjonistą, załatwił nawet z bezpieki przepustki





i auto. Myśliński był pod kolosalnym wrażeniem:

„Lubraniecki opracował w najdrobniejszych szczegółach historię uciekającej rodziny Danzigerów (...) i to, w jaki sposób wydostaliśmy się z getta warszawskiego, następnie zaś skąd znaleźliśmy się w obozie pod Wrocławiem”.

NIEDOSZŁY BĘKART WOJNY

Z Piotrkowa ruszyli 9 lub 10 kwietnia 1945 r. Lubraniecki tak opracował marszrutę, aby co chwila korzystać z pomocy lokalnych żydowskich gmin. W ten sposób przedostali się do Koszyc i spokojnie ruszyli dalej. Żydzi (również polscy) pomagali nawet wtedy, gdy pomocy odmówili amerykańscy i jugosłowiańscy dyplomaci w Budapeszcie.

Chichot historii: życie ONR-owcovi i agentowi Gestapo ratowały ich niedoszłe ofiary.

25 maja dojechali do Rzymu. Zmienili taktykę: zgłosili się zarówno do polskiej ambasady, było to już przedstawicielstwo Polski Ludowej, jak i do będącego w opozycji 2. Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa.

Postanowili wykorzystać zarówno dyplomatyczny chaos, jak i doskonałą polityczną sytuację, w jakiej znalazł się Anders, który był wtedy absolutnym bohaterem Włoch. Wielką estymą darzył go papież, król Wiktor Emanuel III uważał zaś za osobistego przyjaciela. Generał, który cały czas miał nadzieję na powojenną dogrywkę i nie rozpuszczał swojej armii. Miał uzasadnione nadzieje na obronę króla i papieża przed włoskimi komunistami.

I właśnie na tych nadziejach Lubraniecki i Myśliński postanowili zagrać. Przedstawili wywiadowi 2. Korpusu plan stworzenia specjalnej grupy operacyjnej z Lubranieckim na czele. Jej zadaniem miało być poszukiwanie na terenie Europy ukrywających się nazistów, również tych pracujących niegdyś w Polsce. Lubraniecki – jak z zapalem uzasadniał projekt Myśliński – znał przecież ich adresy w Niemczech. Jako wtyka Delegatury całkiem niedawno woził rodzinom funkcjonariuszy Gestapo paczki żywnościowe.

Ostatecznie z tych planów nic nie wyszło. Dla Myślińskiego było to tak rozczarowujące, że zwrócił się po pomoc do ambasady Polski Ludowej i wrócił do kraju.

Za to Lubraniecki w Rzymie odnalazł się doskonale. Najpierw poznał bliskich Mendela Michała Kossowera, przewodniczącego Centralnego Komitetu Syjonistów Demokratów Ichud w Polsce i członka prezydium Centralnego Komitetu Żydów. Ci wkręcili go w żydowskie środowisko Wiecznego Miasta, a tu już Lubraniecki zrobił prawdziwą furorę. Był przecież pierwszym Żydem, któremu udało się wyrwać z piekła Holocaustu i przedostać do wolnego świata. Poza tym miał coś, z czego trudno było teraz nie skorzystać: był dziennikarzem.

DEDYKACJA DLA PIUSA I EMANUELA

Opus magnum Lubranieckiego to zaledwie 29-stronicowa książeczka. Broszurę w prestiżowej serii Biblioteka Orla Białego wydał mu Oddział Kultury i Prasy 2. Korpusu. „Życie i śmierć ghetta warszawskiego” stała się sensacją. Od razu też wyszło wydanie po angielsku. Było to pierwsze tak obszerne sprawozdanie z getta, jakie ukazało się w Europie, pierwsza relacja z powstania, którą przeczytał wolny świat.

Reakcja była łatwa do przewidzenia. Recenzent „Żołnierza Wolności”, najpopularniejszego wówczas polskiego dziennika we Włoszech, porównał książkę do „Wspomnień starobielskich” Józefa Czapskiego uznawanych wówczas za literackie arcydzieło. Sensacja była tym większa, że przecież nikt nie kojarzył autora nowej literackiej perły.

„Należy przypuszczać (gdyż autor tę okoliczność pominął milczeniem), że jest to ktoś, co cały przez siebie opisywany okres czasu przeżył sam w getcie warszawskim, względnie ściśle powtórzył relację jakiegoś naocznego świadka. Wyczuwa się nadto, że autor (albo jego informator) doskonale jest zorientowany w stosunkach żydowskiego środowiska warszawskiego – sprzed i podczas wojny” – pisał dziennikarz „Gazety Żołnierza”. Nawet nie przypuszczał, jak blisko, a zarazem jak daleko był od prawdy.

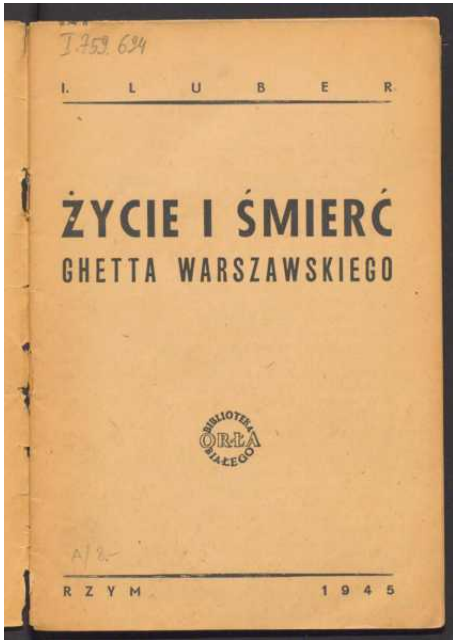
Ale zwrócił uwagę na coś jeszcze. Szokujące jest to, pisał, że dokument nie ma pretensji literackich. Jego potężna moc ukryta jest w formie: „Bardzo znamieną właściwością autora jest to, że unika wszelkich akcentów cierpiętnictwa i że nie przemilcza dość licznych momentów ujemnych swego własnego środowiska, do powstania których warunki bytowania w ghetcie musiały być doskonałą i nieuniknioną pożywką”.

Oznacza to ni mniej, ni więcej, że Lubraniecki zdążył dostosować formę dzieła do wrażliwości Polaków na emigracji. Do ich zakamuflowanego i ambiwalentnego stosunku do Żydów. To jego kolejny majstersztyk.

Bo jeszcze inny to kontakt z duszpasterstwem mojżeszowym przy 2. Korpusie. Do książki „Żyd Polski – Żołnierz Polski” w opracowaniu pisarza Hugona Schlesingera i strzelca z 2. Korpusu Stanisława Borkowskiego Lubraniecki napisał krótki rozdział. Ta książka miała już inne zadanie. Miała zadać kłam antysemickiej tezie, że Żydzi są narodem tchórzy niezdolnych do obrony swej godności. Bo – jak pisał we wstępie Schlesinger – każdy Żyd walczył „na frontach czy w podziemiach, w mundurze żołnierskim czy w cywilu, mężczyzna i kobieta, inteligent i robotnik – wszyscy zjednoczeni, bez jakiegokolwiek różnicy, tocząc gigantyczną walkę o wolność i lepsze, sprawiedliwsze Jutro...”.

Jak w tym heroicznym klimacie czuł się były agent Gestapo, który jeśli w ogóle widział walki w getcie, to obserwował je zza pleców niemieckich żołnierzy?

Nie spoczął na laurach. Pisanie pisanem, laudacje laudacjami, ale miłość do agenturalnej branży nie rdzewieje. Gdy we wrześniu 1945 r. ambasadorem Polski



• **Wydana w Rzymie w 1945 roku książka „Życie i śmierć ghetta warszawskiego”. Jej autor Ignacy Lubraniecki używał już wtedy nazwiska Ignacy Luber**

FOT. ZE ZBIORÓW BIBLIOTEKI NARODOWEJ

Ludowej w Rzymie został Stanisław Kot, Lubraniecki zameldował się u niego jako wysłannik z Polski. Szybko wkradł się w jego łaski i został... osobistym szpiegiem w środowisku 2. Korpusu.

To samo – tylko w drugą stronę – zaproponował wywiadowi 2. Korpusu. Tym razem propozycja została przyjęta. Zaczął szpiegować dyplomatów Polski Ludowej. Tak się w tym odnalazł, że przeprowadził nawet udany napad na kuriera ambasady o nazwisku Damaszkiewicz. Jego łupem padł worek z pocztą dyplomatyczną.

Marzec 1946 r. to szczyt jego popularności. Właśnie wtedy udało mu się uzyskać audiencję u Jego Świątobliwości. Tadeusz Myśliński – który znów pojawił się w Rzymie i do niego dołączył – przecierał oczy ze zdumienia. Zeznał potem, że po napisaniu relacji z getta Lubraniecki „reklamował ją na prawo i lewo i posunął swą bezczelność tak daleko, że wystarał się o audiencję u króla włoskiego i u papieża, gdzie przedstawiał się jako ofiara bestialstw niemieckich i składał swą książeczkę z odpowiednio spreparowanymi dedykacjami”.

HAVANA LIBRE!

To wciąż było mało. „Lulu” postanowił zagrać va banque.

Do Rzymu zaczęli bowiem zjeżdżać zwolnieni z niemieckich obozów kombatancki powstania warszawskiego.

Myśliński: „Poznawszy por. Otockiego, oficera AK, który wstąpił do 2. Korpusu, dogadał się z nim co do wspólnej służby podczas Powstania Warszawskiego, a następnie tego, że na ostatnich listach odznaczeń, wydanych na krótko przed kapitulacją znajdowało się nazwisko Lubranieckiego jako odznaczonego Krzyżem Virtuti Militari”.

W ten oto sposób agent „Lulu” stał się bohaterem wojennym. Zaczął brylować w rzymskich salonach, świecąc w klapie miniaturką najwyższego polskiego odznaczenia wojskowego. I pewnie brylowałby dalej, gdyby nie... koledzy po piórze.

Tu i ówdzie zaczęły się pojawiać głosy o jego mrocznej przeszłości. Jesienią 1946 r. popularny wśród Polonii dziennikarz Zdzisław Bau napisał o nim w „Życiu Tygodnia”. Już po krótkim dziennikarskim śledztwie wiedział, że nie tylko jest o czym pisać, ale również są powody, by postawić Lubranieckiego przed sądem. Wspomniany już Kossower powiadomił bowiem środowisko rzymskich Żydów, że „Lulu” podczas okupacji wyłapywał ukrywających się i oddawał ich w ręce Gestapo.

A jednak żaden tekst się nie ukazał. Skandalu nie było. Inicjatywę storpedował Myśliński. Nastraszył dziennikarza potwornymi konsekwencjami. Właśnie na taki wstyd Ojca Świętego czekają komuniści! – argumentował.

Grunt pod stopami „Lulu” był już jednak rozgrzany. Musiał uciekać. Do przodu!

Lubraniecki pojechał do Londynu, gdzie przedstawił się jako agent Delegatury, a stamtąd wyemigrował na Kubę. Okazało się, że w Hawanie ma kuzyna, który zatrudnił go w swojej firmie i dał czas na przemysłowe sprawy.

Efektem była kolejna skromna książeczka – zbiór reportaży z powstania warszawskiego. Wydany własnym sumptem, został rozesłany do wszystkich liderów Polonii na całym świecie. „Za przesłaną mi pięknie wydaną broszurę pańską o powstaniu warszawskim, którą z wielkim zainteresowaniem przeczytałem, serdecznie dziękuję” – odpisał mu były dowódca AK i naczelny wódz gen. Tadeusz Bór-Komorowski.

Za kilkanaście lat Lubraniecki dostanie od londyńskich władz kolejne polskie odznaczenie.

DO ZOBACZENIA NA WOLI

Na Kubie Lubraniecki zmienił tożsamość. Już jako Ryszard Luber zaczął w Hawanie karierę polonijnego działacza. Wydawał biuletyn dla Polonii i emigracji, pisał listy do rządów i głów państw Ameryki Łacińskiej. Wygłaszał referaty o sytuacji za żelazną kurtyną i usiłował dotrzeć do prasy zachodniej. Straszyl Sowietami, opisywał stalinowskie metody.

Po kubańskiej rewolucji wyjechał do USA i osiadł w Kalifornii. W Los Angeles jako człowiek zamożny opiekował się Polonią, działał w kółku AK. Utrzymywał kontakt z małżeństwem Korbońskich, na ich prośbę przysyłał dolary dla byłych żołnierzy podziemia.

U progu nowego milenium zaczął chorować. W wieku 87 lat poprosił Zofię Korbońską o pomoc. Chciał jej podyktować dzieje swojego życia. Opowieść o wojnie i spotkaniach z gen. Andersem, Borem-Komorowskim, papieżem i królem Włoch. Chciał je wydać drukiem. Ostatnią książkę.

Nie zdążyli. Pani Zofia zdeponowała jego skromne archiwum w Instytucie Piłsudskiego w Nowym Jorku.

Wśród dokumentów są niepublikowane utwory. Akcja jednego z opowiadań pt. „Wola” toczy się na powstańczej barykadzie. Tekst kończy się zdaniem: „Nie wiem, gdzie znajduje się mój drogi towarzysz z warszawskiej barykady, czy tuła się gdzieś po świecie, czy jest w kraju i zmuszony jest słuchać przemówień komunistycznych agentów. Ale jedno jest pewne, na pewno zobaczymy się na Woli, w wolnej już Warszawie”.

Ignacy Lubraniecki, czyli Ryszard Luber, agent „Lulu”, zmarł w 2003 r. W oficjalnym spisie powstańców ani kawalerów krzyża Virtuti Militari go nie ma. ●

Dziękuję za pomoc Dariuszowi Libionce z Centrum Badań nad Zagładą Żydów, Ewie Winnickiej (Nowy Jork) i Tommasowi Dell'Erze (Rzym).

Gestapowiec Erich Mauthe opisał po wojnie
superagenta tak: Około 25 lat, wzrost 170 cm,
czarne, kędzierzawe włosy, nos zadarty,
postać krępa. Mówił po niemiecku, był
samotny. „Lulu” był pochodzenia żydowskiego,
uwolniony z getta, nie nosił gwiazdy

Wczoraj, czyli dziś

Legion samobójców

Tuz przed wojną na „żywe torpedy” zgłosili się w większości młodzi mężczyźni, ale również 150 kobiet, w tym jedenastolatka.

Maciejewska



„Otóż ja i moi dwaj szwagrowie wzywamy wszystkich tych Polaków, którzy niezwłocznie chcą oddać życie za Ojczyznę, jednak nie w szeregach armii razem ze wszystkimi, lecz w charakterze żywych torped” – zaapelował w maju 1939 r. Władysław Bożyczko. Zgłosiło się prawie 5 tysięcy kandydatów, pierwsi polscy kamikaze złożyli przysięgę 29 czerwca.

Odzew na wezwanie trzech warszawiaków przeszedł najśmielsze oczekiwania, choć był to tylko list do redakcji „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, zamieszczony na stronie 6. Władysław Bożyczko razem ze swoimi szwagrami, braćmi Edwardem i Leonem Lutostańskimi przekonywali, że „żywe” torpedy to praktyczny pomysł.

Po pierwsze, niezawodnie trafią do celu, a „każda zmarnowana torpeda, bomba i mina kosztuje dużo pieniędzy, których nadmiaru nie mamy”.

Po drugie, straty osobowe też będą zminimalizowane, bo zginie tylko jeden człowiek, który „zaoszczędzi życie innym żołnierzom, zniszczy zaś wielu wrogów”.

Po trzecie, „do tego celu nie są potrzebni ludzie zupełnie zdrowi z kategorii A, B czy C, lecz może to być nawet człowiek ułomny, który twar-do postanowił oddać życie bez reszty, bo musi przede wszystkim powiedzieć sobie, że dla niego w ogóle nie ma szansy ocalenia”.

Autorzy listu przekonywali, że nie są desperatami, dla których życie straciło sens: „Ja jestem urzędnikiem państwowym, szwagier jest pracownikiem miejskim, drugi szwagier jest masarzem, zarabiamy nieźle, jesteśmy silni i zdrowi. Tylko nie wiemy, gdzie się mają zwracać kandydaci. Proszę to wydrukować!”.

„IKC” wydrukował i wysłał dziennikarzy na Targówek, do drewnianego domku trzech szwagrów. Zastali tylko jednego, 28-letniego Edwarda Lutostańskiego, który akurat naprawiał rower. Okazało się, że pracuje w miejskiej betoniarni, jest kapralem rezerwy i drużynowym w Związku Strzeleckim.

TYSIĄCE CHĘTNYCH NA ŚMIERĆ

Nie oni pierwsi wpadli na taki pomysł, bo zgłoszenia od ochotników na pilotów „żywych torped” (wzorujących się na Japończykach) napłynęły do Marynarki Wojennej już w 1937 r., ale nagłośnienie medialne zrobiło swoje. Tym bardziej że list Bożyczki i Lutostańskich ukazał się dzień po słynnym przemówieniu sejmowym ministra



• Strona „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” z 6 maja 1939 roku z listem ochotników na „żywe torpedy”

spraw zagranicznych, Józefa Becka, który odrzucił żądania Hitlera.

Sam „IKC” dostał do końca maja 1300 zgłoszeń kandydatów na „żywe” torpedy, w sumie przyszło ich prawie 5 tysięcy. W większości młodzi mężczyźni, ale gotowość udziału w samobójczych atakach zadeklarowało również 150 kobiet, z których najmłodsza miała 11 lat.

Wprawdzie samobójcze torpedy w polskiej armii nie istniały, ale w Sztabie Generalnym Wojska Polskiego stworzono specjalny referat, który wytypował 250 kandydatów do ryzykownych akcji dywersyjnych na tyłach wroga. Pierwsi z nich złożyli przysięgę 29 czerwca.

Marynarka Wojenna też wyselekcjonowała do wstępnego szkolenia w Gdyni 83 ochotników, którym powiedziano, że trwają prace doświadczalne nad 16 egzemplarzami prototypowych łodzi specjalnych i w odpowiednim momencie zostaną wezwani.

Być może była to akcja dezinformacyjna polskiego wywiadu lub działanie propagandowe, bo nie ma żadnych dowodów na takie prace. Ani na wezwanie ochotników-samobójców we wrześniu 1939 roku.

WARTO CZASEM UWIERZYĆ JEŃCOM

Samobójcze ataki z użyciem torped znane były już w czasie I wojny światowej, choć określenie „samobójcze” nie jest do końca prawdziwe, oznacza tylko wysokie ryzyko śmierci. Operatorzy torpedy mieli szansę na ratunek, co osobiście zademonstrował włoski major Raffaele Rossetti, konstruktor torpedy zwaną Mignatta (Pijawka).

Mogła przenosić dwa odczepiane ładunki wybuchowe wyposażo-

ne w mechanizmy zegarowe i uchwyt-y magnetyczne, ale nie miała żadnych urządzeń sterowych, a kierowali nią dwaj operatorzy uczepieni kadłuba. Nie mieli zestawów do nurkowania, musieli trzymać głowy nad poziomem wody, więc byli łatwym celem.

Mimo to Rosetti razem z wojskowym lekarzem Raffaele Paoluccim przeprowadził atak na bazę w Puli, gdzie 1 listopada 1918 roku zatopili pancernik „Viribus Unitis”, dumę floty austro-węgierskiej. A przynajmniej tak sądzili.

Gdy podkładali ładunek, nie wiedzieli, że dzień wcześniej okręt ten został przekazany nowo powstałej flocie państwa Słowenców, Chorwatów i Serbów, zmieniając nazwę na „Jugoslawija”.

Dowiedzieli się po wzięciu ich do niewoli i ostrzegli nowego dowódcę pancernika, że o 6.30 będzie eksplozja. Chorwacki admirał Janko Vuković (dowodził flotą zaledwie 12 godzin) zarządził ewakuację załogi, a włoskich jeńców kazał przenieść na siostrzany okręt, „Tegetthoff”, ale o oznaczonej godzinie nic nie wydarzyło. Uznał więc, że Włosi kłamią, kazał załozde wrócić na pancernik i to dopiero była decyzja samobójcza.

Ładunek eksplodował z opóźnieniem. Okręt, admirał i 300-400 osób załogi legli na dnie. Za to operatorzy „żywej torpedy” przeżyli i po wojnie zostali obsypani zaszczytami.

SZARŻE NA ŚWINIACH

W czasie II wojny światowej „żywe torpedy” też były w użyciu. Włosi wprowadzili nowy typ, nazwany wdzięcznie „Świnia” (Maiale), bo siedzący okrakiem operatorzy z trudem nią sterowali.

Wyposażona w silnik elektryczny poruszała się na powierzchni z szybkością 2,5 węzłów na godzinę (4,6 km) i mogła się zanurzać na głębokość 30 m.

Żałoga była w skafandrach i miała aparaty tlenowe pracujące w obiegu zamkniętym – na powierzchnię nie wydostawały się pęcherzyki powietrza, mogące zdradzić pozycję nurka. Torpeda została wyposażona w odczepianą głowicę z 220 kg trotylu (późniejsze modele 300 kg) i z zapalnikiem zegarowym.

Najbardziej znaną akcją z użyciem „Świń” była operacja w porcie w Aleksandrii, w nocy z 18 na 19 grudnia 1941 roku. Brytyjczycy dowiedzieli się o planowanym ataku, więc wokół pancerników HMS „Queen Elizabeth” i „Valiant” rozciągnięto sieci przeciwtorpedowe, wzmocniono też patrole i posterunki obserwacyjne. Ale „Świnie” weszły do bazy i włoscy komandosi zdolali postawić miny pod „Queen Elizabeth”, „Valianta” i norweski tankowiec „Sagona”. Podczas zakładania ładunku pod „Valianta” zostali jednak schwytani i umieszczeni na zaminowanym przez siebie pancerniku. Dwadzieścia minut przed eksplozją powiedzieli kapitanowi, że pancernik wyleci w powietrze, ale ewakuacji nie zarządzono. Punkt szósta rano wszystkie ładunki wybuchły. Zginęło ośmiu marynarzy.

Włosi wyłączyli z akcji HMS „Queen Elizabeth” na prawie 1,5 roku, „Valianta” na ponad pół roku oraz zniszczyli norweski zbiornikowiec „Sagona”. Przez kilka miesięcy transporty z zaopatrzeniem dla Afriki Korps napotykały mniejsze przeszkody.

Wszyscy komandosi zostali schwytani (również ci, którzy wyszli na ląd), ale przeżyli i cieszyli się sławą. Nawet Winston Churchill uznał, że ich czyn to „przykład niezwyklego męstwa i odwagi”.

„NEGER” ZABIJA „DRAGONA”

Ofiarą ataku „żywej torpedy” był także pierwszy krążownik w polskiej flocie, ORP „Dragon”, przekazany przez Brytyjczyków w 1943 roku. Odnaczył się m.in. w czasie lądowania w Normandii, poległ dwa miesiące później, ostrzeliwując niemieckie pozycje w okolicach Caen. Został zaatakowany 8 lipca 1944 roku przez niemiecką „żywą torpedę” typu „Neger”, kierowaną przez 20-letniego Karla Heinza Potthasta. Trafiła w lewą burtę na wysokości maszynowni i wyrwała ogromną dziurę. Śmierć poniosło 37 marynarzy, rannych zostało 14, a krążownik niemal rozpadł się na dwie części. Nie opłacało się go remontować, więc Brytyjczycy „Dragona” zatopili, aby służył jako wzmocnienie falochronu tymczasowego portu „Mulberry”.

Operator torpedy wycofał się z miejsca ataku, ale został wykryty przed powrotem do bazy i z pękniętymi płucami, plujący krwią, wyłowiony z wody przez Brytyjczyków. Po wojnie został nauczycielem i dyrektorem szkoły. Być może ta misja samobójcza ocaliła mu życie. ●

Beata Maciejewska

Zawód kowboja,
podobnie jak krowa,
został importo-
wany z Hiszpanii
przez Meksyk.

Skazani na rodeo



• Doroczna kowbojska parada w „polskim” miasteczku Bandera w Teksasie

FOT. CAROL M. HIGH SMITH / LIBRARY OF CONGRESS

Ewa Winnicka

Kilka kroków od domu Daviśów znajdowała się miejska biblioteka z czytelnią i imponującym działem Texana obejmującym dwa dwustronne regały, czyli jedną trzecią całego księgozbioru. Ignatiusa Adamietza znalazłam w piątym numerze „Dude Wranglera” z 1962 roku. Przedstawiony jako „szanowany obywatel”, tłumaczy reporterowi, że nadchodzi wielka zmiana. Bandera [miasto w Teksasie, gdzie w 1856 roku przybyli polscy osadnicy – red.] przestaje być miastem hodowców krów, jej znakiem firmowym staną się rancza turystyczne, gdzie przyjeźdźni z miasta będą mogli spróbować prostego życia kowboja. Przewidywania Adamietza spełniły się w 2013 roku, kiedy Bandera otrzymała tytuł Kowbojskiej Stolicy Świata.

Mieszkańcy wywalczyli w Kongresie historic mark, oficjalne oznaczenie historyczne. Lobbowała za nim siostra Roya Dugosha, zmarła w 2021 roku Eleonora Dugosh Goodley. Wysyłała listy do gubernatora Grega Abbotta i członka Izby Reprezentantów Lamara Smitha. Przedstawiała dowody, że osada powstała przy głównym szlaku przepędzania bydła na północ

Stanów, a w restauracji OST (Old Southern Trail) przy głównej ulicy żeberka zjadł John Wayne podczas przerw w kręceniu filmu Alamo. Światową stolicą kowbojów już w 1948 roku nazwała Bandere gazeta z San Antonio. Od tego czasu tytuł ten pojawiał się w wielu czasopismach na całym świecie.

Tradycję aktywizmu podtrzymuje dzisiaj Roy, który w historycznych ubraniach odgrywa z kolegami sceny napadów na banki.

PAROBKI OD BYDŁA

Samuel Crawford, bankier, był Teksasem, obecnie teksańskosceptyczny nowojorczyk, który ostrzegł mnie przed zauroczeniem tutejszym wiejskim stylem życia, przypomina, że zawód kowboja był istotny zaledwie przez 20, najwyżej 30 lat XIX wieku. Podobnie jak krowa został importowany z Hiszpanii przez Meksyk. Wynaturzenie tej profesji przybrało, mówi Samuel, niesłychaną formę. Im mniej kowboje byli potrzebni na ranczach, tym częściej mogli oglądać filmy o swoim bohaterstwie i wyjątkowości. Jeszcze przepędzali bydło do Kansas, kiedy Buffalo Bill, weteran wojen z miejscowymi plemionami, wymyślił objazdowy cyrkoteatr, do którego zatrudnił

mieszkańców rezerwatów i kowbojów popisujących się rzucaniem lassem, jazdą konną i walką na niby. Następnie ruszył w światową trasę, wzbudzając entuzjazm nawet w Europie Wschodniej.

Krowy przyplnęły do Meksyku na początku hiszpańskiej kolonizacji. Hodowla krów iberyjskich i koni andaluzyjskich stała się jednym z najbardziej rentownych zajęć na nowym kontynencie. Popyt na mięso i skóry był ogromny, więc właściciele bydła powiększali stada i tereny, gdzie je hodowali, aż w końcu do pomocy potrzebowali parobków, vaqueros.

Ci pochodzili głównie z meksykańskiego chłopstwa i wykonywali większość pracy na ranczach. W suchym klimacie do ich obowiązków należało wyszukiwanie terenów w wystarczającym stopniu porośniętych zieloną trawą. Anglosasi, którzy osiedlili się w Meksyku, nazwali tych parobków kowbojami.

Bydło hodowało się na własne i sąsiedzkie potrzeby. Kiedy pod koniec wojny secesyjnej utworzono pierwszą masową rzeźnię, a potem następne, oraz fabryki paczkowanego mięsa w Chicago – zapotrzebowanie urosło do gigantycznych rozmiarów. Północ była coraz gęściej zaludniona i chciała jeść mięso, które z Teksasu i Kalifornii musiało dojść na własnych nogach do stacji kolejowej, a potem doje-

chać do Chicago. Kowboje spędzali je do miejscowości Sedalia w Missouri. Pierwsze próby przejścia w latach 50. XIX wieku były nieudane, ponieważ farmerzy z Kansas nie pozwolili teksaskim krowom wkroczyć na swoje terytorium. (...)

MISTRZOWIE Z BANDERY

Od początku tego wieku natomiast zyskiwali świadomość, że należą do wyjątkowej grupy zawodowej. Z pokazów podobnych do Buffalo Bill's Wild West oraz filmów dowiadywali się, że rozwinęli odrębną, atrakcyjną kulturę opartą na wartościach wiktoriańskich: rycerskości, patriotyzmie, samodzielności i uczciwości. Musieli być zdziwieni.

Aby sprawnie przepędzać bydło, trzeba było dobrze opanować jazdę konną i łapanie za pomocą lassa krów oddalających się od stada. Umiejętnościami tymi kowboje chwalili się między sobą podczas spędów, a potem przed publicznością. Tak powstało rodeo, skomercjalizowane od lat 50. pokazy kowbojskich sprawności.

Bandera była skazana na rodeo, ponieważ kowboje przepędzający bydło Old Western Trail zatrzymywali się tutaj, żeby odpocząć i odnowić zapasy. Zafascynowani kowbojami młodzi chłopcy z miasteczka

uczyli się jeździć konno i ćwiczyli w rzucaniu liną. Miejscowe rodeo zaczęło działać w 1924 roku, a zawodnicy z Bandery zdobywali tytuły mistrzów świata. W 1938 roku urodzony w Banderze Toots Mansfield został mistrzem świata w łapaniu byków za nogi i sześć razy powtórzył ten wyczyn. (...)

W Banderze poznałam Dana Andersona, potomka Dziuków z Rozmierzy, który rano prowadzi biuro doradztwa finansowego (fundusze emerytalne), a wieczorami organizuje transport niewielkiego stada z jednej farmy na drugą, tam, gdzie rośnie więcej trawy. Mary Rohrbach, finalistka zawodów jeździeckich Miss Rodeo Texas z 1981 roku, w wieku 85 lat codziennie odbywa przejażdżki, dbając o swój przydomowy padok i utrzymanie niskiej wagi. Wnętrze jej salonu ozdabiają wyłącznie siodła, wyszukane klamry i fotografie ze zwycięskich przejazdów wokół beczek, czyli damskiej konkurencji rodeo. Spotkałyśmy się na tańcach w jednym z barów w Banderze. Powiedziała, że jeśli nie będzie mogła wsiąść na konia – umrze.

Doktor Jim Mazurkiewicz z Bryan łączy pracę naukową w College Station z hodowlą krów i sędziowaniem na wystawach bydła. Charlsie Browne pracuje w biurze informacji turystycznej, ale po południu wraca na rancho, by pomóc mężowi Bobowi Wheelerowi, trenerowi koni i byków.

– Kowboj zburzył mur berliński – podsumował całą tę historię właściciel baru 11th Street Cowboy w Banderze. Miał na myśli Ronalda Reagana, który – zanim został prezydentem USA – był aktorem odgrywającym role kowbojów.

KURDUPEŁ W SIODLE WYGLĄDA LEPIEJ

W czasach młodości Bob był zawodnikiem, potem prowadził własny biznes rodeo. Jako chłopiec na początku lat 70. trzykrotnie wygrywał zawody ujeżdżania cieląt na rodeo w San Antonio. W 1992 roku te same zawody wygrał jego syn Logan. Obecnie Bob zajmuje się szkoleniem byków i koni na zawody sportowe, ale na niewielką skalę. W przerwie na lunch, by nie wyjść z wprawy, łapie ganiające po wybiegu byczki. Czasem na roping dołączają synowie, którzy kiedyś przejmą rodzinną firmę.

Teraz buja się w fotelu na werandzie, zabijając czas skęcaniem ozdobnych kwiatków ze zużytych lin. Obok na stoliku, w plastikowych doniczkach zagony uplecionych słoneczników. Pasja przejęta po szydełkującej babci przydała się, gdy przechodził rekonwalescencję po tym, jak podczas upadku z konia złamał kręgosłup. Przez rok nie wpuszczano go na siodło. Od strony ojca jest Niemcem, Polakiem, Irlandczykiem, ze strony matki Skandynawem.

– Przyjechalіśmy do Ameryki w XIX wieku. Czterech braci, w tym mój pradziadek. Osiedli w Teksasie, dwóch wzbogaciło się

na ropie. Mój pradziadek z żoną i dziećmi ciężko harowali na ranchach. Dziadek ożenił się z babką podczas zawodów rodeo z okazji 4 lipca, siedząc w siodle. Kiedy się zestarzał, został spikerem na rodeo, a potem zaczął organizować zawody dla dzieci. Nie miałem wyjścia: pierwszą klamrę, nagrodę za występy na koniu, zdobyłem jako sześciolatek. Dzisiaj dzieciaki ujeżdżają owce, ja zaczynałem na cielakach. Kiedy skończyłem dziesięć lat, zacząłem rzucać lassem. Przez 30 lat jeździłem na wściekłych bykach, koniach, cielakach, gdzie się dało. Byłem dobry, ale gdy dorosłem, przestałem wygrywać.

– Dlaczego?
– Im jesteś większy, tym większą masz przewagę nad koniem. Jestem duży i ciężki, więc z łatwością ujeżdżałem najbardziej wredne zwierzęta. Nie dałem się zepchnąć. I niestety, dostawałem mniej punktów niż kurduple, którzy ładniej wyglądali na koniu. To stawalo się nudne, poddałem się. Wygrywałem w ropingu, mało kto mógł mi dorównać. No ale łamałem kręgosłup, a potem urwałem palec.

KOŃ NADEPNĄŁ MI NA PLECY

Bob milknie, a wtedy nadchodzi Charlsie z herbatą i piwem. Była kiedyś właścicielką rancha dla turystów, następnie pracowała na pół etatu w jednym z barów w Banderze. (...)

– Nie rób teatralnej przerwy – zwraca się do męża. – I tak opowiesz jej o tych wypadkach. Ona nie ma gdzie uciec.

Rozluźniony Bob znów zaczyna mówić:
– Kręgosłup poszedł na zawodach saddle bronc. To korzenie rodeo, freestyle. Siadasz na gołe siodło, nie masz niczego, żeby się trzymać, żadnych uchwytów, jedna ręka w górze i jedziesz. Masz się utrzymać standardowe osiem sekund. Zaczynasz jak zwykle: siedzisz na bramce przed areną, sędzia daje sygnał, przesiadasz się na konia i próbujesz nie spaść. Jak się utrzymasz, podjeżdżają do ciebie dwaj pomocnicy: jeden, żeby trzymać wrednego konia, drugi, żeby cię zabrać na swoje siodło. No i koń pierwszego spłoszył się i odskoczył, mój za nim. Spadłem, bo miałem się właśnie przesiadać. Pomocnik z tyłu nie złapał mnie, choć powinien. Wtedy koń, na którym jechałem, nadepnął mi na plecy. Przeszedł po mnie, wyobrażasz sobie? Rok zajęła mi rehabilitacja. Zacząłem kręcić słoneczniki, a potem jeszcze ozdoby ze starych podków. Facet od ubezpieczeń kazał mi znaleźć bezpieczne zatrudnienie. Wielkiego wyboru w okolicy nie było, mogłem zostać pomocnikiem fryzjera. Pomyślałem: dobra, zaplałałem koniom ogony i grzywy, babom też mogę zaplatać.



• Roy Dugosh i Bob Wheeler, kowboje z Bandery

FOT. EWA WINNICKA

Charlsie uśmiechnęła się grzecznościowo i wzniosła oczy ku niebu. Musiała słyszeć ten żart nieskończenie wiele razy.

– A palec?
– Palec straciłem na zawodach rzucania lassem w Nowym Meksyku. Spadłem i przygniotłem ciałem dłoń, w której trzymałem linę. Do liny uwiązany był koń. Pociągnął, a ja nie zdążyłem wypłatać dłoni. Tyle. Po drugim wypadku zabrałem się do trenowania koni dla profesjonalnych zawodników i hodowli byków. Miewałem ich i 300. Kochałem trenowanie.
– Co potrafi robić dobrze wyszkolony koń?
– Słuchać kowboja ze zrozumieniem.

Kowboj łapie wołu na lasso albo za przednie, albo za tylne kopyta. Zatrzymuje zwierzę i powala. Większość koni pracuje przy łapaniu tylko przednich lub tylko tylnych nóg. Ja trenowałem konie wszechstronne, taka była moja metoda. Jeśli masz podejsć do konia, on zrobi wszystko, co chcesz. Ale na zawodach liczy się też szczęście, bo losujesz zwierzęta, na których musisz się utrzymać, i te, które musisz złapać. Niektóre byki są bardzo szybkie, niektóre niesamowicie kopią, inne kręcą łbem i też trudno zarzucić na nie linę. To wymaga ogromnej wiedzy: od człowieka i konia.

– Wszystkie twoje byki występowały na rodeo?
– Tylko te kopiące, reszta wcześniej czy później szła na kotlety. Biznes się zmienia, kiedyś sprawdzało się charakter byków, dziś są hodowane, karmione i trenowane na specjalnych maszynach, uczą się kopać. Rozmnaża się najbardziej energiczne. Większość dużych hodowców buduje dla byków specjalne tory, po których codziennie ganiają, żeby być w formie.

NASZE WARTOŚCI I NASZE NARZĘDZIA

Dzięki umiejętności rzucania liną, doświadczeniu w ujeżdżaniu i szkoleniu koni oraz z powodu tęsknoty za Ameryką, jakiej doświadczaali żołnierze wysyłani za ocean, Bob zwiedził całą Europę. Na pomysł, by pojechać tam z pokazami Wild West Shows, wpadł znajomy Alan Jacobs. Ożenił się z Niemką i zamieszkał na obrzeżach Frankfurtu. Zorientował się, że rozmieszczenie baz US Army w Europie daje możliwości biznesowe. Wystąpił więc z propozycją dla wojska: armia płaci za przewóz ludzi i zwierząt, w zamian dostaje przedstawienie. Wydano zgodę.

Wkrótce konie i byki wsiadły na statek, a kowboje – do samolotu. Występowali dwa razy w tygodniu: w Holandii na lodowiskach, w Hiszpanii na boiskach piłkarskich, w Anglii na boiskach do polo. W Niemczech wszędzie tam, gdzie dało się rozstawić przenośną arenę.

– Mielіśmy mnóstwo roboty, po każdym weekendzie przenosiny w inne miejsce. Pakowanie i jazda kawalkadą. Prowadzenie ciężarówek, bo armia zapomniała dać nam

swoich kierowców. Ale reakcja publiczności była wspaniała. Rozumieli nasze wartości.

– Jakie dokładnie?
– Zamiłowanie do wolności, ciężkiej pracy i szacunek dla kowbojów. Zarobiliśmy kupę kasy.
– A jak podróże znosiły zwierzęta?
– Podróż. Pojechały w jedną stronę. Zostawiliśmy je w Mannheim. To nasze narzędzia pracy, nie można się do nich przyzwyczajać.

SZLAKIEM BUFFALO BILLA

Przedstawienia rozpoczynały się od pokazu ujeżdżania przez wojskowych i przez rdzennych mieszkańców Ameryki oraz ubranych w barwne stroje wykonawców z całego świata: Turków, Arabów, Mongołów, Gruzinów i Meksykanów. Czasem do występów zapraszano postacie znane, takie jak wódz z plemienia Siuksów, lub egzotyczne, jak kobieta, która potrafiła zestrzelić papierosa z ust towarzysza czy trafiała z odległości 30 kroków w monetę wyrzuconą w powietrze. Wykonawcy inscenizowali pracę kurierów pocztowych, indiańskie ataki na pociągi i napady rabunkowe na dyliżanse.

Finalną scenę uświetniał często sam założyciel cyrku. Przebrany za kowboja wjeżdżał na koniu i ratował osadnika, czyli osobę z widowni. Początkowo Buffalo Bill jeździł tylko po Ameryce Północnej, lecz z biegiem czasu zaczął odwiedzać Europę. Występował w Wielkiej Brytanii, a potem ruszył w głąb kontynentu, do Francji, Hiszpanii, Włoch, Belgii, Holandii i Niemiec. W 1906 roku Buffalo Bill i jego cyrk odwiedzili między innymi Rzeszów, Kraków i Przemyśl. Podróżowali koleją: 500 osób i 800 koni.

• Aby zostać mistrzem świata, albo chociaż Stanów Zjednoczonych, należy cały rok brać udział w lokalnych zawodach. By w ogóle stanąć do rywalizacji, trzeba mieć dobre konie i pieniądze na wpisowe, ciężarówkę i przyczepę, czasem mieszkalną. Zwykle zawodnicy posiadają siedem, osiem koni – te, na których wygrywają, te, na których ćwiczą, i te, które trenują. Podczas grudniowych National Finals Rodeo w Las Vegas 15 zawodników w każdej konkurencji walczy o koronę mistrza świata. Rywalizacja trwa dziesięć dni. Można wygrać roczną pensję i znaleźć sponsora. ●

Tytuł i śródtytuły od redakcji.



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ewa Winnicka

• Reporterka, autorka książek „Londyńczycy”, „Angole”, „Nowy Jork zbuntowany”, „Milionerka”, „Był sobie chłopczyk” oraz „Greenpoint”. Współautorka książek „Głosy” i „Władcy strachu” (napisanych wspólnie z Dionisiosem Sturisem), „1968” (z Cezarym Łazarewiczem) oraz „Jak się starzeć bez godności” (z Magdaleną Grzebańkowską). Trzykrotna laureatka nagrody Grand Press, laureatka Nagrody Gryfia, nagrody dla najlepszej książki roku przyznawanej w ramach Festiwalu Reportażu w Lublinie oraz nagrody MediaTory. Otrzymała również nominacje do Nagrody Nike, Górnośląskiej Nagrody Literackiej „Juliusz” i Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego.



Fragment książki „Miasteczko Panna Maria. Ślężacy na Dzikim Zachodzie”, która ukazała się 19 czerwca nakładem wydawnictwa Czarne.



Kosztował 499 dolarów, a na początku sprzedawała go wyłącznie telekomunikacyjna sieć AT&T (trzeba było z nią podpisać dwuletnią umowę), która dała się skusić do współpracy zapowiedziami formy Apple, że klienci będą zużywać transfer korzystając z internetowych aplikacji.

29 czerwca 2007 roku do sprzedaży trafił pierwszy model iPhone’a – iPhone 2G.

Firma Steve’a Jobsa prace nad smartfonem rozpoczęła kilka lat wcześniej. W 2004 roku, w ramach tajemniczego „Project Purple”, Apple rozpoczął kompletowanie zespołu inżynierów i specjalistów – musieli podpisać specjalne klauzule poufności – który miał połączyć funkcjonalności telefonu komórkowego i tabletu.

Jednym z nich był ekspert od oprogramowania, Scott Forstall. Jak wspominał w rozmowie z serwisem appleinsider, swego czasu siedzieli wspólnie z Jobsem na lunchu, każdy z nich z telefonem w ręku. Narzekali wspólnie na interfejs użytkownika ówczesnych modeli – wówczas były to głównie urządzenia Blackberry. Jobs miał wówczas zapytać Forstalla, czy on i jego zespół byliby w stanie opracować taki system, który umożliwiłaby obsługę urządzenia mieszczącego się w kieszeni za pomocą ekranu dotykowego, bez fizycznej klawiatury.

To były iPhone’owe początki.

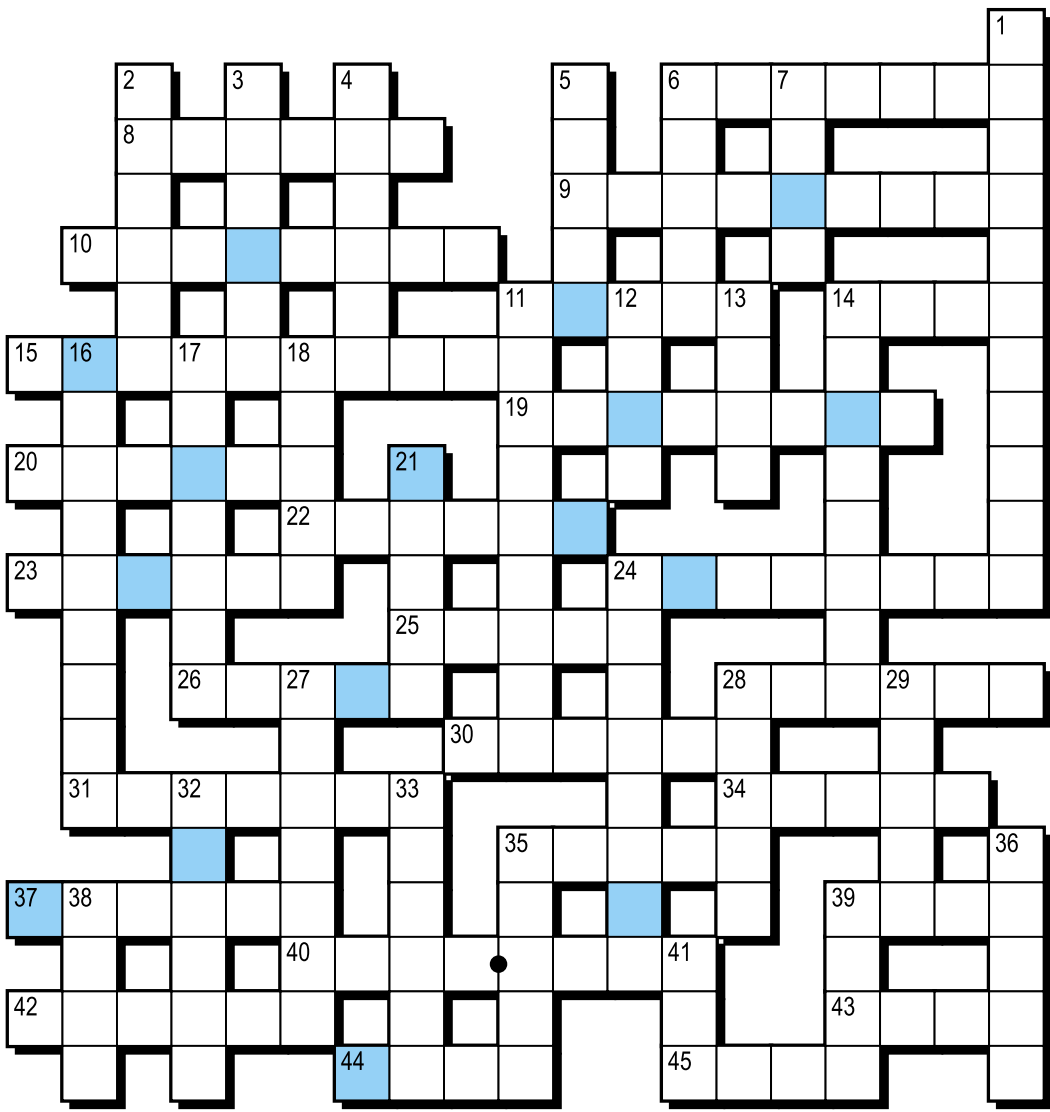
Po raz pierwszy świat zobaczył rewolucyjnego smartfona – Jobs pokazał słynną prezentację podczas targów Macworld 9 stycznia 2007 roku w San Francisco. Jego urządzenie łączyło funkcjonalności telefonu z komputerem, umożliwiało korzystanie z pełnych stron internetowych, multimediów, aplikacji i to umożliwiało zwykłemu konsumentowi, nie informatykowi czy specjalście.

Tamta prezentacja, o czym przypomina „Komputer Świat”, była starannie przygotowana i mocno... odrealniona, a Jobs pokazywał zgromadzonym „mocno niestabilny prototyp”. „Aplikacje musiały być włączane w określonej kolejności, poziomy naładowania baterii i zasięgu wskazywały zawyżone, nieprawdziwe wartości” – czytamy w „Komputer Świat”.

Ale rewolucja już się dokonała. I to niezależnie od tego, że pierwszy model iPhone’a już dwa miesiące po tym, jak trafił do sprzedaży, staniał o jedną trzecią, ze względu na liczbę reklamacji klientów, a tych, którzy kupili go w przedsprzedaży Jobs przeproszał i zaoferował zwrot części pieniędzy.

Dziś smartfon to sprzęt użytku codziennego, ale dla tych wszystkich, którzy oczekiwali technologicznej „Weekendówki” dotyczącej telefonów komórkowych itp. – niespodzianka! Nieco mniejszego kalibru, niż ta przygotowana przez Steve’a Jobsa, ale zawsze – otóż dzisiejsza krzyżówka dotyczy... jabłek w każdej postaci. A dlaczego tak, to Państwo z pewnością łatwo rozszyfrują wpatrując się choćby i pobieżnie w dowolny produkt Apple’a.

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



JABŁKÓWECZKA

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 6) ... władzy króla: korona, jabłko, berto, miecz
- 8) Wyspa Jabłek z legend arturińskich
- 9) jabłoni o dużych, żółtawych owocach
- 10) stara odmiana jabłoni, odporna na mróz
- 11) jakie jabłko, taka skórka; jaka ..., taka córka
- 14) jabłkowy – w butelce
- 15) pojęcie fizyczne z anegdoty o spadającym jabłku
- 19) francuski winiak jabłkowy
- 20) ... kwaśnych jabłek (ten to ma upodobania!)
- 22) szklana – z Królową Śnieżką, która skosztowała zatrutego jabłka
- 23) złota, szara, landsberska

- 24) Emil, zagrał w spektaklu „Będą was grzebać w zapachu jabłek”
- 25) metal na jabłka, które miał wykraść Herakles
- 26) kryterium w wyborach miss antycznego świata (komu jabłko „dla najpiękniejszej”?)
- 28) Jabłonowo Pomorskie
- 30) jabłkowe – w szeleszczącej torebce
- 31) przyprawa do jabłeczników, pieczonych jabłek
- 34) „... nie jest wcale mdły, niech na tylko zakwitną jabłonie”
- 35) brudnica nieparka (szkodnik jabłoni) lub namiotnik jabłoniowy
- 37) młode drzewko używane w szkółkarstwie jako podkładka
- 39) np. cydr
- 40) miasto nazywane Wielkim Jabłkiem
- 42) rzymska bogini drzew owocowych i sadów
- 43) jabłka na wigilijny kompot
- 44) choroba grzybiczna drzew owocowych

- 45) był nim Ladon strzegący jabłek w ogrodzie Hesperyd (mity greckie)
- Pionowo:**
- 1) w wierszu „Złoty kubek” pisał: „W szczerym polu na ustroni złote jabłka na jabłoni, złote liście pod jabłkami...”
- 2) „... trujących jabłuszek”, powieść Moniki Szwai
- 3) za wodą – w piosence o czerwonym jabłuszku przekrojonym na krzyż
- 4) piosenka Kwiatu Jabłoni („Jak ... na niebie miga nam świat”)
- 5) odmiana jabłoni o niewielkich owocach
- 6) z dżemem lub marmoladą
- 7) przeciery z owoców
- 11) komp firmy Apple
- 12) Wilhelm, musiał zestrzelić jabłko z głowy syna
- 13) jego jabłko to grdyka
- 14) ... jabłkóweczka, motyl, którego gasienice dają popalić jabłoniom
- 16) zaróżowienie skórki jabłka

- 17) Jean-Antoine, francuski malarz („Sąd Parysa”)
- 18) krucha ... z jabłkami
- 21) oręż bohatera legendy z określenia 12 pionowo
- 24) Mac z nadgryzionym jabłuszkiem
- 27) ... jabłoni, np. glogierówka, papierówka, antonówka
- 28) złote ..., np. „O różach można pisać wiersze, ale w jabłko trzeba się wgrzyźć”
- 29) ... i zapachy lata
- 32) uczony, bohater anegdoty o spadającym jabłku
- 33) poeta, który w wierszu „Wies” pisał: „O! wsi, biała attasem kwiatów jabłoni”
- 35) przyrząd kuchenny do ptukania warzyw i owoców
- 36) w nich jabłka niesione z sadu
- 38) przenośnia odtwarzacz multimedialny firmy Apple
- 39) nadaje błysk skórcie jabłka
- 41) gryz jabłuszka

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WSPRZEDAŻY

wysokieobcasy
extra

TEMAT NUMERU:
Dość życia z narcyzem

MONIKA BRODKA:
Czuję się bardziej warszawianką niż góralką

DUŻO
DOBREGO
CZYTANIA

Kraj/34310976